



JOSÉ CARLOS
SOMOZA
TETRAMERON

Czy naprawdę odważysz się
na następny krok?

Spis treści

Ta książka to szkatułka
W autobusie panuje zamieszanie
– Chwileczkę, panie Figury...
Jest ich czworo
Duch Curie
Oj, niedobrze. To błąd
Narodziny Wenus
Nie oczekiwała takiego pytania!
Dekoracja
„Ja sama byłam kotem”
Jennifer Budoski
To brzmi przerażająco
Ślub pani Boj
Aura
Ślub pani Boj (dokończenie)
Soledad nic nie zrozumiała...
Corpus Christi
Czas znikł
Cząstki
Głos pani Queen...
Karbunkuły
Wymówiwszy ostatnie słowo...
Małpka
Soledad nie może przestać się śmiać
Lustreczko

Strona redakcyjna

Ta książka to szkatułka w kolorze mahoniu ze złożonym zamkiem pośrodku.

Wewnątrz niej znajdziesz kolejne szkatułki. Pewnie będziesz chciała pootwierać je wszystkie naraz. Jeżeli tak zrobisz, to przed czasem dotrzesz do ostatniej z nich i zobaczysz, co się w niej kryje.

Muszę więc cię ostrzec: jeżeli nie jesteś odpowiednio przygotowana, może się to okazać niebezpieczne.

Ostatnia szkatułka znajduje się na samym końcu, bo powinna zostać otwarta dopiero wtedy, gdy starannie obejrzyś pozostałe. Żebyś potem nie gadała, że nie ostrzegałem.

A teraz weź kluczyk w kolorze mahoniu i otwórz pierwszą szkatułkę.

Wewnątrz niej tkwi kolejna, z kości słoniowej, zdobiona misternym filigranem. Na wierzchu napisane jest: „Soledad”.

Soledad ma lat dwanaście. Ciemne włosy, skręcające się na dole w luźne loki, długie aż do ramion, błyszczą od ulubionego szamponu. Jest szczupła, prawie koścista, na skórze widać zadrapania po upadkach. Ma duże szare oczy i usta w kształcie serca. W tym roku zaczęła nosić stanik i z zaciekawieniem ogląda w lustrze swoje rosnące piersi. Tak, urosły, ale owłosienie na wzgórku łonowym jeszcze się nie pojawiło. Ubrana jest w świeżo uprasowaną białą bluzkę z krótkim rękawem i szarą plisowaną spódniczkę. Mundurku dopełniają białe podkolanówki, czarne mokasyny i żakiecik tak ciemny, że wydaje się czarny, ze srebrną tarczą szkoły wyszytą na górnej kieszeni.

Przyjrzyj się jej dobrze: ubrana w ten mundurek idzie korytarzem wiodącym do jadalni. Siada przy stole, jej świetnie ubrany ojciec podnosi wzrok znad gazety, a siostra, o cztery lata starsza, wyciera usta serwetką. Wsłuchaj się: Soledad mówi „dzień dobry”, a służąca stawia przed nią kubek mleka, w którym niewielka ilość czekoladowych płatków utworzyła przedziwną spiralę przypominającą stonogę. Posłuchaj wymówek siostry, która oczywiście ma rację.

- Późno wstałaś.
- O tej samej porze co zawsze.
- Czyli późno. Dzisiaj masz wycieczkę do pustelni. Autobus przyjedzie wcześniej.
- Jestem gotowa do wyjścia.
- Ja też bym była, gdybym miała wyjść bez śniadania.
- Dajcie spokój – odzywa się ojciec. – O której wrócisz z wycieczki, Sol?
- Chyba o... ósmej, nie, raczej o wpół do dziewiątej.
- Jest autobus – woła służąca.

Patrz dalej: biegnie do pokoju, wyrzuca z plecaka zeszyty, których nie będzie potrzebowała, i wrzuca doń opowiadania i kredki; wyciąga luźne kartki z uwagami,

których najważniejsze słowa napisane są dużymi literami, na przykład „konik polny NIE jest ważką”, z podkreślonymi zdaniami, i wkłada kilka zawiniętych w folię aluminiową kanapek i karton soku pomarańczowego. Całuje ojca, krzyczy „cześć” do siostry, wybiega za ogrodzenie i wsiada do autobusu.

Nigdy nie wróci z tej wycieczki, ale, rzecz jasna, jeszcze o tym nie wie.

A teraz otwórz szkatułkę z kości słoniowej i zanurz się w jej wnętrzu. W tej ciemności.

W autobusie panuje zamieszanie. Po godzinie jazdy zakieciaki od mundurków leżą zmięte na półkach, a ich właścicielki pozmieniały miejsca i porozsiadały się w niewielkich grupach. W przejściu widać kolana, założone nogi na nogę, sylwetki pochylone jedna ku drugiej. Poszły w ruch gadzety: Lidia pozwala, by Viviana odsłuchiwała wiadomość z jej komórki; Greta otworzyła nintendo; Alicia i Laura dzielą się słuchawkami. Siostra Esther siedzi bez ruchu. Usadowiła się w pobliżu kierowcy i wygląda, jakby drzemała. Ledwie widać jej lewe ramię skryte w fałdach habitu.

Ale wszystko to, co dzieje się dookoła, mało obchodzi Soledad; nagle dociera do niej, że chyba stała się duchem.

Bo najwyraźniej nikt nie zauważa jej obecności.

Ona też zmienia miejsce i przesiada się do ostatniego rzędu, ponieważ nienawidzi siedzieć pośrodku. Przesuwa się nad skrzyżowanymi nogami Yael, które połyskują ciemną skórą tuż poniżej brzegu spódniczki. Yael nie chowa nóg, rozmawia dalej z Magali siedzącą po drugiej stronie przejścia, a Soledad nawet nie stara się przeproszać. Podnosi jedną nogę, potem drugą. Dredy Yael niemal przylepiają się do spódniczki, ale Yael nie zwraca na to uwagi. Soledad zajmuje wolne siedzenie w ostatnim rzędzie po lewej stronie, gdzie skulona Eider czyta książkę.

– Cześć – odzywa się Soledad na próbę.

Eider ma wypukłe czoło i grube szkła, co wyjaśnia, czemu w szkole przezywają ją „mrówą”. Jej plecak rozpląszczył się na szybie, a na kolanach leży torebka z owocami – to chyba brzoskwinie. Na okładce książki widać jedynie tytuł: *Opowiadania zebrane*, całą resztę zasłaniają palce Eider. Soledad miałaby ochotę poczytać, uwielbia opowiadania. A Eider wygląda, jakby się wybudziła z transu, gdy Soledad się do niej odzywa.

– Co? – pyta.

– Nic. Sądziłam, że nikt mnie nie zauważy.

To ostatnie mówi bardziej do siebie niż do Eider, która i tak nie zwraca na nią uwagi i tkwi pogrążona w lekturze. Soledad znowu się wydaje, że jest duchem, i pomysł ten tak ją rozbawia, że zaczyna się głośno śmiać. Kiedy dokładnie podczas wycieczki mógł się zdarzyć taki cud? Łatwiej jednak spostrzec, kiedy pozostali zaczynają ci się przyglądać, niż kiedy przestają cię zauważać.

Autobus przechyliła się, skręcając w drogę lokalną. Wiele dziewcząt podnosi głowę na zakręcie, Soledad też. Tablica przydrożna, która zdaje się zmykać w podskokach na nierównej drodze, obwieszcza: „Pustelnia Świętego...”. Jej kolor i czcionka są typowe dla tablic stawianych w miejscach o znaczeniu turystycznym.

– Chyba dojechaliśmy – stwierdza Soledad, nie spodziewając się reakcji Eider.

Pustelnia jest olbrzymia, o wiele większa, niż można się było spodziewać, ale

zrujnowana; wznosi się na wzgórzu czystej zieleni, którego jedno zbocze oświetla słońce. Niektóre ściany pustelni zapadły się, inne pozbawione są sufitu. Dwa okrągłe okna wpatrują się w dziewczynki niczym oczodoły, a potężna, łukowato sklepiona brama stoi otworem pośrodku budowli.

Kiedy gaśnie silnik, zapada zadziwiająca cisza, jak w teatrze tuż przed spektaklem. Gdzieś z oddali dochodzą świsty niczym głosy egzotycznych ptaków. Żakieciki i plecaki są już w rękach swoich właścicielek, siostra Esther staje z przodu i poleca uczennicom ustawić się w rzędzie, żeby mogła je policzyć. Te wskazane długim bladym palcem wychodzą z wozu.

– Jeden... dwa... trzy...

Soledad specjalnie ustawia się na końcu, za Eider. I podczas gdy rząd koleżanek przesuwa się do przodu, w głowie świdruje jej myśl: „Nie zauważaj mnie, nie policz”. Jest absolutnie pewna, że gdy przyjdzie jej kolej, siostra Esther przeszyje ją wzrokiem, ale jej źrenice nie zatrzymają się na niej nawet na sekundę. Ta myśl nagle przepelnia dziewczynkę lękiem. „Nie policz mnie. Jestem niewidzialna”. Białe, okrągłe i nieziemskie jak księżyc oblicze siostry Esther wypełnia jej pole widzenia, w miarę jak autobus opuszczają kolejne koleżanki. Pośrodku głowy siostry Esther pod sztywnym czepkiem widnieje przedziałek, który Soledad w wyobraźni przedłuża aż do podbródka, rozszczepiając twarz kobiety na dwie niemal dokładnie symetryczne połowy, jak gdyby przedziałek był taflą lustra.

– Trzydzieści pięć... – przystaje przy Eider – trzydzieści sześć...

Soledad wstrzymuje oddech, podczas gdy siostra Esther kieruje ku niej swój palec.

– ...i trzydzieści siedem.

Soledad nie wie, czy cieszyć się, czy martwić, skoro okazało się, że mimo wszystko nie jest duchem. Przechodząc obok kierowcy, starszego pana, gdzieś pod czterdziestkę, zauważa, że ten intensywnie się jej przygląda. A więc z pewnością nie stała się niewidzialna! Coś jednak w tym spojrzeniu sprawia, że zaczyna się czuć nieswojo i pospiesznie przesuwa się do bijącego chłodem wyjścia, dołączając do koleżanek na wzgórzu.

W łukowatej bramie wszystko się zmienia. Z głębi ciemnego wnętrza dochodzi przeciąg niczym z odległej przeszłości i woń jak starczy oddech. Dalej widać wielkie półotwarte drzwi, a tuż obok tablicę z godzinami zwiedzania. W kamiennej sieni żakieciki nabierają czarnej barwy, a srebrne tarcze z nazwą szkoły – Valdelosa – pobłyskują, gdy dziewczynki zwracają się w stronę światła. Niebawem wszystkie żakieciki demonstrują swoje tyły, ciasno otaczając siostrę Esther, która recytuje ostatnie instrukcje.

– Mówcie cicho, odnoście się z szacunkiem do wszystkiego, co ujrzycie, nie rozdzielajcie się. Jest was trzydzieści sześć i trzydzieści sześć ma się pojawić przy wyjściu.

Tylko Soledad się nie śmieje.

– Jest nas trzydzieści siedem – odzywa się właściwie do nikogo i może dlatego nikt jej nie odpowiada.

Zaabsorbowana przystaje, by przyjrzeć się wielkiej czarnej stonodze, którą przypomina teraz prześlizgujący się do wnętrza sznur koleżanek, obwieszonych plecakami, drepcących w dziesiątkach mokasynów. Ona sama, z tyłu, odseparowana od reszty, bezbronna i przestraszona, jak jajko zniesione (i zapomniane) przez fascynujące stworzenie, które właśnie zniknęło.

„Byłam numerem trzydzieści siedem... Byłam...”

W końcu postępuje parę kroków naprzód i wkracza w ciemności, które mają w sobie coś z nietkniętego powietrza, jak to, które bucha zapewne podczas ekshumacji nienaruszonego ciała jakiegoś świętego. Odróżnia ściany pełne szczelin, kształty, które mogą być kolumnami, i przebłyski światła i cienia, jakie tworzą mundurki i nogi koleżanek poruszające się gdzieś daleko, w pomieszczeniu. Na lewo widać kolejne drzwi, w bocznej ścianie, jakby to była zakrystia w kościele, i Soledad wiedzona paniką biegnie ku nim bez wahania.

Dosłownie biegnie.

„Byłam trzydziesta siódma, ale już nie jestem... Nie istnieje!”

Strach nie pozwala jej myśleć. Nawet się nie zastanawia, po co biegnie ani co robi, jeśli drzwi się nie otworzą albo nie zdoła ich otworzyć ponownie, gdy raz się za nią zamkną. Dopada ich, popycha i wkracza na inny poziom ciemności. Schody w kształcie ślimaka toną w mroku, gdzie nie dociera światło. Soledad schodzi po stopniach, przesuając rękę po poręcz z kutego żelaza, która spiralnie schodzi w głąb. Ucieka, jakby coś ją ścigało, przerażona samym pomysłem powrotu z grupą istot żywych, podczas gdy ona, naturalnie, chyba jest martwa. Schodzi szybko, nie zauważa, że ściany się ścieśniają i to, co się zaczynało jako szacowne schody, traci poręcz i zwęża się w rodzaj leja. Stopnie sprawiają coraz więcej problemów swoją niebezpieczną wysokością, co zmusza do zwolnienia tempa.

Ale jednocześnie dziewczynka czuje się lepiej. Jest coś prowokującego w tym schodzeniu po krętych, wilgotnych schodach. Każdy kolejny zakręt wydaje się ostatni, jakby całość składała się z fałszywych końców. Soledad przeskakuje ze stopnia na stopień. Jej serce przystosowuje się do zwolnionego rytmu stóp. Soledad już się nie boi. Nawet się uśmiecha na myśl o możliwych zaletach bycia duchem. Przypomina sobie dzień, gdy przyszła spóźniona na lekcje, otworzyła drzwi, zapukawszy spokojnie, i ujrzała Elenę (nie, to raczej była Sofía) stojącą przy tablicy i piszącą jakiś tekst. Nauczyciel przy oknie, w kręgu światła skinął tylko głową, nic nie mówiąc, a ona prześlizgnęła się jak w zwolnionym filmie w kierunku swojego miejsca, podczas gdy dosłownie wszyscy się na nią gapili. Wydaje jej się, że gorzej, dużo gorzej, jak wszyscy na ciebie patrzą, niż jak nikt nie patrzy. Że gorzej, jak zbyt natarczywie

wydajesz się kimś być, niż jak całkowicie znikasz. Z tą myślą dochodzi do końca schodów, gdzie pali się tylko jedna słaba żarówka nad zamkniętymi drzwiami.

To drzwi barwy mahoniu z pozłacanym zamkiem pośrodku.

- Chwileczkę, panie Figury, niech pan jeszcze nie zaczyna.
- Słucham?
- Ktoś stoi w drzwiach.
- Co takiego?
- Ktoś wchodzi, niech pan zaczeka.



JEST ICH CZWORO.

Można by pomyśleć, że grają w karty, ponieważ siedzą wokół stołu. Ale nigdzie nie widać talii kart. Powietrze jest ciężkie. Unosi się w nim zapach świec woskowych, damskich perfum i tytoniu.

Cała czwórka uważnie się jej przygląda.

Soledad jest potwornie przerażona. Spodziewała się znaleźć w tej piwnicy u stóp krętych schodów wszystko – z wyjątkiem ludzi siedzących przy stole. Naprawdę o nich nie wiedziała! Przecież nigdy w życiu nie pchnęłaby tych drzwi, gdyby się spodziewała czegoś podobnego. Odebrała staranne wychowanie i wie, że dorosłym nie należy przeszkadzać. Ale to przecież nie jej wina, że drzwi ustąpiły z taką łatwością, że wystarczyło tylko lekko je popchnąć. A teraz już za późno, by udawać, że nic się nie stało. Wsunęła głowę w szparę i spostrzegła ją.

A sądząc po tym, jak na nią patrzą, wydają się rozgniewani.

Uwagę Soledad przyciąga najpierw dama na prawo od niej. Chuda, ubrana na biało, siwa, krótko ostrzyżona. Soledad nigdy w życiu nie widziała kogoś równie dziwnego. Ale to nie ona odzywa się pierwsza.

Pierwsza odzywa się osoba siedząca za damą w bieli, gdyby posuwać się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. To mężczyzna zupełnie łysy, krzepki, w czarnej marynarce i takiejż koszuli oraz koloratce barwy absurdalnie pomarańczowej... a może to tylko światło świec nadaje jej taki kolor?

– To dziewczynka – mówi łagodnym głosem, niepasującym zupełnie do jego sylwetki.

Soledad stoi nieruchomo, oparta o drzwi, z otwartą buzią i oczami, jakby czekała na czyjeś polecenie, żeby wejść na scenę.

– Dziewczynka – potwierdza poważniejszym tonem drugi mężczyzna, siedzący obok, z długimi siwymi włosami, wąsikiem i krótko przystrzyżoną bródką. Wpatruje się w Soledad szeroko otwartym lewym okiem okolonym łukiem brwi, podczas gdy prawe wydaje się niemal zamknięte.

Druga dama ma przedziwną fryzurę przyozdobioną kwiatami. Ubrana jest w szatę odsłaniającą plecy i ramiona. Siedzi tyłem do Soledad, więc musi się odwrócić, by się

jej lepiej przyjrzeć.

– Ach tak – mówi, a z jej ust zdaje się emanować jakiś aerozol, choć najprawdopodobniej to dym.

Zapada dość długa cisza, wreszcie dama odwraca się ku swoim towarzyszom. Kiedy się odzywa, Soledad widzi jedynie jej wysoką fryzurę.

– Pozwolimy jej zostać? Co z nią zrobimy? – pyta, jak gdyby istniało nieskończenie wiele innych możliwości.

– Powinna zostać, zgodnie z tradycją – stwierdza mężczyzna z pomarańczową koloratką.

Mężczyzna z bródką i wąsikami, który wciąż wpatruje się w Soledad szeroko otwartym okiem, uśmiecha się powoli, a z jego głosu przebija czysta radość.

– Zrobiłbym z nią *wszystko*.

– Och, nie, panie Figury, to byłoby niezgodne z tradycją – sprzeciwia się gość z koloratką. – Może potem uda się nam trochę zabawić, ale jeszcze nie teraz.

– Głosujmy – proponuje ten pierwszy.

Soledad wciąż stoi w drzwiach. Nie pojmuje nic z tego, co się wokół niej dzieje. Nie zrozumiała ani słowa. Wie jedynie (i wie to z całą pewnością), czego nie powinna była robić. A nie powinna była przede wszystkim schodzić po tych schodach. Nie powinna była pchnąć drzwi w kolorze mahoni. Nie powinna była wsuwać głowy przez szparę w drzwiach tylko po to, by dowiedzieć się, co jest za nimi. Nic jej teraz nie przyjdzie z tej wiedzy, bo i tak nie ma ratunku.

Ratuje ją jedynie brak ruchu. A może podbiec schodami w górę i uciec? Ale dociera do niej, że ucieczka już nic nie da. Jej obecność została odkryta, ona sama sprowokowała sytuację, która przyniesie konsekwencje. Czuje, że ogarnia ją ciekawość. To tak, jak otworzyć nową książkę i zacząć czytać. Teraz chce wiedzieć, co będzie się działo dalej.

A dalej dzieje się tylko to, że mężczyzna w koloratce uśmiecha się do niej.

– Wejdz – zaprasza.

Najwyraźniej już zagłosowali, ale nie wie jak. Nie widziała żadnych kartek, podniesionych rąk, nic też nie słyszała. Dostrzegła chyba jakiś przyzwalający gest: najpierw u mężczyzny z wąsikami i bródką, potem u kobiety z ekstrawagancką fryzurą, a w końcu u człowieka z koloratką. Nie wydaje się, żeby kobieta w bieli choć na chwilę oderwała wzrok od Soledad, a teraz nawet na nią nie spojrzy.

– Wejdz – powtarza gość w koloratce bardziej stanowczo.

Soledad nauczono słuchać dorosłych. Z pewnym trudem, jako że drzwi są ciężkie i zaopatrzone w mechanizm, który powoduje ich opór, gdy się je popycha, uchyla je na tyle, by się wślizgnąć. Gdy je puszcza, zamykają się za nią z krótkim trzaskiem.

– Jak się nazywasz? – pyta uprzejmie gość z koloratką.

– Soledad.

Głos, który wydobywa się z jej gardła, brzmi obco.

– Piękne imię. Obawiam się, Soledad, że nie ma więcej krzesel, będziesz więc musiała postać.

Najwyraźniej oczekują odpowiedzi z jej strony. Czegoś w rodzaju „nic nie szkodzi” albo „dziękuję, postoję”. Przychodzi jej na myśl, że nie chodzi o żart, bo nie przypuszcza, aby jej wygodą kogokolwiek tu obchodziła. Jednak nie czuje, żeby jej było niewygodnie. To prawda, że plecak waży, ale gdyby zechciała, może go zdjąć i postawić na podłodze. Poza tym ten w koloratce nie kłamał: rzeczywiście pomieszczenie jest małe i nie ma więcej krzesel niż owe cztery ani więcej mebli niż cztery krzesła i stół, okrągły i czarny, na którym stoją cztery czarne puchary. W ich miękkich krągłościach odbija się płomień czarnych świec płonących w czterech kątach, na czterech postumentach. Te świece pozostawiły już eliptyczne ślady po dymie na kamiennym sklepieniu.

Tak więc Soledad stoi bez ruchu za damą z dziwaczną fryzurą. Pozostali nie zwracają na nią uwagi, jak gdyby problem jej obecności w tym miejscu został odłożony ad acta. Mężczyzna z koloratką podnosi z podłogi butelkę z wydłużoną szyjką i napełnia puchary. Soledad słyszy wyraźnie bulgot i wymianę zdań między mężczyznami.

– A teraz, panie Figury, o ile ktoś nam znowu nie przeszkodzi, moglibyśmy usłyszeć pańską opowieść?

– Z przyjemnością, panie Biskupie. – Gość z bródką splata ręce.

Soledad nie podoba się jego wygląd: sprawia dziwne wrażenie, jakby był nieprawdziwy, jak gdyby jego twarz ktoś polakierował i pomalował tak, jak się maluje kukielki: gęste brwi, wąsik i bródka, jak przyklejone włoski szczotki, każdy niepokojąco zaostrzony. A najdziwniejsze są jego oczy: błyszczą, jakby prowokowały, żeby w nie patrzeć, a nie jakby same patrzyły. Ubrany jest podobnie jak gość z koloratką, w czerń, ale w klapach jego marynarki odbija się światło, jak w smokingu, który czasami wkłada tata. I do tego ten jego głos, taki głęboki, taki dobitny.

– Mogłaby nosić tytuł *Duch Curie*.

I niespiesznie, rozkoszując się każdym słowem, rozpoczyna swoją opowieść:

Nigdy nie poznałem Gertrudy ani Dobbina...

Otworzyłaś szkatułkę z kości słoniowej i dostrzegasz w jej wnętrzu kolejną, bardziej pospolitą, z lakierowanego drewna, z mozaiką z drobnych kamyczków ułożonych w przeróżne figury: trapezoidalne, kubiczne, koliste... Gdy ją otwierasz, uderza cię w nozdrza woń sfajczonego kabla albo przepalonej żarówki.



DUCH CURIE

Nigdy nie poznałem Gertrudy ani Dobbina, natomiast mój psychoanalityk tak. Pewnego wyjątkowo chłodnego i pochmurnego dnia zamieniliśmy się rolami i to on ułożył się na kozetce, a ja usiadłem obok i zamieniłem się w słuch.

– Uroczy gość, ten Dobbin. Przynajmniej do czasu, gdy poznał Gertrudę. Może kiedyś się z nim zetknąłeś.

– Nigdy.

– Skąd ta pewność?

– Moja pamięć jest niezawodna.

– To dlatego nie jesteś materiałem dla psychoanalityka.

Roześmieliśmy się obaj. Mój psychoanalityk ciągnął:

– Alfred Dobbin był wysoki, miał włosy barwy słomy i kanciastą szczękę, a twarz z rodzaju tych, które wydają się znacznie dojrzałe, znacznie starsze niż ich właściciel. Patrzył szklanym wzrokiem, jak gdyby wciąż czegoś szukał, a jednocześnie bał się, że to coś znajdzie. Lubił niebieskie koszule i ciemne garnitury. Był uznanym psychoanalitykiem, ale, niestety, miałem okazję poznać go jako pacjenta. Winę za to ponosi Gertruda.

Ona stanowiła przypadek beznadziejny. Jej rodzina była bogata, wysłała ją więc na konsultacje do Dobbina. Widziałem ją raz jeden, w poczekalni, w dniu, kiedy wpadłem do Dobbina. Była... Jakby ją opisać? Krucha. Krucha, a zarazem silna. Niska, o bardzo jasnej skórze i prostych kasztanowych włosach. Na pierwszy rzut oka przeciętna młoda kobieta. Ale potem zwracałeś uwagę na jej wielkie oczy i wydatne wargi i wydawało ci się, że ma ona w życiu jasny cel. Była ulotna jak duch i cielesna jak krowa. Wydawała się ucieleśnionym duchem, jak gdyby przeniosła się na inny poziom rzeczywistości. Jak gdybyś nie mógł jej zobaczyć, ale nie dlatego że jest eteryczna czy niewidzialna, ale dlatego że nie odróżniasz jej od reszty rzeczy, bo stała się jedną z nich.

(„Tak przecież ja się czułam w autobusie!”, myśli zaintrygowana Soledad).

I zawsze robiła to samo: przychodziła, nie witając się z nikim, blada i milcząca,

stapając przedziwnie, jak dziewiętnastowieczny duch, który za chwilę uleci, kładła się na kozetce w gabinecie Dobbina i czekała, aż ten zada jej zawsze to samo pytanie.

– Kim jesteś dzisiaj?

– Jestem Maria Salomea Skłodowska – ten sam głos, ten sam doskonale wyuczony akcent. – Urodziłam się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku, w Warszawie. Mój ojciec, Władysław Skłodowski, był profesorem fizyki i matematyki w stołecznym gimnazjum, a matka, Bronisława, prowadziła pensję dla panien w tym samym domu, w którym mieszkaliśmy...

Wszystko to stanowiło część zawsze tego samego rytuału, zawsze tej samej litanii. Oczy kobiety, gołębiej barwy, wpatrzone były w sufit, gdy mówiła.

– Ale ty nie jesteś tą kobietą – sprzeciwiał się Dobbin. – Nazywasz się Gertruda Webber i urodziłaś się...

– Gertruda Webber opuściła to ciało, doktorze Dobbin – przerywała. – Teraz zamieszkuje je duch Marii Curie de domo Skłodowskiej.

– Ale dlaczego? Dlaczego duch tej uczzonej zmarłej wiele lat temu chciałby zagościć w twoim ciele?

– Kiedyś mi to powie. Wiem, że mam do spełnienia misję. Mój Duch twierdzi, że świat tylko z zewnątrz wydaje się tym, czym jest, wewnątrz jest czymś zupełnie innym. Świat jest zepsuty, miękki, dziurawy i pełen robaków, jak fermentujący ser. To wszystko przez radioaktywność, a mój Duch jest skazany, by błąkać się po świecie, ażeby odkupić winę, jaką ponoszę za jej odkrycie.

– Mówiąc „Duch”, masz na myśli Marię Curie...

– Niezupełnie. Mój Duch to duch Curie, istota, która na ziemi reprezentuje te same ideały, które ona uosabiała w życiu: walkę o bardziej ludzki świat. Radioaktywność to ludzka energia, doktorze Dobbin. Właśnie teraz, gdy rozmawiamy, podłoga pod naszymi stopami rozkłada się atom po atomie, tak jak Łódź zaatakowana przez stado termitów. Mój Duch jako jedyny zdolny jest to powstrzymać.

Alfred Dobbin zajmował się nią przez pierwsze dni jak zawodowiec. Ale z wizyty na wizytę Gertruda Webber i jej niedzisiejszy język coraz bardziej zajmowały jego myśli, aż stało się to obsesją. Czemu? Cóż, może pojawiła się między nimi jakaś chemia... a może radioaktywność! Tak, wiem, że to kiepski żart! Pewne jednak jest to, że Dobbin zaczął tracić poczucie czasu i wydłużać wizyty, co w przypadku psychoanalityka wydaje mi się znacznie bardziej niewiarygodne niż to wszystko, co się wydarzyło później.

– Czy przyłączy się pan do naszej sprawy, doktorze Dobbin? – zapytała gorąco pewnego dnia Gertruda spoczywająca na kozetce.

– Muszę to przemyśleć, Gertrudo... To wszystko, co opowiadasz...

– Pan mi nie wierzy. Sądzi pan, że zwariowałam.

– Nie, nie... Nie chodzi o to... Ale możesz się przecież mylić.

Kobieta zwróciła na niego swoje ogromne szare oczy. Przez chwilę Dobbinowi nie wydawało się niemożliwe, że jakiś obcy duch porusza się niespokojnie wewnątrz nich.

– Jutro rano niech pan każe szybko odejść sekretarce – rzekła kobieta. – Mój Duch da panu ostateczny dowód o tej samej porze. Miłego dnia, doktorze Dobbin. Dziękuję, że nas pan wysłuchał.

Alfred Dobbin spędził bezsenną noc, przewracając się z boku na bok. Nie wiem, czy ci mówiłem, że był kawalerem i że jego stosunki z płcią przeciwną ograniczały się do czysto zawodowej uprzejmości. Nie chodziło o to, że zupełnie nie wierzył w opowieści Gertrudy, bo przecież wiedział, że jest chora, ale o to, że podczas gdy Gertruda twierdziła, że opętał ją Duch Curie, Dobbin czuł się coraz bardziej opętany przez Ducha Gertrudy.

A następnego dnia jego pacjentka przybyła punktualnie jak zwykle, ascetyczna, roztaczając wokół siebie aurę fin de siècle'u. Nie ułożyła się tym razem na kozetce, tylko stanęła przed Dobbinem. Jej oczy błyszczały jak żyła srebra.

– Czy jesteśmy sami, doktorze?

Dobbin przytaknął; chcąc jej sprawić przyjemność, zaproponował sekretarce, żeby sobie wzięła dzień wolny.

– Ludzkość jest w niebezpieczeństwie – oświadczyła wówczas Gertruda tonem nieznoszącym sprzeciwu, wpatrując się w doktora zamglonym wzrokiem. – Z tej przyczyny mój Duch postanowił unieść kurtynę i ukazać jedynie panu część prawdy: sposób, w jaki radioaktywność pożera nasz świat swoimi zakażonymi zębiskami...

Dobbin miał coś odpowiedzieć, ale przeszył go nagły dreszcz. Nie czuł ani strachu, ani rozgorączkowania, ani mrowienia, tylko gęsią skórę.

– Maria Curie i jej mąż sprowadzili ją na świat – ciągnęła Gertruda – a teraz mój Duch poszukuje sposobu, jak nas uwolnić od tego okrutnego zła...

I jakby jakaś gigantyczna ręka wywróciła gabinet, oboje znaleźli się w pozycji głową w dół. Dobbin miał włosy zjeżone jak u rozwścieczonego kota, a kasztanowa czupryna Gertrudy unosiła się, drgając niczym wiązka anten w sportowym samochodzie.

– Radioaktywność uwięziła świat, doktorze Dobbin... – Gertruda mówiła powoli i z powagą, jakby w połowie obrotu. W jej głosie słychać było obcy akcent, który zdumiał Dobbina. – Istniała zastygła w minerale, a ja i mój mąż otworzyliśmy bramę jej więzienia i teraz krąży w powietrzu... Niech pan patrzy, jak tryska, niech pan ją poczuje.

Nagle pojawiła się woń nieprzypominająca żadnej, którą Dobbin by znał. Woń, która wywoływała wewnętrzny smutek, zmęczenie mięśni i poty jak przy ciężkiej grypie. Woń, która kojarzyła się z zapachem świec płonących na pogrzebie ukochanej istoty.

I wtedy na ścianach pojawiły się wrzody. Najpierw były to plamy, które otwierały

się niczym usta pośrodku tapety w niebieski wzorek, zdobiącej schludny gabinet Dobbina. Z obrazów, bez wyjątku abstrakcyjnych, zaczęła sączyć się farba – niespiesznie, niczym lawa z wulkanu. W szafce, w której Dobbin przechowywał żywność na wypadek, gdyby któregoś dnia nie mógł pójść na obiad, powybuchoły puszki, a zawartość wyciekała na podłogę w strugach o przedziwnych barwach: korniszony niczym jarmarczne cukierki, parówki jak palce rękawiczki jakiegoś pajaca, tuńczyk niczym flaga jakiejś nowej bananowej republiki.

– Co się dzieje? – krzyczał Dobbin z samego jądra tego chaosu. – Co to wszystko znaczy?

Niezrażona niczym Gertruda podeszła do niego z poważną miną.

– To pani świata, doktorze... Kryje się w żywności, mieszka w każdym kolorancie, w miedzianych przewodach elektrycznych, w żywych istotach, w każdym metalu i w każdym mineralu... To żywa materia. Czy teraz pan mi wierzy?

Gdy to mówiła, stało się coś najstraszliwszego: jej włosy, sztywne i pionowo nastroszone, poczęły wypadać jeden po drugim i spadały, wbijając się na sztorc z niebezpieczną precyzją w dywan, niczym druty. Przyglądając się temu, przerażony Dobbin poczuł się tak, jak gdyby jego głowa zmieniała się w tacę z delikatnymi kieliszkami z szampanem i ilekroć nią poruszył, wylewała się część zawartości w postaci włosów z głowy i brwi, które spadały na podłogę deszczem rozbitych okruchów szkła. Z nogawek spodni wypadały włosy łonowe, poskręcane jak spirala w starym tosterze.

– Wierzę pani, wierzę! – krzyknął i zalał się łzami, które (wedle jego własnych słów) wydzielały woń kwasu z przestarzałych baterii. Padł na kolana i legł niczym fakir na kolcach własnych włosów.

– Cieszę się – odrzekła Gertruda, i z tymi słowy katastrofa ustała.

Chociaż nie całkiem. Niektóre zjawiska przetrwały, niektóre rzeczy zmieniły się zupełnie. Ściany gabinetu Dobbina ostygły i wyglądały jak ściany jaskini ze średnio dobrego filmu. Dobbin i Gertruda byli teraz łysi, całkowicie pozbawieni owłosienia, a jądra Dobbina skurczyły się tak, że zanikły niemal zupełnie, przez co jego członek wystający teraz z gładkiego wzgórka łonowego sprawiał przedziwne wrażenie. Nie koniec na tym: mózg Dobbina pozbawiony został wszelkich wcześniejszych myśli; doktor zamknął gabinet, kupił sobie perukę i oddał się ciałem i duszą sprawie Ducha Curie. Zaraz opowiem ci w jaki sposób.

W tym miejscu mój przyjaciel psychoanalityk odchrząknął i na chwilę zamilkł.

(W opowieści mężczyzny z bródką, zwanego panem Figury, także nastaje chwila przerwy. „To dziwne – myśli Soledad – szkoda mi Dobbina i Gertrudy, ale to wszystko, co przeżywają, jest zabawne”. Jednak nikt się nie śmieje. Pozostała trójka słucha w poważnym milczeniu).

– Począwszy od tej chwili, nie rozstawali się – ciągnął mój psychoanalityk. –

Przedziwna para, Gertruda Webber i Alfred Dobbin, oboje łysi, w perukach, oszołomieni i pogrążeni we własnym świecie, połączeni świętym węzłem potwornej tajemnicy. Przypuszczam, że byli także zakochani, ale ich uczucie wykraczało poza granice zwykłego afektu. Byli niczym dwoje wojowników, dwoje krzyżowców poszukujących jakiegoś straszliwego Graala. Za jej pieniądze i jego oszczędności kupili niewielkie mieszkanie na południu miasta i poczeli snuć plany. Wiedzieli, że dzieło uwolnienia świata od radioaktywności nie przyniesie im zaszczytów. Prawdopodobnie nawet ich zniszczy. Musieli jednak to zrobić: ona dla Curie, on dla niej.

A zadanie nie było tak niemożliwe do wykonania, jak się wydawało. Według Ducha radioaktywność objawiała się także pod postacią ducha, Bytu, który z prędkością światła wpadał, przypadkiem i niespodziewanie, codziennie do którejś elektrowni jądrowej. Przez najczystszy przypadek w następnych dniach jedną z wybranych miała być elektrownia znajdująca się w pobliżu.

– Ale kiedy dokładnie? – indagował Dobbin. – Czy Duch nie mógłby wyrażać się konkretniej?

– Nie, ze względu na zasadę nieoznaczoności Heisenberga – odparła Gertruda. – Gdybyśmy nawet dokładnie znali miejsce, nie da się przewidzieć chwili. Tak więc począwszy od jutra, będziemy czuwać dzień i noc w tej elektrowni, mój drogi. Gdy tylko Byt ją nawiedzi, zorientujemy się i go schwytamy.

– A jak go zniszczymy?

– To już pozostaw Duchowi – brzmiała tajemnicza odpowiedź.

Dobbin nie był w stanie opowiedzieć, jak przeżyli te burzliwe dni: jedyne co mu zostało w pamięci, to mętne wspomnienie, jak to pewnej nocy przybyli w perukach w pobliże elektrowni i rozbili namiot na pagórku. Udawali zakochaną parę, która wybrała się na swoisty romantyczny piknik. I zaczęło się: czuwanie w napięciu na zmianę, długie noce na dworze (na całe szczęście wszystko działo się latem), dręczący lęk, gdy tylko dostrzegali pojawiające się w oddali, wśród zabudowań elektrowni, światelko... Wszystko to było próbą ogniewą dla tych dwojga zawodników. Dobbin twierdził, że znosił to z dwóch powodów: zasadniczym była jego miłość do Gertrudy. Ale nie jedynym. Drugi powód to jakiś ideał, jakieś uczucie, które przypadkiem i niespodziewanie wpada w męskie serca, zupełnie jak Byt do elektrowni jądrowych, a które w owej chwili zagościło w jego własnym: pragnienie świata lepszego, piękniejszego i zdrowszego, w którym życie kwitłoby jak dawniej, z dala od terroru chemii, wolne od elektrycznych wiązek, którymi człowiek omotuje wszystko. W świecie pozbawionym kwasów, fal, wibracji, brzęczenia, kabli, obwodów, drutów, sztucznie barwionej żywności i sztucznych ogni. Bez podłóg krytych linoleum, kutego żelaza i krzemowych chipów. W świecie, w którym nawet śmierć byłaby pewnym rodzajem zdrowia.

Dobbin marzył o takim idealnym świecie, obserwując szczyt kopuły elektrowni, równie łysej jak jego głowa, ową białą, wypolerowaną narośl, betonowy wrzód, wykwitający na chorej ziemi, gdy nagle, którejs nocy, stało się. Przypadek chciał, że to on wówczas czuwał i on pierwszy to zauważył, choć sądził, że to halucynacja wywołana nienawiścią, jaką w owej straszliwej chwili był ogarnięty. Ale gdy obudził Gertrudę, ujrzała to samo.

Kopuła elektrowni, przedtem szara w bezksiężycowej nocy, połyskiwała teraz złowieszczym zielonym, fosforyzującym blaskiem.

– To ona! – wykrzyknęła Gertruda. – Świątynia! Jest w świątyni! Chodźmy, Alfredzie, miłości moja, chodźmy!

Pognali jak opętani w dół wzgórza. Czort jedyny wie, co by się stało, gdyby jakiś strażnik wykrył, jak przeskakując przez kamienie, pędzą w kierunku elektrowni, oboje łysi (o perukach zapomnieli), wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa, skąpani w przedziwnym fosforyzującym blasku. Ale, może wskutek interwencji Ducha, a może i nie, z całą pewnością nikt ich nie zauważył i byli tam zupełnie sami. Dotarli niebawem do ogrodzenia i przed ich oczami wybuchła fantasmagoryczna wizja. Jest sprawą dyskusyjną, co było prawdą, a co wytworem bezsennych nocy i napięcia. Skłonny jestem uwierzyć Dobbinowi, bez względu na to, jak wiele tu pomija i niszczy (przypuszczam, że język rządzi się własną radioaktywnością). Opowiedział mi, że kiedy dobiegł do ogrodzenia, nie było już ani elektrowni, ani niczego, co by ją przypominało. Na jej miejscu wyrosła budowla, która mogłaby konkurować z rojeniami Gaudiego, Le Corbusiera czy Lloyda Wrighta. Musiałbyś posłuchać tego bełkotu o ścieżkach z czystego uranu, kolumnach z popękanego karnotytu i kanale ze stojącą wodą, w której unoszą się zwęglone zdechłe ryby, mięczaki i mewy z pustymi oczodołami, a także istoty ludzkie o bezzębnych dziąsłach, przywarte jedne do drugich jak na obrazie *Tratwa Meduzy*.

Jeśli zaś chodzi o samą świątynię, to Dobbinowi zabrakło słów. Porównywał ją do Tadź Mahal z radu, która wybucha i odtwarza się tysiące razy w ciągu sekundy, wydając odgłos jak brzęczenie metalicznych os zamkniętych w rozpalonym piecu. Ruszył w jej kierunku, a przed nim biegła jego ukochana, roztaczając wciąż wokół siebie ową aurę fin de siècle'u i wznosząc bojowe okrzyki.

– Alfredzie, naprzód! Za życie! Za zdrowie!

Na widok tego, co zastali w zgubnym dole, oboje zamarli. Dopiero po jakimś czasie, gdy zdobyłem nieco zaufania Dobbina, odważył się powiedzieć mi coś więcej. „Pod atomowym dachem, który rozpadał się co mikrosekunda, rozpościerał się amfiteatr z czerwonymi fotelami, z których każdy miał numer i własne źródło światła, jak fanty w takich starych maszynach do gry. Numeracja szła od jednego do osiemdziesięciu ośmiu, liczby atomowej radu, i zmieniała się okresowo, i za każdym razem zapalał się jeden fotel. Pośrodku tego wszystkiego stało coś w rodzaju tronu,

którego oparcie miało kształt koła fortuny, z osiemdziesięcioma ośmioma czerwonymi światełkami dookoła, które obracały się szaleńczo, na tronie zaś...”

Tyle tylko był w stanie opisać. Na owym tronie siedział Byt.

Jak wyglądał Byt? Dobbin milkł zawsze, gdy dochodziliśmy do tego punktu, i posługiwał się obrazami zaczerpniętymi stąd i zowąd: wygłodniałe dziecko z Afryki, aborcja na stole operacyjnym, drzewo po pożarze.

– Witam, drodzy przyjaciele – odezwał się Byt głosem, w którym brzmiało tysiące głosów, a może tylko osiemdziesiąt osiem. – A skoro już tu jesteście, nie sprawiłoby wam kłopotu włączyć klimatyzację? Strasznie tutaj gorąco! – Gdy otworzył usta, czarny gęsty olej pociekł z nich niczym strużka ropy.

– Nierządnico z nuklearnej Babilonii! – zgromiła go z zimną furią Gertruda nieznoszącym sprzeciwu tonem Ducha Curie. – Rezydencie podziemnych minerałów, który nieszczęsnego dnia zostałeś wezwany na powierzchnię przed tego, którego mam zaszczyt reprezentować! Przygotuj się na powrót do swojej nędznej nory w złożu.

– Kogo niby usiłujesz przegnać? Wszystkich? – roześmiał się Byt. – Amputujcie wrzód, a zdrową część ręki możecie sobie zabrać!

I podniósłszy łysą głowę, wpił się w nich ślepyimi oczodołami, z których dobywały się opary.

– Mam dla was złą wiadomość, patałachy: *jestem częścią Natury*. Częścią świata i człowieka!

– Kłamiesz! – krzyknęła Gertruda, ale jednocześnie cofnęła się o krok i po raz pierwszy Dobbin ujrzał na jej obliczu oznaki niezdecydowania.

– A pewnie, popatrzcie tylko na samych siebie! – warczała zaraza na tronie. – Nawet wasze myśli to zbiory atomów, a wewnątrz atomów cząstki elementarne, a w cząstkach – energia, a w energii – ja! Chcecie mnie egzorcyzmować z materii? Ależ moi drodzy! Toż to *ja* sam jestem materią! Chcecie zniszczyć proch, z którego jesteście ulepieni? Poruszać sznurkami marionetek, którymi sami jesteście? Wejrzyj w swoje własne wnętrze, zanim jakąś rzecz pokochasz lub znienawidzisz, albowiem *ja* jestem *tobą*!

(To ostatnie zdanie pan Figury wykrzykuje, jak gdyby opowieść przestała być opowieścią i zmieniała się w przemówienie. Jednocześnie przymyka jedno oko, a drugie szeroko otwiera, wpatrując się w Soledad, która cofa się przerażona).

Nie wiedząc, co robić, Dobbin zwrócił się w stronę ukochanej, lecz to, co ujrzał, sprawiło, że oszalał. Z oczu Gertrudy także dobywały się opary, wymiotowała zdechłymi rybami.

– Gertrudo...! – zawołał, ale zorientował się, że głos więźnie mu w gardle. W ustach rosła mu lepkość, wzrok stawał się coraz bardziej zamglony. Litościwe omdlenie ukryło przed nim na zawsze odpychający widok przeobrażającej się

ukochanej i tronu, na którym liczby obracały się nad paskudną istotą, wydającą okrzyki tryumfu porównywalne z odgłosami wybuchających pocisków.

Policja zastała ich oboje w gabinecie Dobbina następnego dnia. Otruli się jakąś miksturą. Ona zrobiła to skuteczniej i spoczywała na kozetce, z szarymi oczami wbitymi w sufit, jak gdyby na nim zapisana była przyczyna jej śmierci. On żył nadal... Po jakimś czasie doszedł do siebie i stał się moim pacjentem. I chociaż jest faktem, że oboje wyłysieli, nie było żadnego innego dowodu na to, co się wydarzyło, prócz słów Dobbina. Można by pomyśleć, że był to rodzaj szaleństwa, którym zaraziła się ona i które przeszło na niego... Ale ja mu uwierzyłem, gdy mi o wszystkim opowiedział. I od tej chwili nie mogę przestać o tym myśleć: moja materia, mój mózg, moje uczucia... Niekończące się atomy, ukryci wrogowie, którzy obracają kołem fortuny... O, mój Boże! Jak można skończyć z czymś, co tkwi wewnątrz ciebie? Czym jesteśmy? Czym jesteśmy wszyscy?

I mój psychoanalityk, leżąc wciąż na kozetce, szlochając, uniósł ręce ku łysinie. Zapomniałem dodać, że mój psychoanalityk jest łysy.

(Soledad nie może powstrzymać się od śmiechu. Ale po chwili orientuje się, że, oj, niedobrze!, to błąd).



Oj, niedobrze. To błąd.

Śmiech zamiera jej na ustach i czuje, jak gdyby para rąk chwyciła ją za gardło.

Wszyscy na nią patrzą. Dama z dziwną fryzurą odwróciła się ku niej.

– Właściwie z czego się tak śmiejesz? – chce wiedzieć gość w koloratce.

– Mnie się... mnie się wydawało, że to śmieszna opowieść. – Soledad czuje irytację. Czemu nie miałyby się śmiać, skoro ma na to ochotę? – Dobbin i Gertruda, oboje łysi, a potem... potem łysy psycholog.

Śmieje się znowu, żeby pokazać, że to niewinny żart, ale wszyscy obserwują ją jak rzadki obiekt muzealny.

– Czy łysi ludzie wydają ci się śmieszni? – pyta łagodnie gość z koloratką.

– Nie, ja...

– Jeżeli ta mała będzie się śmiać z moich opowieści...! – Ten z bródką, obrażony, urywa w połowie zdania.

– Nie zrozumiała jej, panie Figury – wtrąca dama z dziwną fryzurą. – Dziewczynka nie zrozumiała pańskiej opowieści.

– Rozumu nabiera się z wiekiem.

– Ile masz lat? – pyta kobieta, zwracając się do Soledad.

Wymieniają z damą niepewne spojrzenia. Istotnie, budzi ona w Soledad więcej zaufania niż pan Figury ze swoimi pogroźkami i obrażaniem się, więcej także niż ten drugi mężczyzna, którego zwa „pan Biskup”. Dochodzi do wniosku, że mogłyby się zaprzyjaźnić.

– Dwanaście – odpowiada.

– Jest bardzo młoda, panie Figury, bardzo młoda.

– I chce pani być jej mentorem?

Dama ignoruje pytanie, skoncentrowana wciąż na dziewczynce.

– Podejź – mówi – nie bój się, podejź.

Soledad podchodzi niepewnie, jak gdyby zbliżała się do jakiejś olbrzymiej tablicy. Dama jest szczupła i pachnie perfumami, ale także tytoniem. Nic dziwnego: podnosi do ust papierosa, nie spuszcza wzroku z Soledad znad kłębow dymu, gniewny żarzący się koniuszek skierowany jest prosto na dziewczynkę. Błyszcząca czerwona suknia opina jej sylwetkę od szyi aż po kostki.

– Powiedz, co zrozumiałas z opowieści?

Soledad szuka wzrokiem pomocy, ale u kogo miałyby ją znaleźć? Jej protektorka właśnie zadała pytanie! Stara się streścić opowieść, tak jak to robiła w szkole.

– Istnieje... dobry duch i... istota, która sprawia, że ludzie łysieją... – Nagle, czując się jak druga strona monety, znowu się niesfornie śmieje.

– Śmieje się – zauważa oskarżycielsko pan Figury, wskazując na nią palcem, co wywołuje kolejny wybuch śmiechu. – Niech pani patrzy, pani... – tu pada nazwisko damy w czerwieni. Soledad brzmi ono z francuska. *Lefeau? Lafau? A może Le Fał?* – Ona się śmieje!

Soledad czuje, że łzawią jej oczy, boli ją brzuch, nie może przestać. To taki nerwowy śmiech, „złośliwy”, jak powiedziała by siostra. Czasem jej się zdarza tak śmiać. Dama w czerwieni podnosi piękną rękę z papierosem i obserwuje dziewczynkę niewzruszenie, a może i bezlitośnie. Może oczy zielonego koloru ma lekko niedomknięte. Kwiaty w jej włosach są żółte, loki rudawe.

– Patrz państwo na mnie tak poważnie, że...! – Soledad urywa, by złapać oddech. – Jakby wszystko to było tak nieprawdopodobnie ważne!

Przez chwilę nikt się nie odzywa. Pan Biskup patrzy w sufit, dama w czerwieni pali, dama w bieli zdaje się drzemać. Pierwszą osobą, która reaguje, jest pan Figury: unosi się, chrząka. Soledad przypomina on filmy rysunkowe, w których złe stwory wybuchają złowieszczym śmiechem, obwieściwszy właśnie koniec rodzaju ludzkiego. Ale przestaje jej być do śmiechu, gdy dociera do niej, co mężczyzna mówi.

– Rozbierzmy ją, zwiążmy i utnijmy po kolei palce.

Strach paraliżuje ją, gdy pan Figury wstaje z krzesła. Znacznie bardziej niż jego słowa sam fakt, że widzi, jak się podnosi, sprawia, że traci resztki pewności siebie.

– Nie! Na pomoc! Na pomoc! – piszczy i biegnie ku drzwiom, ale nie ma w nich żadnej klamki, za którą można by pociągnąć, i nie da się ich otworzyć. Wali w nie pięściami. – Tatusiu! Na pomoc! Tatusiu!

– Cierpliwości, panie Figury, to tylko dziewczynka – odzywa się dama w czerwieni. – A skoro mamy do czynienia z panienką zaledwie dwunastoletnią, chociaż my zachowujemy się jak dorośli.

– Niech pan siada, panie Figury, przestraszył ją pan – mówi Biskup. – A ty, mała, uspokój się.

Soledad z trudem przychodzi opanowanie emocji. Jest przerażona, odkrywa jednak, że bała się od dawna, tylko nie zdawała sobie z tego sprawy. Kiedy weszła do tej komnaty, kiedy do niej pierwszy raz przemówiono, kiedy wysłuchiwała opowieści, nawet kiedy się śmiała: była przerażona. Pod cienką warstwą udawanego spokoju, która teraz pękła jak lód na kałuży pod butem, kryje się wyłącznie strach. Plecami do drzwi, z wilgotnymi policzkami, goryczą płaczu w ustach nie wie, czy ma odetchnąć z ulgą, czy zadrzeć jeszcze silniej, gdy pan Figury (który w rzeczywistości nie ruszył się od stołu) siada z powrotem z godnością, bardzo pewny siebie. Nienawidzi go, Boże, jak bardzo go nienawidzi. Wyobraża sobie, że mieszka w takim miejscu jak ten Byt z opowieści: odpychającym, w którym wszystko rozpada się na kawałki i zostaje

tylko ten stojący typ, kukła bez życia. Nie cierpi jego braku poczucia humoru, jego spojrzenia tym jednym okiem, którym zdaje się mówić: „Niczego przede mną nie ukryjesz!”. Jest z całą pewnością obrzydliwym typem.

Dama w czerwieni zdaje się rozumieć, o czym myśli Soledad.

– Uspokój się, mała. Pan Figury widzi, co chce widzieć, i nic go nie zmieni. Taki już jest. My pozostali jesteśmy bardziej ugodowi. Nikt tu nie zrobi ci krzywdy, ale musisz uważniej posłuchać kolejnej opowieści. Skup się, nie myśl o niebieskich migdałach. I nie śmieję się w niewłaściwych momentach. A teraz... uśmiechniesz się?

Soledad nie ma ochoty się uśmiechać, ale zmusza się do tego ze względu na damę. Skulona z zimna, drżąca mimo żakiecika przywołuje na usta nieśmiały uśmiech, wiedząc, że okaże się uwodzicielski. W domu może wiele osiągnąć, kiedy się tak uśmiecha. Dama wyraża zadowolenie.

– Ale będzie musiała zapłacić! – krzyczy irytujący pan Figury. – Zapłaci za to, co uczyniła! – Rusza wąsikiem, znowu patrzy na nią jednym okiem, unosi wysoko brew.

– Przepraszam, bardzo żałuję, że się roześmiałam – szepce Soledad.

Jedno zdanie i wszystko się zmienia. Pan Figury sprawia wrażenie o wiele spokojniejszego. Więcej: szczęśliwego. Soledad odczekuje w milczeniu i myśli, że już zna tego człowieka. Łatwo go zadowolić, udając łagodnego baranka. „Widzi, co chce widzieć”, stwierdziła dama, co pewnie oznacza, że nie widzi nic poza końcem własnego nosa albo nic ponad to, co widzi każdy. Do pewnego stopnia tata jest podobny: łatwo go urazić albo uspokoić, gdy tylko coś mu się wydaje. Zdecydowany w pogróżkach, bezbronny wobec pochlebstw. Ona wie, jak postępować z ludźmi takimi jak tata, i podejrzewa, że pana Figury także łatwo jest zadowolić.

– Zapłaci, panie Figury – wtrąca się pojednawczo pan Biskup. – Zapewniam pana, że zrobimy to tak, jak pan lubi. Ale teraz czy mógłby pan sprawić nam przyjemność kolejną opowieścią?

– Wedle życzenia, panie Biskupie. Spodoba się panu: jest w niej morze i okrucieństwo. Nosi tytuł *Narodziny Wenus*, ale właściwszy byłby „Sophia”...



NARODZINY WENUS

Sophia, tak. Jej imię przywodzi mi na myśl grzywy jeżowców, spiralne skręty muszli, rozgwiazdy i szkarłupnie. Gdy je wymawiać z akcentem na pierwszą sylabę, „SOphia”, kojarzy się z Safo, Lesbos i Lemnos, pobrzmiwa w niej element joński, egejski, przedśródziemnomorski, cały ten świat, w którym się właśnie pływałem.

Bo trzeba wam wiedzieć, że w Pafos, słodkim Pafos w niezajętej przez Turków części Cypru, dotrzyzymałem towarzystwa Grigorijowi Fasjewowi, wraz z którym w nadmorskiej willi klasyfikowaliśmy jego głębinowe skamieniałości.

– Ty masz je klasyfikować – mówił mi Grigorij – tylko klasyfikować. To nie jest trudne.

Nie było: ułożone w rządkach w naszym pokoju do pracy wysychały na mumie wężowidła i bursztyny, amonity, belemnity, hiolity, numulity i trylobity, a na karteczkach widniało: Kambr, Kreda, Ordowik, Jura, Perm.

– Masz je klasyfikować – mówił Grigorij – podzielone na segmenty, pierścienice, ramienionogi, szkielety mątwy, muszle...

Grigorij wiedział, że w tych sprawach może na mnie polegać: jeśli chodzi o wagę i rozmiary, jestem dokładny jak maszyna, jak mikroskop, który separuje i identyfikuje. Dlatego właśnie, kiedy się przypadkiem spotkaliśmy w pewnym hotelu w Paryżu, nie wahał się, by zaproponować mi tę pracę w Pafos. Nie mówił mi, czego dokładnie szuka, a ja też specjalnie się nie dopytywałem. Liczyło się to, że dobrze płacił. Jego ojciec, Rosjanin mieszkający w Niemczech, zbudował całe imperium firm, które Grigorij – jako jedyny potomek – odziedziczył. Dysponujący bogactwem, ale pozbawiony ambicji, by prowadzić rodzinny interes, marzył, niczym jakiś nowy Schliemann, by wyryć swe nazwisko na kolejnym archeologicznym znalezisku na skalę światową. Oprócz mnie zatrudnił grono greckich płetwonurków (do tureckich nie miał zaufania), a oni, pokrzykując, codziennie rano zwalali na nasz stół ładunek niepotrzebnych kamieni, jakby hałaśliwie przybijali jakiś zakład.

Ja dokonywałem wstępnej selekcji, a Grigorij poddawał je skrupulatnej analizie.

Aż wreszcie któregoś popołudnia wśród słońca i palm, popołudnia, które nie zachowałyby się w pamięci, gdyby nie wypowiedziane wówczas słowa, odsłonił przede mną niektóre szczegóły swojej obsesji.

– Afrodyta, przyjacielu.

– Coś mi to mówi. To ta sama co Wenus?

– Wenus, Afrodyta, Astarte, Isztar, Astaroth... Nazywaj ją, jak chcesz. Początki jej legendy sięgają pradawnego kultu kreteńskiego. Stamtąd kult przeszedł na Kyterę i Peloponez. Nie wyobrażano jej pod jedną postacią, a pod wieloma, czasami skrajnie różnymi. Była boginią miłości, ale także boginią śmierci. Czarna Malainis. Skotia lub Epitymbria, bogini grobów. Androfonos – mężobójczyni...

– Chyba bardziej mi się podoba jej tradycyjny wizerunek – stwierdziłem.

– Tu, w Pafos, cieszyła się kultem tajemnym i już zapomnianym. Kapłanka tańczyła na nadbrzeżnych skałach i oddawała się falom, a potem wynurzała się, odnowiona, niczym Wenus z piany – nasienia ojca wszystkich bogów... Afrodyta jest zatem również boginią narodzin, początku życia.

– Ładna legenda.

– Tak, ale nie zapominaj, że w każdej legendzie są ukryte znaczenia. Jedne wychodzą z drugich, tworząc korytarz znaczeń, labirynt, a w końcu ten labirynt ostateczny, końcowy, minotaurowy... To właśnie do tego znaczenia pragnę dotrzeć.

– Tak czy inaczej to tylko mit – zauważyłem między jednym a drugim łykiem cypryjskiego wina.

Grigorij z tajemniczą miną gładził siwą brodę.

– Afrodyta nie jest jedynie mitem, chłopcze, i postaram się tego dowieść.

Znacznie mniej tajemniczy był jego zwyczaj skracania swojego i tak już krótkiego życia niedorzecznymi orgiami w knajpach przy plaży. Tam, wśród Ormianek, Greczynek i nielicznych Turczynek (w tym wypadku zaufanie Grigorija było znacznie wyższe), przy smętnych dźwiękach mandolin, Grigorij Fasjew mógł pić i śpiewać, jak jego słowiańscy i germańscy przodkowie razem wzięci. Pamiętam, jak zarumieniony aż po nasadę siwych włosów, jak gdyby wrócił znanad Morza Czerwonego, godzinami opowiadał mi już nie o Afrodycie, ale o Sophii.

– Sophia... Poznałem ją wiele lat temu w Grecji, podczas sylwestra w Pireusie. Znasz ten klimat: sztuczne ognie, maski, sirtaki... Raz jeden, w tę jedną noc, chłopcze, i nie mogę jej zapomnieć... Takie kobiety już się nie rodzą! –

I konkludował, puszczając oko do młodych dziewczyn, które nie rozumiały, co mówi:

– Jestem marzycielem. Namiętność mnie zgubi.

– Co do tego nie ma wątpliwości – przytakiwałem.

Po raz pierwszy mój stary przyjaciel opowiedział mi o Sophii przy dziewczynie, która, jego zdaniem, bardzo była do niej podobna. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, była pochodzenia turecko-greckiego z dziwną, ale podniecającą domieszką krwi azjatyckiej. Pracowała w jednym z barów w Pafos jako tancerka i mimo młodego wieku miała już spore doświadczenie w podrzędnym ateńskim teatrzyku. Jej marzeniem było zamieszkać w Kalifornii. Podała nam swoje prawdziwe imię, ale nie miało to znaczenia ani dla mnie, ani dla Grigorija, i błagaliśmy ją z pijackim uporem,

byśmy mogli nazywać ją „Sophia”. Żeby zrobić przyjemność Grigorijowi, który tamtą znał, i mnie, który jej nie znał.

– A więc, „Soophia”... – Wargi Grigorija okolone wąsami i brodą układały się w kształt litery o.

Sophia, wiele mówiące imię. Madrepora, koralowce, ogony trytonów, jej wystające kości policzkowe, sepie, małże perłopławy, jej wyrzeźbione uda, pancierz kraba, pareo zamotane na piersiach, posąg Wenus z Kytery, jej koryncka talia, jej śródziemnomorska smagłość. Ach, i ten jej sposób mówienia, nasuwający na myśl niewypowiedziane obscena.

– Ten pan... pana przyjaciel? – pytała, wskazując na Grigorija. Porozumiewaliśmy się po angielsku, choć jej był nieco słabszy.

– Można tak powiedzieć.

Grigorij pochrapywał już nad stołem, a kiedy Sophia się nad nim pochylała, jej piersi najady muskały jego siwiznę.

– Zabawne – przyznała – pijany.

– Rzeczywiście pije dużo, a nie powinien.

– Nie?

– Jest chory na serce. Zażywa leki, ma takie tabletki pod język.

– Nigdy nie widziałam, żeby używać języka do czegoś takiego.

Roześmiałem się.

We dwójkę taszczyliśmy Grigorija do jeepa zaparkowanego przy plaży. Nabrawszy zaufania, pytała dalej.

– Co robicie?

– Co?

– Na Cyprze. Turyści?

– Segregujemy skamieniałości.

– Aha – mruknęła, jakby natychmiast wszystko stało się dla niej jasne. Trzymała Grigorija pod pachy z niezwykłą siłą. Głowa kiwała mu się w obie strony, jak u konającego byka. – Mówią tu, że wy... bogaci profesorowie.

– On jest bogaty. Profesorem nie jest żaden z nas.

– A ty?

– Ja?

– Tak. Kim jesteś?

– Jestem tym, co widzisz – odparłem.

Poczawszy od tej chwili, stało się naszym zwyczajem, że zaczynaliśmy gawędzić, gdy tylko Grigorij zapadał w pijacką drzemkę.

(„Co za kretyńska odpowiedź – myśli Soledad – ale po panu Figury można się było tego spodziewać. Przecież ta dama powiedziała wcześniej: «On widzi to, co chce zobaczyć»”).

I tak było jednego dnia. I następnego. Łodziki, rogi Amona, czareczki, żeglarki, neptunee, nerity, polipy... Nie miałem pojęcia, że na dnie morza leży tyle nieposegregowanego śmiecia.

– Klasyfikuj – mówił Grigorij, który czasami zostawiał mnie samego i zamykał się w gabinecie niczym w kajucie, aby wpatrywać się w mapy dużo większe niż on sam, na których widać było wyłaniający się z morza dziób Cypru, albo tłumaczyć antyczne teksty, czytając je na głos.

I nagle pewnego ranka nastąpiła zmiana. Płetwonurkowie, których wynajmowaliśmy na kilka słonecznych godzin, aby przeczesać morze, wrócili wcześniej niż zazwyczaj, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa, które Grigorij przełożył na emanujący podnieceniem angielski.

– Coś znaleźli! Na dusze naszych matek, coś znaleźli! Ale jest to zbyt wielkie i kruche, nie chcą tego ruszać bez mojego pozwolenia! Pędźmy na plażę!

Co powiedziawszy, wskoczył do jeepa. Po gorączkowej jeździe dostrzegliśmy gąszcz pontonów na piachu i płetwonurków wciąż w czerni skafandrów. Trzech z nich podtrzymywało coś, co wyglądało jak kamienne, ciężkie, poorane wiosło. Grigorij w biegu wyskoczył z jeepa. Grecy gratulowali mu znaleziska.

– Nie może być! – wykrzykiwał. – Takie wielkie! Takie ogromne!

Dla mnie był to tylko jakiś przedmiot długości mniej więcej trzech i pół metra, szerokości osiemdziesięciu centymetrów. Wyglądał jak prehistoryczny bochenek. Ale Grigorij puścił się w tan, a jeden z płetwonurków, zarażony jego histeryczną radością, uniósł znalezisko w górę, krzycząc coś, co wywołało u Grigorija paroksyzmy śmiechu.

– Mówi, że to wykałaczką Neptuna!

– No to jej najwyraźniej parę razy użył – wskazałem nie bez odrazy na jasnozielone pasożyty i festony wodorostów wyłazące z otworów.

Grigorij zaczął wydawać polecenia, a powrót do domu, w przeciwieństwie do jazdy na plażę, był znacznie spokojniejszy, jakbyśmy transportowali ofiarę wypadku do położonego wysoko w górach szpitala. Grigorij spędził całe popołudnie w gabinecie wpatrzony w podłużną skamieniałość. Nie mogę powiedzieć, że czas nie upływał, bo upływa zawsze komuś, kto ma ochotę go kontrolować, zatem po czterech godzinach leżenia jak trup w hamaku i raczenia się przetworem z cypryjskich winogron usłyszałem skrzyp otwieranych drzwi.

– Mój Boże – odezwał się Grigorij na mój widok – o, mój Boże jedyny...

Podsunałem mu swój kieliszek z winem i odezwałem się słodko:

– Jeszcze nie osiągnąłem stanu boskości, Grigoriju, ale zaczekaj, aż otworzę kolejną butelkę...

– Lepiej chodź to obejrzeć.

Poszliśmy. To co ujrzałem na stole było tą samą skamieniałością, którą widziałem

cztery godziny wcześniej, podzieloną teraz na trzy części. Grigorij wpatrywał się we mnie zaczerwieniony od słońca, emocji, wysiłku i wina, gdyby uznać, że to są rzeczy różne, a nie jedno i to samo.

– I co? – zapytałem zdecydowany, by dowiedzieć się natychmiast.

– Na Boga, nie widzisz? – spytał urażony. – Spermatozoid! Gigantyczny skamieniały spermatozoid!

Gdy tylko zdołał zakonserwować nerwy w alkoholu, opowiedział mi całą historię.

– Wpadłem na to, kiedy znalazłem pewne rękopisy w Nikozji. Znasz legendę o narodzinach Afrodyty albo Wenus: Uranos został wykastrowany przez własnego syna, Kronosa, kamiennym sierpem; genitalia ojca Kronos wrzucił do morza w pobliżu przylądka Drepanon, według Hezjoda. Nasienie połączyło się z pianą Morza Egejskiego i narodziła się ona, ta która zjawiała się niesiona w wachlarzowatej muszli przegrzebka (zwanego gdzieniegdzie wenerą). Okazuje się jednak, że Hezjod mylił się co do miejsca! Rękopisy z Nikozji, kopia dawniejszych tekstów pochodzących z Pafos, mówią o miejscu w pobliżu Cypru, nie o przylądku Drepanon... Musi to być jakaś mała wyspa. Istnieje poemat wskazujący na właściwą lokalizację. Właśnie usiłuję go przetłumaczyć... Jeden z wersów brzmi: „W pianie podskakiwały jasnozielone żmije...”. Rozumiesz? „Jasnozielone żmije”! Spermatozoidy!

– Krótko mówiąc, znalazłeś spermatozoid Uranosa. – Starłem się usilnie, żeby to nie zabrzmiało jak kpina, ale nawet Grigorij roześmiał się, mimo że w pierwszej chwili zamilkł zaskoczony.

– Chcę dowieść, że legenda o narodzinach Wenus oparta jest na faktach. Nie chodzi mi rzecz jasna o kobietę zrodzoną z morskiej piany, ale o jakąś autentyczną, prehistoryczną piękność, którą mit uwiecznił pod postacią bogini miłości, życia i śmierci. I jeżeli tytaniczna sperma, która wpadła w cypryjskie wody, jest prawdziwa, ciało tej wielkiej Bogini Matki musi się gdzieś znajdować. Może... Kto wie? Może naprawdę chodzi o boginię!

– Grigorij – przerwałem mu.

– Słucham?

Miałem powiedzieć mu rzecz oczywistą: że nie jest biologiem i że ten przedmiot w jego gabinecie mógłby być wszystkim, począwszy od fenickiego wiosła, skończywszy na kawałku podwodnej wapiennej skały. Ale zamilkłem, dostrzegłszy rozmarzone okrucieństwo w jego spojrzeniu. Ujrzeć kogoś upojonego złudzeniem to jak ujrzeć walkę psów: zostań albo odejź, ale przenigdy tego nie przerywaj.

– Nic – powiedziałem.

Zirytował się. Wycelował we mnie oskarżycielsko wykręcony artretyzmem palec.

– Ty nigdy nie wierzyłeś w Afrodytę...

– Ja wierzę w Sopię, Grigorij.

Jak bardzo nie chciałem się domyślać, że nie szuka Afrodyty, tylko Sophii, bogini owej jednej nocy w Pireusie, nieusuwalnej i musującej, która osładzała ostatnie dni? Przeszukując morze, nad którym ją poznał, Grigorij udawał, że interesuje go mit, podczas gdy w rzeczywistości pragnął jedynie odzyskać wspomnienia.

Rozmawiałem z fałszywą Sophią następnego dnia. Przekonałem Grigorija do podjęcia naszych wspólnych pijaństw, a ona wciąż tkwiła przy barze, jak gdyby tylko na nas czekała.

– Staruszek wariuje – powiedziałem jej, gdy po raz kolejny zostaliśmy sami, w rytm pochrapywań Grigorija. I opowiedziałem jej całą tę historię. Gdy doszedłem do znalezienia skamieniałego spermatozoidu, Sophia wybuchnęła śmiechem, opryskując mnie winem, którego nie zdążyła przełknąć. Wybaczyłem jej w zamian za pokaz tańca, jaki zaserwowały mi jej piersi pod zielonym topem.

– Biedny człowiek, prawda? – stwierdziła, ocierając łzy.

– Biedny bogaty człowiek – uściśliłem.

Zabawiliśmy się w telepatię, wymieniając spojrzenia, i ciągnęliśmy rozmowę. Tamtej nocy rozmawialiśmy dużo, mimo że przerywały nam chrapliwe okrzyki Grigorija, który chwilami wybudzał się z pijackiej drzemki, aby wymamrotać „kocham cię”. Wówczas ona zasypywała go podniecającymi pocałunkami swoich jońskich warg i mogliśmy wrócić do rozmowy. Trwała ona do chwili, gdy morze się rozjaśniło, i dopiero wówczas odjechałem jeepem z Grigorijem i nowymi pomysłami w głowie.

Pierwszym było, rzecz jasna, doradzić staremu przyjacielowi, by pilnował znaleziska. Gdyby do cypryjskiego rządu dotarło, że ktoś znalazł spermatozoid Uranosa w cypryjskich wodach terytorialnych, bez wątplenia pojawiłyby się problemy natury prawnej.

– Nie mówiąc już o szkodliwej sławie, jaką by to całej sprawie przyniosło – przekonywałem. – Wyobraź sobie Turków, Greków i Cypryjczyków zatrudniających całą armię podmorskich speców, by przeorać krok po kroku calutkie wybrzeże w poszukiwaniu czegoś więcej, sam nie wiem, na przykład, dajmy na to, naskórka moszny. Byłby to w pełnym tego słowa znaczeniu rabunek, Grigorij.

– Masz rację – przyznał zaniepokojony. – To co możemy zrobić?

Zacząłem go uspokajać, aż wreszcie oddał całą sprawę w moje ręce. Po pierwsze zamówiłem ekspertyzę u pewnego uprzejmego biologa, który zaświadczył, że w rzeczy samej istotnie mamy do czynienia z gigantycznym skamieniałym spermatozoidem. Nie mniej uczynny cypryjski adwokat oddał do naszej dyspozycji wszystkie środki, ażeby skamieniałość przeszła na wyłączną własność Grigorija, a w razie jego śmierci na własność jakiejś instytucji dobroczynnej. Wszystko to przy pieniądzach Grigorija okazało się proste. Równie proste było zdobycie zaświadczenia profesora – eksperta od greki klasycznej – który dokończył prawidłowego tłumaczenia

ostatnich wersów tajemniczego poematu z Nikozji. Głosiły one, co następuje:

Przyglądaj się z ukrycia Acidalii,
wielbionej przez pianę i gołębie,
zostawia ślady w muszlach jak wachlarze,
córy Temidy oddają jej cześć,
a białozłota Talo ją obuwa
w koturny tam, gdzie wstaje słońce,
stara zaś Carpho przymierza jej szatę
w ten sposób...

A następnie jakieś przypadkowo umieszczone liczby, na których widok Grigorij wykrzyknął: „Eureka!”. Dla niego stanowiły one prawdziwy klucz.

– „Acidalia” to kolejny przydomek Afrodyty – wyjaśniał. – „Talo” i „Carpho” to dwie pory roku odpowiadające przesileniu letniemu i zimowemu, ale może tu chodzi tylko o rytualny symbol. Tajemnica pojawia się później. Koturny wskazują na pozycję podwyższoną, północną. „Tam, gdzie wstaje słońce” oznacza „na wschodzie”. A liczby... to odległość, mierzona tak, jak obliczali starożytni greccy żeglarze!

– Masz rację – przyznałem, wskazując na mapę – zgodnie z tymi pomiarami, na północny wschód od nas sterczy z morza wysepka. Co za niezwykły zbieg okoliczności!

Wyruszyliśmy w południe następnego dnia kutrem, który wypożyczyłem u starego rybaka. Godzinę później ujrzelśmy ciemne skały, stada mew, pierścień mgieł. Podczas gdy rzucaliśmy cumy, zastanawiałem się nad czymś, co uważałem za własne odkrycie: morze nie ma zapachu, zapach mają jedynie przedmioty, które ono obmywa. Pachną sól, skóra rekinów, wnętrza omułek, mokry piach na plaży, trzewia ogórczaków, a nie woda, piana czy fale. Dlatego też Grigorij i ja, obaj zmoczeni morską wodą, byliśmy bardziej morzem niż samo morze. Wyspa natomiast – niezupełnie: sucha i skalista, zdawała się ulubionym celem cypryjskich par poszukujących intymności, czego dowodziły porozrzucane wszędzie rozbite butelki, opakowania po chipsach, a nawet zużyte prezerwatywy. Zaiste: najprawdziwsza świątynia Amora, aczkolwiek pozbawiona wszelkich afrodyzjaków. Mimo to Grigorij kipiał entuzjazmem.

– Ruiny! Tam! – wskazywał na obryw skalny. Pobiegł ku niemu, a ja pomyślałem, że widocznie ruiny przyciągają go na zasadzie podobieństwa. Gdy je zwiedzał, przekazałem mu smutne nowiny.

– Niestety trzeba będzie zastanowić się nad lepszym sposobem spędzania czasu. Właśnie odkryłem dziurę w baku kutra. Niech diabli wezmą tego Turka, który nam go wypożyczył – dodałem, a Grigorij podzielał moje oburzenie. – Nie mamy czym wrócić.

Kłęcząc na skałach, wpatrywał się we mnie zmęczonymi wąskimi oczami. Ostry

wiatr rozwiewał na wszystkie strony jego siwe włosy.

– To co robimy? – spytał.

– No cóż, nie zdarzyło się jeszcze, by dwóch rozbitków miesiącami marniało na jakiejś wysepce o godzinę żeglugi od brzegów Cypru. Ktoś tu kiedyś przypłylnie. Poza tym mamy wszystko, co trzeba, by spędzić tu wieczór, a pogoda jest doskonała. Oddajmy się przyjemnościom życia – co mówiąc, wyjąłem z lodówki na kutrze butelkę jego ulubionego cypryjskiego wina.

Krótko potem niebo zaczęło ciemnieć z typowym dla niego nieludzkim spokojem, ale przedtem oferowało nam taki zachód słońca, jaki powinien stanowić obowiązkowe ćwiczenie z kopiowania w każdej akademii sztuk pięknych. Kiedy zapadła noc, taka noc, o jakiej już zapomnieliśmy, mając do dyspozycji w każdej chwili wyłączniki i żarówki, czarna noc świata i morza, inspiratorka mitów i areopagu bogów, Grigorij był już pijany. Podczas gdy sprawdzałem raz po raz rozmiary naszej bezludnej wyspy (trzydzieści metrów, tak na oko, zakładając, że jej przemierzenie trwało minutę, a człowiek w sekundę robił jeden półmetrowy krok), mój stary przyjaciel z butelką przy ustach siedział na rumowisku i perorował.

– Gówniana wysepka! Brudna, zaśmiecona puszkami...! A gdzie fantazja? Gdzie tajemnica? Gdzie marzenia, które stanowią część najświętszego dziedzictwa ludzkości? Kiedyś wierzyliśmy w rzeczy piękne, w mity i legendy... Kiedyś myśleliśmy nawet, że prawda jest prawdą, jeżeli jest piękna. Kiedyś, w jakiejś dawno utraconej chwili, wszyscy byliśmy poetami i wymyślaliśmy opowieści, które okazywały się rzeczywistością, gdy je opowiadano. A teraz co? Gdzie się to wszystko podziało? Otacza nas mgła, a my żyjemy na prezerwatywach i butelkach alkoholu... – i po chwili dodał – w dodatku pustych.

Uśmiechnąłem się w milczeniu.

(Soledad płacze cichutko. Słowa Grigorija wzruszają ją, sama nie wie czemu. Sądzi, że chciałaby poznać tego człowieka).

Cichy plusk usłyszeliśmy dopiero później. Siedzieliśmy w kucki, dzieląc się ostatnimi kroplami z ostatniej butelki, gdy nagle Grigorij cofnął twarz z kręgu światła naszej jedynej latarki.

– Słyszałeś?

– Co?

– Wydawało mi się... że coś...

– To fale.

– Nie... To ktoś... to coś...

– Grigorij, jesteś pijany i zdenerwowany, a wiesz dobrze, że to nie służy twojemu sercu.

Chwycił mnie mocno za ramię.

– Ja chyba oszaleję! – wrzasnął w kierunku morza. – Całkiem oszaleję!

W odpowiedzi morze zareagowało na jego szaleństwo.

Turkusowe, widmowe światło wydobyło z cienia zarysy fal jakieś piętnaście metrów od nas, ale w ciemności wydawało się zaskakująco blisko.

A nad nim unosiła się Wenus.

Pamiętam, że Grigorij odsunął się ode mnie i ruszył niczym dziecko w noc wigilijną ku owej turkusowej zjawie. Nie uszedł nawet pięciu kroków, gdy nagle upadł z ręką uniesioną ku piersi, umarł i rozplakał się.

Nie pomyliłem kolejności. To było dokładnie tak: najpierw jego twarz zrobiła się zupełnie biała, jak gdyby skóra stała się przezroczysta niczym szkło i pozwalała rozróżnić kości czaszki wewnątrz; oczy wpatrywały się wciąż w ten pusty punkt, który dostrzegamy dopiero wtedy, gdy nie widzimy już nic, i chwilę później popłynęły z nich łzy. Wyglądało to tak, jak gdyby mieszkaniec pozostał chwilę dłużej w niezamieszkanym ciele, aby zapłakać nad dobrymi chwilami przeżyтыми w tym wnętrzu. Muszę przyznać, że sam bardziej wpatrywałem się w to drugie ciało, to aż do bólu żywe, unoszące się na powierzchni morza, i myślałem: „Androfonos, mężobójczyni”. Na nieszczęście, cała scena miała kiepski finał, gdyż postąpiwszy krok do przodu, Afrodyta nagle potknęła się i dało się słyszeć głośne: „plusk”, tak ordynarne, jak gdyby ktoś czytając Keatsa, nagle puścił bąka.

„Cholera, w sumie nie wyszło nam to najgorzej”, pomyślałem, podczas gdy moja Wenus wyłaziła z wody, konając ze śmiechu, wciąż w peruce i w makijażu, choć straciła już aurę wszelkiej tajemniczości, ale nadal naga i nadal, w pewnym sensie, nieznacznie boska. Nie okazało się sprawą skomplikowaną wyciągnięcie pieniędzy Grigorija, gdy tylko okazaliśmy stosowne dokumenty, ustanawiające nas spadkobiercami jego majątku, które przygotował wcześniej jeden z moich współników, a które Grigorij podpisał, nie czytając, zajęty ochranianiem swego skamieniałego znaleziska. Nie okazało się trudne zatarcie wszelkich dowodów, zwłaszcza tratwy z zielonymi światłami, na której moja Sophia, ta fałszywa, ta była aktorka podrzędnego teatryku, podpłynęła do wyspy, wiosłując ostrożnie, by nikt jej nie usłyszał.

Na tym się kończy moja opowieść.

Dodam jeszcze, że uważam, iż uczyniliśmy wielką przysługę Grigorijowi oraz fałszywej Afrodycie. Ponieważ prawdziwa Afrodyta nie istnieje: jest jedynie pianą, mitem, wspomnieniem, zapachem morza, które nigdy samo nie pachnie, podobnie jak nigdy nie istniała prawdziwa Sophia, a jedynie namiętność mężczyzny i jego szczęście w chwili śmierci. I jeżeli fałszywa Afrodyta i fałszywa Sophia były chociaż przez chwilę nie do odróżnienia od prawdziwych, a to jest maksimum tego, co można osiągnąć jakkolwiek iluzją, jakie ma znaczenie fakt, że obie były fałszywe?

Co o tym sądzisz, mała?



Nie oczekiwała takiego pytania! Wpatruje się w pana Figury.

– Nie słuchałaś? – dopytuje się mężczyzna.

– Nie...! Nie, skądże znowu! Słuchałam uważnie!

– No to odpowiedz. Co o tym sądzisz?

W tonie pana Figury nie słyhać groźby, raczej naleganie, tak samo czasami zdarza się tacie. Soledad zdążyła już zapomnieć, czego dotyczy pytanie, więc odpowiada, jak potrafi.

– Żal... Żal mi tego człowieka... Grigorija.

– Uszczęśliwiłem go.

Soledad wpada w złość. Ma co nieco do dodania.

– Ale pan go oszukał. Okłamał. Zadrwił pan sobie z niego!

– Dałem mu więcej szczęścia w tej jednej chwili, niż poczuł przez całe swoje życie. – Pan Figury przemawia ze spokojem, z jego tonu przebija zimna logika, której Soledad zaczyna nienawidzić.

– Ale pan sobie z niego zadrwił. I skrzywdził go pan. W gruncie rzeczy tak się pan właśnie zachowuje. Robi pan krzywdę. Zadrwił pan sobie z własnego przyjaciela, tego psychologa, i z Gertrudy, i Dobbina... Pan nie wierzy w nic ani w nikogo.

Gdy kończy zdanie, czuje rumieniec na policzkach. Czwooro dorosłych nie wydaje się zaskoczonych jej odwagą. Dama w czerwieni odwróciła się plecami i pali. Pan Biskup ogląda własne dłonie nad stołem. Dama w bieli siedzi nieruchomo, zwrócona do dziewczynki profilem. Natomiast pan Figury wzrusza ramionami.

– I dlatego jestem odrażający, tak? – Krzywi doskonale ułożone wąsy. – Wiedziałem, mała, że mnie nienawidzisz.

W tej samej chwili przychodzi jej na myśl pewne wspomnienie. Ma wrażenie, że wydarzyło się to bardzo dawno temu, w poprzednim stuleciu. Była w szkole, siedziała w ławce, kiedy nauczycielka wezwała ją i oznajmiła, że ojciec wkrótce po nią przyjedzie. Tata rzeczywiście się zjawił, wziął ją za rękę i podczas podróży autem powiedział: „Sol, mamy już z nami nie ma”. I dodał: „Tak bywa w życiu, córeczko”. A może powiedział to później, kiedy ją do siebie przytulał.

Mama zmarła na raka, tak w życiu bywa. Tata jest bogaty i od chwili gdy owdowiał, wiele kobiet pojawiało się u jego boku, tak w życiu bywa. Zdanie wypowiedziane wtedy przez tatę dzwoni jej teraz w uszach. Tak w życiu bywa, czy ktoś temu zaprzeczy? Jest już dostatecznie duża, by zdawać sobie z tego sprawę: nikt,

poza szaleńcami, nie żyje w fantastycznym śnie. I nikt nie jest temu winien, ani jej tata, ani pan Figury, ani Grigorij, ani Dobbin. Nikt nie ułożył życia tak, jak ono wygląda, to życie samo się poukładało.

Ta myśl ją uspokaja. Kilkakrotnie mruga powiekami, a potem odzywa się cicho:

– Nie, nie zgadzam się z panem, ale nie nienawidzę pana... A tak w ogóle morze, owszem, pachnie, tylko że pana interesuje wyłącznie ziemia – dodaje, uważnie mu się przyglądając.

– Ta mała jest inteligentniejsza, niż nam się wydawało – stwierdza pan Biskup.

– Wszystko jedno, ma zapłacić. – Pan Figury zapomniał chyba jej imienia, jak gdyby odpowiedź, którą usłyszał, w jakiś sposób go rozdrażniła. Uderza w stół otwartą dłonią. – A może pan zapomniał, panie Biskupie, że popełniła błąd już przedtem?

– Nie, panie Figury, nie zapomniałem. Poddaję to pod uwagę wszystkich.

– Biedna mała, nie przesadzajmy – odzywa się dama w czerwieni. – Niech tylko należy nam wina.

– Nie, nie tylko to, proszę pani... – Pan Figury ponownie wypowiada to francuskie nazwisko. Soledad postanawia nazwać damę panią Lefó, tak jak owo nazwisko się wymawia. Pan Figury unosi wskazujący palec. – Niech należy wina... i niech zdejmie ubranie.

Soledad czuje skurcz w żołądku.

– Niech pan zdecyduje, co ma zdjąć, panie Figury – prosi pan Biskup.

– Podejdz, mała.

Soledad wydaje się, że wszystko skończy się szybko, o ile tylko będzie się zachowywała w sposób naturalny. Przecież w końcu pan Figury nie robi nic innego, tylko wciąż z niej pokpiwa, prawda? A jeżeli nie da mu powodów do kpin, to te kpiny wreszcie ustaną. Tak więc podchodzi do stołu i zatrzymuje się pomiędzy panem Figury a panią Lefó. Jedynie ręce zdradzają, jak jest zdenerwowana, bo chociaż trzyma je swobodnie opuszczone, to palce lewej poruszają się, skubiąc skórę na kciuku.

Pan Figury przewierca ją wzrokiem, jego twarz się wykrzywia. Nigdy nie wydawała się Soledad bardziej fałszywa niż w tej właśnie chwili. Przypomina buzie marionetek. Z jakiegoś powodu jednak nie czuje strachu.

– Żakiet – odzywa się w końcu mężczyzna. – Niech zdejmie żakiet.

– Najpierw niech należy wina. – Pan Biskup czyni gest ręką.

Butelka przechodzi nad stołem z ręki Biskupa do rąk pana Figury, a z jego rąk w ręce dziewczynki. Soledad dotyka szkła: bardzo zimne, chociaż wydaje się, jakby płyn w środku był letni. Jak gdyby oparła rękę o skostniałą z zimna wilgotną skórę i poczuła pod nią pulsowanie krwi. Postanawia obsłużyć najpierw panią Lefó, potem damę w bieli. Musi przejść z tyłu tej pani, żeby znaleźć się na terytorium dotychczas

niezbadanym – w pobliżu Biskupa, a gdy tam przechodzi, płomień świecy w kącie drży. Podczas gdy pochyla butelkę nad pucharem Biskupa, dostrzega po raz pierwszy coś dziwnego: stół nie jest całkiem czarny. Na jego powierzchni niemal po sam brzeg wymalowane jest srebrne koło, a w nim coś, co przypomina zwierzątka, dwie jaszczurki albo salamandry ścigające się nawzajem.

Bóg jeden wie, co to oznacza, o ile cokolwiek oznacza. W tej chwili ważne jedynie, że za Biskupem nie ma już dość przestrzeni, aby się precyzyjnie, tak więc zawraca do pana Figury, który przez cały ten czas nie spuszczał z niej wzroku.

– Żakiet – przypomina Biskup, odbierając jej z rąk butelkę. – Możesz go położyć obok plecaka.

Zawstydzona chce patrzeć w podłogę, ale tylko na początku, w pewnej chwili postanawia, że lepiej bezpośrednio stawić czoło wzrokowi pana Figury. Już jej to nie przeraża: sądzi nawet, że jest osobą naprawdę smutną. Jego opinie są puste niczym balon. Soledad odkrywa, że tak bardzo jej go żal, iż jego kpiny już jej nie obchodzą. Pozbywa się ich, tak jak żakiecika. Prawy rękaw wywraca się na lewą stronę, ukazując białą podszewkę. Soledad poprawia rękaw, ale powstrzymuje pragnienie, by starannie złożyć żakiecik, tak jak to czyni w domu. Rzuca go byle jak na plecak, odsłaniając srebrną tarczę szkoły Valdelosa na górnej kieszeni kontrastującą z ciemnym materiałem. Potem rozciera nagie ramiona, okryte tylko krótkimi rękawami bluzki. Ku jej radości ten rodzaj cichej rywalizacji z panem Figury chyba się zakończył i to ona jest tryumfatorką. Pan Figury odwraca wzrok, nie śmieje się, sprawia wręcz wrażenie, że to wszystko przestaje go obchodzić.

– A teraz, pani Lefó, pani pierwsza opowieść, prosimy – odzywa się Biskup.

– Z przyjemnością.

Pani Lefó wydmuchuje dym w sufit. Soledad przesuwa się nieco w lewo, aby móc widzieć jej twarz. Pani Lefó uśmiecha się, a ona ją naśladuje. Jaka różnica w porównaniu z antypatycznym panem Figury! Wyrozumiała i uczuciowa kobieta, prawdziwa dama. Mimo że jej twarz ginie pod mocnym makijażem i mimo rudawych włosów i żółtych kwiatów, nie wydaje się wcale mniej naturalna niż jej kolega. Ton jej głosu, podobnie jak perfumy, zachwycają. Coś w jej ruchach jest przesadne, gdy zaczyna mówić, ale też hipnotyzujące. Soledad z ciekawością czeka na pierwszą opowieść tej kobiety.

– Nosi tytuł *Dekoracja* – zaczyna dama. – Przed laty potrójna zbieżność kradzieży...

Wewnątrz szkatułki ozdobionej kamieniami znajdziesz kolejną, z czerwonej laki z żyłkami z siarki. Dotknij jej. Jest gorąca, ale nie parzy. Nie ma kluczyka: jej zamek to pieczęć lakowa. Aby ją otworzyć, musisz rozpuścić lak nad płomieniem. Zrób to. Lekki dym i już. Nie cofaj się przed blaskiem ognia.



DEKORACJA

Przed laty potrójna zbieżność kradzieży, dawnej przyjaźni i orgii pozwoliła mi na kontemplację niezwyklej dekoracji.

Kradzież była z tych najbardziej prozaicznych, a jednak okazała się politycznym wydarzeniem dekady i przyczyną straszliwych zmian w porządku świata: mam na myśli zniknięcie majtek Katariny Karsowej. Jeśli zaś chodzi o orgię, była to jedna z takich imprez, na jakich zwykłam bywać. Odbywała się w jednej z ambasad w Paryżu; zostało mi w pamięci, że androginiczne postacie, nagie i posrebrzone, odbierały karty wizytowe u wejścia i prowadziły gości do salonu, i szło się za nimi, przeglądając się w ich połyskujących, gładkich pośladkach. Poza tym wyróżniała się mało oryginalną dekoracją, o wiele pospolitszą niż ta, do której odnosi się tytuł mojej opowieści, chociaż jej związek z tą historią rychło okaże się oczywisty. Było może parę rzucających się w oczy szczegółów, które postaram się przytoczyć.

Pozwólcie, że oszczędzę sobie opisu lamp, kolumn i przezroczyстых stołów, na których puchary i naczynia zdawały się unosić niczym w stanie nieważkości. Pominę także kotary z wężowej skóry, zimne w dotyku, które pełzały, kiedy się je odsuwało. To wszystko już znamy. Bardziej oryginalny wydał mi się zegar z obsceniczną kukułką, subtelna miniaturka z siedemnastego wieku, który po otwarciu prezentował maciupkie mieszkanko, gdzie na łożu z baldachimem uprawiała miłość jakaś parka. Dzięki dołączonej lupie widziałem, jak w rytm poruszeń łoża trzęsie się mikroskopijna kropla wody w szklaneczce na nocnym stoliku, a jeśli zbliżyło się ucho, dobiegały cichuteńkie piski rozkoszy.

Lustra również zasługują na kilka słów. Obok zwyczajnych wklęsłych i wypukłych, były inne, pomnażające, które powielały postać w pięćdziesięciu odbiciach, i w ten sposób dwie osoby zapełniały cały salon. Oraz wampiryczne, które okłamywały patrzącego, skrywając jego odbicie. I jeszcze tak zwane narcystyczne, które odbijały wszystko i wszystkich, ale przydając twoją twarz i postać, tak więc, gdy się w nich przeglądałam, byłam także przechodzącymi kelnerami, gośćmi, majordomusem, a nawet, ach! dwoma pieskami w kagańcach (nagimi tak jak naga byłam ja, z obrożą i na czterech łapach), należącymi do jednego z gości, którym także byłam. I jeszcze inne, jeszcze dziwniejsze, odbijające jedynie dziewczynkę, której nie było na przyjęciu, a która tańczyła, trzymając maskę wieprza w jednym ręku i pistolet

w drugim.

Ale najosobliwszą rzeczą było akwarium zdobiące sam środek salonu. Olbrzymie niczym wiktoriańska posesja, wykute z jednej kulistej bryły szkła wielokrotnie powiększonej, a ryby w nim, widziane z zewnątrz, rozmiarami przypominały dojrzałe krowy. Najbardziej jednak uderzał ich makijaż i strój: oczy powiększone kredą, uszminowany pysk, płetwy grzbietowe skrócone pod ciężarem naszyjników z lat dwudziestych; pływając w niezmordowanym rytmie, ciągnęły za sobą zwiewne tiule i wyszywane cekinami spódnice w stylu art déco z podmorskimi motywami. W ich otoczeniu poruszaliśmy się my, istoty ludzkie, wystrojone w smokingi i migotliwe treny z lamy. Ja sama miałam na sobie suknię w kolorze latarnianej czerwieni, trójkolorowe rękawiczki i kapelusz w stylu muszkietera z piórem z afrykańskiego bażanta, do tego papieros w kąciku ust umalowanych szkarłatną szminką. Wszystko w miarę nadające się do użytku.

(„W miarę nadające się do użytku?” Soledad zastanawia się, na jakiego rodzaju przyjęcia chadza pani Lefó. Czy w ogóle kiedykolwiek odbyło się takie przyjęcie?)

I właśnie mój papieros skłonił Katarinę Karsową do nawiązania ze mną znajomości.

Było to spotkanie przepiękne, aż porażające. Pamiętam, że stałam przed lustrem jeszcze innego rodzaju, lustrem, którego wam wcześniej nie opisałam, aby nie przeciążyć dekoracyjności własnej opowieści. W tym lustrze odbicie jawiło się za każdym razem jako inne zwierzę, aczkolwiek inspirację stanowiło zawsze odbicie patrzącego. Idąc na wprost niego, zauważyłam, że zmieniam się w ognistego feniksa ze skrzydłami pokrytymi rozżarzoną konfiturą. I dostrzegłam, za baśniowym ptakiem, panterę o sierści czarnej jak węgiel, połyskującej kobaltowo, panterę o szmaragdowych oczach, która przeciągała się niebezpieczna i cicha, gotowa do ataku.

– Mogę prosić o ogień?

Odwróciwszy się, ujrzałam kobietę niewiele różniącą się od owej pantery: wysoką, smukłą i umięśnioną, zielonooką, o hebanowoczarnych włosach i wystających słowiańskich kościach policzkowych. Jej suknia była bardziej czarna niż arktyczna noc. W palcach trzymała papierosa.

– Ależ naturalnie – odparłam, podsuwając jej płonąca zapalniczkę. W lustrze mój feniks wydmuchnął płomień, który pantera natychmiast połknęła. Przedstawiłam się, raczej aby poznać jej imię, niż by powierzyć jej własne, i w ten sposób dowiedziałam się, że nazywa się Katarina Karsowa i jest najczystszej krwi Rosjanką, na co zresztą wskazywał jej akcent. Następnie pantera zniknęła i nie ujrzałam jej aż do chwili, kiedy niewiele później pierwszy akt dramatu dobiegł już końca. Przestałam o niej myśleć. W przyjęciach najbardziej lubię to, że przedstawiają życie w przyspieszonym tempie:

ludzi, którzy rodzą się i umierają tuż obok ciebie, ciebie samego, jak biegasz od jednej osoby do drugiej, zapominając o tych, co odchodzą, uśmiechając się do tych, którzy się zbliżają. Chwilę potem, jak Karsowa się rozpląnęła, zmaterializowała się obok koleżanka pamiętająca dawny przepych i zadała mi pytanie, którego do końca nie zrozumiałam.

– Przepraszam, czy co mam na sobie?

– Majtki.

Już miałam jej odpowiedzieć, gdy spostrzegłam tego, który stanowił bezpośredni powód jej pytania: otóż szedł ku mnie znany dżentelmen, Roberto Lupino: stara przyjaźń, wspominałam o takiej na samym początku.

– Ależ moja droga madame Lefó!

– Mój drogi, kochany pan Lupino!

Sądzę, że powinnam przedstawić wam pana Lupino tak, jak na to zasługuje: z trzaskaniem z bicza i głosem cyrkowej treserki. Sztukmistrz, akrobata, mim, złodziej – to wszystko składa się na obraz tej niesamowitej osobistości, bywalca klasycznych przyjęć. Lecz jego sława brała się z przyprawiającej o dreszcz zręczności, z jaką wykradał damską bieliznę, z szybkością tak nieprawdopodobną, że aż niewidocznie dla oka, i z delikatnością równą ukąszeniu komara. Jego ofiara zachowywała się jak gdyby nigdy nic, niczego nie zauważywszy, i dopiero później przypadek lub konieczność odkrywały przed nią utratę bielizny. Rozebranie przez Lupina zaczęło wśród śmietanki towarzyskiej uchodzić za wyróżnienie i damy wpisywały sobie ten fakt w życiorys. Nasz przyjaciel z tego żył.

Nie zmienił się zbyt od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Bardziej łyśy, nieco tęższy, ale z tym samym niepozornym szpakowatym wąsikiem i równie niepozorną twarzą. Malownicze w jego postaci były jedynie ręce: drobne i szybkie niczym fantastyczne kolibry. Dlatego też używał ich oszczędnie i zwykle trzymał je w kieszeniach, niczym biżuterię w zamszowych etui. W owej chwili miał je w kieszeniach spodni i naturalnie nie wyciągnął ich w moim kierunku.

– Jak się pani miewa, moja droga?

– Przypuszczam, że dobrze. Nadal mam na sobie majtki.

– Och, proszę się dzisiaj niczego nie obawiać ze strony biednego Roberta Lupina!

– Zaśmiał się, co zabrzmiało jak pisk foki, i wyciągnął jedną rękę, by porwać pikantną oliwkę: uczynił to błyskawicznie, z szybkością meteorytu wpadającego do jaskini. –

Czuję się niezdarny wobec tych dekoracji i tych kobiet, choć właściwie należałoby uznać za zbytek wymienianie ich naraz. Proszę wybaczyć, jeżeli panią uraziłem, droga przyjaciółko, nie miałem najmniejszego zamiaru tego uczynić. Ale, mówiąc poważnie: czy zauważyła pani, jak przesadna jest ta dekoracja? Aczkolwiek, ogólnie rzecz biorąc, jest ona wyrazem gustu w pewien sposób wyrafinowanego. Z wyjątkiem tego zoologicznego barbarzyństwa – dodał, wskazując głową na akwarium z rybkami

transwestytami, w którym, dokładnie w tym momencie, jakaś barakuda przybrana w skórę i lateks, niczym domina głębin, rzuciła się na rybkę we wzorzystym negliżu.

– Żałosny spektakl – przyznałam.

– A te łazienki? W toalecie dla panów, proszę wybaczyć wulgarność, stoi porcelanowe dziewczę naturalnej wielkości, oszczędzę pani opowiadania, w jakiej pozie, gotowe sprostać wszelkim męskim potrzebom. *Ach, la misère de l'art!*

– Zastanawiam się, jak wygląda nasza toaleta – odparłam, a Lupino roześmiał się głośno.

– Zegar z kukułką! Widziała pani, jakie cudenka? Słyszała pani te posapywanka? *Mamma mia*, cóż to za spektakl! Zauważyła pani przez lupę, że jedyna rzecz, jaką ona ma na sobie, to zsunięte do kostek majteczki? Otóż – już nie! – Gestem prestidigitatora Lupino wyciągnął z kieszeni jedną ze swoich genialnych dłoni i oto na palcu wskazującym dało się zauważyć coś, co przypominało czarnego trójkątnego komara.

– Ukradł je pan... – wyszeptalam z niedowierzaniem.

Skinął głową, puszczając się niczym paw. Uwielbia, gdy udają mu się takie sztuczki.

– Drzwiczki otwierają się tylko na pięć sekund co pięć minut, ale to dość czasu dla Roberta Lupina! – wykrzyknął z tryumfem i musiałam ulec poczuciu humoru tego niziutkiego, grubiućkiego człowieka, dzierżącego malutkie trofeum niczym rybak pierwszą złowioną sztukę. Schował je ponownie do kieszeni i nagle odezwał się poważnie.

– Orgiastyczna dekoracja, naprawdę... Ale wie pani co, moja droga? Dla Roberta Lupina to nie jest prawdziwa sztuka! Dla Lupina liczy się to, co naturalne, a nie sztuka dla sztuki! Proszę rozejrzeć się wokół: oszłamiające lustra, mikroskopijne orgietki, rybki przebrane za nierządnicę... *Ach, cara mia!* Człowiek zapomniał o zniewalającym wrażeniu, jakie wywiera to co najzwyklejsze, o tajemnicy, jaka kryje się w zwykłej naturze.

– Czyżby pan proponował powrót do jaskiń? – zapytałam żartobliwie.

– Proponuję, *cara donna*, oczyszczenie. Odszukanie naszym wewnętrznym wzrokiem, odnalezienie ukrytych dróg i pójdzie nimi.

– Aby co właściwie zyskać?

– Jedyny absolut! – wykrzyknął niemal urażony. – Cóż mogłoby być innego? My, istoty pełne namiętności, jak pani i ja, mamy tę jedynie drogę ucieczki z tego wulgarnego świata! Jedyny absolut! Bo tutaj aż się roi od czegoś wręcz przeciwnego!

Zrośnięci służący – ostatni szaf salonowych przyjęć – jeden w liberii, drugi przebrany za rozwiązłą panienkę, złączeni mostkami niczym autentyczne syjamskie bliźnięta i stąpając równocześnie niczym konie pociągowe, zaproponowali nam drinki. Ich wygląd przyznawał tak wiele racji słowom Lupina, że odwróciłam wzrok.

– A cóż jest tym jedynym absolutem, zobaczmy – zaproponowałam.

– Gdybym ja to wiedział, moja droga! – Roześmiałam się znowu, ale Lupino nadal był poważny. – Proszę sobie nie stroić żartów z Roberta Lupina! Proszę mnie wychłostać oklaskami, wszak są one jak smagnięcie batem błazna, ale proszę nie sądzić, że nie mówię poważnie! Winny mojej melancholii jest ten straszliwy zegar z kukułką. Wyznaję pani, że gdy zrywałem majteczki dziewczeczce w środku, pomyślałem sobie: „Ależ, Roberto, co się z nami dzieje! W cóż przekształciliśmy rozkosz, świętą ekstazę? Cóż uczyniliśmy z seksem, naturą albo z życiem?”. I zawstydziłem się za siebie, moja droga. Ja, Roberto Lupino, mistrz niemożliwości, podniecony niczym mała przy pozbawianiu tego małego fetysza jego *calzoni*! Roberto Lupino, półprodukt kultury ozdóbek, kradnący w domu Hoffmana, wśród automatów z czekoladą i skurwionych rybek! A jak nazwać tę nimfę z WC, w której objęcia udałem się dzisiaj za potrzebą? Watereida? Och, Robercie Lupino, jakie to wulgarne!

Trzy stojące w pobliżu kobiety, słysząc to imię, dotknęły swej bielizny gestem niemal przesadnym, tak jak człowiek odruchowo czyni znak krzyża, słysząc grzmot. Na ich widok Lupino odzyskał dobry humor i puścił do mnie oko.

– Proszę na mnie nie zwracać uwagi, *cara mia*. Sama pani widzi: jestem zwykłym amatorem intymnej bielizny. Proszę się mną nie przejmować: mam ochotę zrobić jeden czy dwa skandale i idę do domu. Nie jestem za bardzo przy zdrowych zmysłach.

– Przejdzie panu – stwierdziłam. – Podobno oddanie się pracy świetnie działa na nerwy.

Roberto Lupino oddalił się niczym rekin pośród wodorostów z prowokacyjnie wymyślnych szat, które poruszały się, gdy je mijał, aby na koniec stwierdzić, może nawet ze smutkiem, że ich koronkowa bielizna nie zniknęła.

Od owej chwili aż do krzyku nic szczególnego się nie wydarzyło.

Przedtem porównywałam przyjęcia do życia. Pozwólcie mi teraz na kolejne porównanie, tym razem kontrastowe: jeżeli życie zaczyna się krzykiem, to przyjęcia kończą się kolejnym. Jeżeli nie dzieje się nic tak kategorycznego jak krzyk, nie można uznać, że przyjęcie się skończyło. W tym są do siebie podobne przyjęcie i ogień. Pomyślcie o ogniu: jeżeli się go nie ugasi, to kiedy sam gaśnie? Czy z ostatnim płomieniem, z ostatnią iskrą, żarem czy gorącym popiołem? A jeżeli przyjęcia nic nie przerwie, to w którym miejscu jest jego zakończenie? Gdy przestanie grać muzyka? Gdy wyjdzie ostatni gość i odjedzie ostatni samochód z parkingu? Gdy zaczną się sprzątać opustoszały salon? Podzielam opinię Zenona z Elei: każda trasa jest nieskończona, jeżeli ktoś uważnie się jej przygląda. Trzeba zawsze być nieco nieokrzesanym, aby całkiem ze wszystkim skończyć: delikatność wymaga nieskończoności.

(Pani Lefó powiedziała to ostatnie, spoglądając na żarzącą się końcówkę papierosa, równie czerwoną jak jej włosy. Dla Soledad, która

nie zrozumiała ani słowa z tej intelektualnej medytacji, jasne jest, że ta dama nie nawykła do wulgarności. A tak bardzo przypomina osobę, jaką ona sama pragnęłaby być!)

Proszę wybaczyć tę dygresję. Wracając do mojej opowieści: pamiętam, że właśnie wybierałam *flammoyanet* z tacy i zastanawiałam się w duchu, z czego też się robi *flammoyanet*, kiedy go usłyszałam: przeszywający, okrutny! Zbyteczne dodawać, że przyjęcie natychmiast się zakończyło, a w jego miejscu objawił się tłum niespokojny i z poczuciem winy. A jeszcze bardziej zaskoczyło mnie, gdy ujrzałam, jak ze środka tłuszczy, niczym z dżungli, wyłania się postać zręczna i rozwścieczona, która rzuca się mi na szyję i przytula.

– Dokąd on poszedł? – zapytała. – Gdzie mieszka? Jak mogę go odnaleźć?

Rozpoznałam ową zagadkową i piękną czarną panterę. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że to właśnie ona krzyczała.

– Przede wszystkim, madame Karsowa – odparłam spokojnie, uwalniając się z jej pazurów – i jedynie z czystej ciekawości: czy może mi pani zdradzić, o kogo pani właściwie pyta?

– O tego, który kradnie majtki. – Jej wielkie rosyjskie oczy płonęły zielonym ogniem. – Podobno pani go zna! Gdzie on mieszka?

Uwolnił mnie od tortur tej agentki KGB metr dziewięćdziesiąt wzrostu nasz gospodarz, ambasador, któremu medale zwisały z fraka jak girlandy i dzwoniły klink, klink. Podszedł do nas w otoczeniu grupy uśmiechniętych gości opuszczających przyjęcie.

– Madame Karsowa, proszę się uspokoić. Zrekompensujemy to pani setką sztuk bielizny wedle pani wyboru, proszę nie przywiązywać tak wielkiej wagi do tego banalnego incydentu. Proszę wziąć pod uwagę, madame, że tradycją przyjęć w największych stolicach europejskich jest to, że pan Lupino...

– Wszystko mi jedno! – ucięła madame Karsowa z ową wspaniałą brutalnością, wybuchając bezwiednie urywanym śmiechem – Żądam, aby mi je oddał!

– Rosjanie nie rozumieją dobrze zachodnich obyczajów – szepnęła mi na ucho siwowłosa starsza dama.

– Bardzo proszę – pani Karsowa, zwróciła się ponownie do mnie, tonem tym razem błagalnym. – Tylko pani może mi pomóc! To bardzo ważne, błagam panią!

Któż mógł podejrzewać, że owa zropana kobieta ma rację?

I w tym miejscu, jeżeli mi pozwolicie, podzielę moją opowieść. Jak już powiedziałam, casus zniknięcia majtek Katariny Karsowej stanowił wydarzenie pierwszoplanowe, stał się źródłem głębokich zmian na mapie geopolitycznej, chociaż jego konsekwencje trudno dziś dokładnie oszacować. Mimo to wolę zostawić jego ocenę ekspertom w tej dziedzinie. O wiele bardziej ciekawe wydaje mi się opowiedzieć wam, jak się zakończyła sprawa pomiędzy dwojgiem naszych bohaterów,

a ta opowieść, mimo że znaczy o wiele mniej niż kradzież sama w sobie, mogłaby stać się źródłem interesujących rozpraw. Sami państwo oceniają.

Następnego dnia, ulegając błaganiom ofiary, zgodziłam się zawieźć ją swoim czerwonym kabrioletem do rezydencji Lupina w stolicy Francji. Postawiłam jedyny warunek, który wzburzona dama natychmiast przyjęła: będę świadkiem obecnym przy wszystkim, co się wydarzy. Domyślałam się, że wielki złodziej zaskoczy mnie raz jeszcze, i zaprawdę, nie pomyliłam się.

Czekał na nas w drzwiach swego dworu, otulony w szlafrok w arabeski, z czarnymi aksamitnymi klapami, i schylił korpulentne ciało w pełnym szacunku ukłonie.

– Szanowne panie, cóż za przyjemność widzieć panie ponownie... Obecność pań rozświetla skromne progi domu Roberta Lupina... Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Dajmy temu spokój – ucięła madame Karsowa. – Ma pan coś, co należy do mnie.

– Każdy ma coś, co należy do kogoś innego, madame – odparł zagadkowo Lupino. – Ważne, by wiedzieć, do jakiego stopnia ten ktoś pragnie to odzyskać. Bardzo proszę tędy, drogie panie. – Wskazał korytarz gestem idealnego gospodarza.

Domy Lupina są takie, jak on sam: sympatyczne i szare z zewnątrz, zaskakujące i zadziwiające w środku. Jednakże ozdobione są w sposób skromny, co ujawnia upodobanie właściciela do prostoty. Mogą tam być tajemnicze drzwi, ale to takie drzwi oswojone, naturalne i prawie że dobrze znane. Te, które przy tej okazji nam pokazał, ukryte były za klasycznym fałszywym woluminem na półce. Salon, w którym się znaleźliśmy, był jedynym sekretnym grzechem, na który pozwalał sobie Lupino w kwestii ozdób. Tam właśnie zwisały z sufitu, niczym motyle z rozpostartymi skrzydłami, na złotych kartonach, obwieszczając swój rodzaj i pochodzenie – jego myśliwskie trofea: setki majtek, niemało biustonoszy, pończochy, podwiązki; w osobnym kącie wisiały halki, a nawet kilka gorsetów, wszystko przypięte szpilami. Przedmiot, który pamiętam najlepiej, był niczym żart: brudna niemowlęca pielucha oprawiona w bambusowe ramki. Podarowali mu ją pewni dowcipni przyjaciele.

– Jak mogą panie zauważyć – komentował Lupino, wskazując na ściany, niczym mistrz ceremonii – ofiary nie mają zwyczaju upominać się o swoje. Doszedłem nawet do wniosku, nie lekceważąc bynajmniej płci pięknej, że niektóre dziękują za szybkość, z jaką je tracą. Ale to, że pani, madame Karsowa, dama niewątpliwie z wyższych sfer, piękna i bogata, niech mi wolno będzie zauważyć, wykazuje tyle samozaparcia, by odzyskać tak drobną część garderoby, nawiasem mówiąc, naprawdę bardzo drobną... nawet nie jakoś szczególnie cenną... sprawia, że Roberto Lupino zaczyna zadawać sobie pytania. I to wiele! – I śmiał się owym śmiechem sympatycznego delfina w delfinarium, tak głupim, a tak uroczym.

– To pamiątka po miłosnej nocy – wyjąkała Rosjanka, która tymczasem wyjęła

książeczkę czekową. – Ile pan za nie chce?

– Sądzę, madame, że myli pani spartański żywot Roberta Lupina z nędzą. Proszę schować pieniądze. Czyżby pani sądziła, że jestem bez serca? Czy przypuszcza pani, że Roberto Lupino przyjąłby choć jeden banknot z jej pięknych rączek, aby zwrócić... jak to pani ujęła... „pamiątkę po miłosnej nocy”? – W prawej ręce, nie mniej szybkiej niż język, mignęła niespodziewanie elastyczna czarna koronka trzymana w dwóch palcach.

– *Ecco*, madame. Zwracam pani majteczki. Żałuję głęboko, że przez czysty przypadek dla własnej niewinnej zabawy wybrałem je podczas wczorajszego przyjęcia. Niech się pani dobrze noszą, moja droga. Ale... Cóż to? To nie te? Czyżbym się pomylił? – Lupino pysznił się, pokpiwał, wielce z siebie zadowolony, zatknąwszy kciuki za klapy szlafroka. Karsowa, zapędzona w kozi róg, wydawała się o wiele słabsza; wyrwała mu bieliznę i obmacywała ją nerwowo: krasawica z rosyjskich bajek w łapskach wąsatego karła.

– A może szuka pani tego maleńkiego aparaciku, który ukrywała pani w tkaninie? *Ma, carissima mia*, proszę tak na mnie nie patrzeć! Czy naprawdę sądziła pani, że Roberto Lupino da się nabrać na „miłosną noc”? Roberto Lupino wie wszystko! Wszystko! – I po tym wspomniałym *coup de théâtre* roześmiał się ponownie jak dziecko.

– Niech mi pan wreszcie powie, ile pan chce. – Rosjanka miętoszyła jednocześnie majtki i banknoty. – Zapłacę panu, ile pan tylko zażąda!

– *Bella mia cara*, mówiłem już, że nie chcę od pani pieniędzy! Obraża mnie pani swoimi naleganiami, nie mówiąc już o tym, że obraża pani samą siebie: cóż można sobie pomyśleć o kobiecie, która handluje własnymi majtkami?

Dumna kobieta wyprostowała się groźnie i odwróciła ku niemu. Jednakże słowa mego przyjaciela powstrzymały ją przed dalszym działaniem.

– I niech pani nie wpadnie do głowy prosić swoich zbirów o pomoc. Aparacik znajduje się w kopercie zdeponowanej w pewnym banku, a instrukcje wyraźnie mówią, że ma zostać przekazany ambasadzie, gdyby mnie się cokolwiek stało. Jestem nietykalny, madame, ale tak dokuczliwy jak muchy jesienią.

Karsowa błysnęła w uśmiechu doskonale białymi zębami.

– Dość tych żartów, panie Lupino! Moja cierpliwość ma swoje granice!

– Madame Karsowa, tym razem to ja rozdaję karty! – odparował Lupino, wyciągając palec w kierunku biustu damy. – Proszę zatem bardziej uważać na swoją cierpliwość, niż uważała pani na te majtki. Roberto Lupino nie chce pieniędzy, powtarzam, ma bowiem wszystko, czego potrzebuje, a nawet więcej! Roberto Lupino jest zwykłym szarym człowieczkiem, bez łatwych ambicji. Nie pieniędzy chcę od pani, ale i nie zamierzam podarować pani tego aparaciku.

– A zatem?

Przez chwilę udawał, że się zastanawia, chociaż ja byłam przekonana, że doskonale wiedział, czego chce.

– Wymiana. Majtki, wraz z aparacikiem, za panią.

– Za mnie?

– W zamian za dysponowanie panią przez jedną noc.

Karsowa, ponownie znokautowana, zrobiła coś, czego nigdy nie uznałaby za możliwe: otworzyła jeszcze szerzej swoje już szeroko otwarte zielone oczy. Wobec tego gestu ani zmarszczenie nozdrzy bielusieńkiego noska, ani wyducie ponętnych warg nie robiło najmniejszego wrażenia.

– Rozumiem – rzekła z pogardą.

– Nie, nic pani nie rozumie! – Lupino sprawiał wrażenie zirytowanego jak nigdy dotąd. – Jest pani nadnaturalnie piękna, podobnie jak obecna tutaj pani Lefó. –

Uśmiechnęłam się, słysząc to uprzejme kłamstwo. – Jest pani, powtarzam, nadnaturalnie piękna, a sądzi pani, że Roberto Lupino to *porco*! Niech mnie pani nie przeraża, madame! Nie zamierzam wykorzystać pani, przynajmniej nie w taki sposób, jak pani sądzi! Niech pani nie popada w skrajności, przecież to oczywiste! Przestrzeń, w której porusza się Roberto Lupino, nie jest z tego świata! Jestem linoskoczkiem na cienkiej linii normalności. Brzydzę się grzechem, ale również cnotą, małżeństwem, lubieżnością, czystością, cnotliwością, pohamowaniem i rozwiązłością. Wszystkie te kostiumy istnienia przejmują dreszczem Roberta Lupina! Ale sztuka, ach! Namiętność do sztuki...! Poszukiwanie zwykłej doskonałości, ekstaza czystego objawienia, naturalność fantazji! Może to pani nazwać, jak się pani podoba: pożądaniem niemożliwego, jedynym absolutem... Tak, *tym* właśnie jest Roberto Lupino! Kiedy mówię, że chciałbym dysponować panią przez jedną noc, mam na myśli to, że chciałbym się panią posłużyć jak narzędziem, jak teoretyczną możliwością, jak materią spekulacji, jak hipotezą dotyczącą przyszłego znaleziska...

Karsowa patrzyła na mnie zdeorientowana. Najwyraźniej zastanawiała się, czy Lupino aby nie oszalał. Wzruszyłam ramionami w odpowiedzi w moim mniemaniu na tyle angielskiej, by Rosjanka mogła ją zrozumieć. Nasz amfitrion bez wątpienia odgadł treść tego dialogu, gdyż natychmiast zstąpił ze swoich lupinowych chmur.

– Powiem wprost, „towarzyszko” Karsowa, że to właśnie się pani podoba. Zwrócę pani mikrofilm, na którym, jestem przekonany, widnieją wszystkie dokumenty sfotografowane przez pani współnika w ambasadzie, w zamian za to, że przez jedną noc będzie pani należała do mnie.

– Już pan to mówił – przeszła do kontrataku. – Ale muszę wiedzieć, czego pan ode mnie chce.

I wtedy właśnie, rzuciwszy jej rozbawione spojrzenie, Lupino wszystko wyjaśnił.

Podczas podróży powrotnej Rosjanka siedziała sztywna i wyprostowana, z założonymi nogami i ramionami. Krótka hebanowa czupryna zdawała się

niewrażliwa na podmuchy wiatru uderzające w mój kabriolet. Nie sięgnęła po papierosa. Poruszyła wargami tylko po to, by wycedzić:

– Ten idiota nie ma pojęcia, jak ważne dla świata jest to, by mikrofilm znalazł się we właściwych rękach!

– Zawsze sądziłam, że świat w końcu będzie zależał od tego, co jakaś kobieta trzyma w majtkach – odparłam.

Świdrowała mnie swoimi zielonymi oczami.

– Nie szuka ani pieniędzy, ani seksu. Dlaczego chce, żebym zrobiła takie głupstwo?

– Trudno to wytłumaczyć. Wszystko ma związek z tym jedynym absolutem i watereidami, ale sądzę, że jedynie on sam zdolny jest to pojąć. Tak czy inaczej, proszę tak do tego nie podchodzić. Jestem pewna, że wszystko skończy się w sposób najlepszy z możliwych – dodałam, ujawniając swoje sekretne zainteresowanie Leibnizem.

W niedzielę przyjechałam do olbrzymiego domiszcza, w którym odbywało się przyjęcie, około jedenastej wieczór. Wszystko kryło się w ciemnościach, poza księżycem, i przypominałam sobie, że Lupino nie godził się nawet na światło lamp. Uśpione sylwetki samochodów przy wjeździe uświadomiły mi, że już przybyło wielu gości. Na przedmieściach Paryża panowała wręcz idealna noc. Słysząc było jedynie zaszyfrowany kod świerszczy.

Lupino oczekiwał mnie, jak zwykle, przy schodach wejściowych; w klasycznym smokingu, z białym gorsem prezentował się jak gorliwy pingwin.

– Ach, *cara mia*, jakże punktualnie pani przybyła! Pozwoli pani, że dodam, jak pięknie pani wygląda! Pani obecność jest nam niezbędna.

– Tak się wszyscy nudzą?

– Bynajmniej, *belissima*. Jak by to pani dobrze wytłumaczyć! Ocieramy się o nieskończoność, o ekstazę, o... o...!

– O jedyny absolut – dokończyłam.

– Tak. O jedyny absolut.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, on bez uśmiechu, przypuszczam, że po to, by nie zepsuć jakąś miną doskonałego światłocienia owej szczęśliwości. Wiedziałam nawet, że w swym beczelnym braku opanowania mózgłby zakochać się we mnie właśnie w owej chwili, więc dla uniknięcia tego śmiertelnego błędu odsunęłam się od niego i wskazałam na wnętrze domu.

– *Andiamo*.

Lupino podreptał za mną jak dziecko.

Gdy posuwałam się w ciemności w tym najwyraźniej pustym wnętrzu, nie umiałam pohamować emocji na myśl, że za chwilę będę obserwować efekt niewiarygodnego planu Lupina. Miałam w pamięci minę, jaką zrobiła Rosjanka, kiedy

mój niezwykle przyjaciel oznajmił jej, co następuje:

– Chcę wydać prywatne przyjęcie, a pani, madame, będzie jedyną ozdobą. Podkreślam: jedyną. Nie będzie mebli, ozdób, lamp. Żadnych rybek poprzebieranych za kurwy ani wielokrotności luster, ani zegarów z kukułką i pornograficznymi scenkami... Pusty salon – i pani, stojąca tak nieruchomo, jak to możliwe. Milcząca i nic nierobiąca. Nieruchoma, niema, przez jedną noc.

– Mówi pan poważnie? – zapytała Karsowa.

– Roberto Lupino zawsze mówi żartem, ale to, co mówi, jest jak najbardziej serio. Proszę ponadto zauważyć, że nie proszę o nic nadzwyczajnego: stać spokojnie i w milczeniu powinno być łatwo dla kogoś, czyja praca polega na spełnianiu rozkazów swojego rządu.

– Pan jest szalony – skonstatowała, akcentując ostatnie słowo.

– Dzięki – odparł skromnie Lupino. – Roberta Lupina nie da się obrazić, nazywając go szaleńcem. Swego czasu ojciec nazywał mnie „łobuzem”: byłem pewien, że mnie nienawidzi. Ale bez względu na to, czy jestem szalony, czy nie, jaka jest pani decyzja?

Westchnienie Karsowej wzruszyło także mnie, niczym wszystko zagarniająca fala.

– Kiedy to ma być? – zapytała.

– Za trzy dni, w niedzielę. Nie tutaj, rzecz jasna, w innej mojej posiadłości, która teraz jest pusta. Pani ozdobi mi przyjęcie, a ja, po wszystkim, zwrócę pani mikrofilm. Będzie pięćdziesięcioro gości, nie wyłączając, oczywiście, pani Lefó. Ale proszę się nie obawiać, że to wyjdzie poza moje środowisko, madame. Przyjaciele Roberta Lupina są tacy sami jak on, proszę więc nie spodziewać się braku dyskrecji.

– I, jak przypuszczam, nie będę mogła mieć na sobie nawet tego – zauważyła cynicznie Karsowa, unosząc w górę majteczki. – Czy może się mylę, panie „artysto”?

– Ależ całkowicie! – Lupino sprawiał wrażenie zaszokowanego. – Błąd to luksus, na który Roberto Lupino nigdy sobie nie pozwala, nawet wówczas, kiedy kradnie majtki, i nigdy nie popełniłby takiego błędu jak postawienie pani w roli dekoracji bez ubrania! To nie pani urodę chcę otrzymać, tylko *panią*. Panią, która, jak cały świat, jest czymś więcej niż pani sama. De facto, postanowiłem, ażeby owej nocy miała pani na sobie coś bardzo niewinnego, coś dalekiego od jakiegokolwiek ekstrawagancji.

– A co to ma być? – zapytała, starając się niczego sobie nie wyobrazić.

– Mundurek szkolny.

(„*Co takiego?*”, *myśli zaskoczona Soledad*).

Odtwarzałam sobie w pamięci ów fantastyczny dialog, gdy szliśmy w kierunku salonu. Nie było tam świateł, nie słychać było naszych kroków. Zdawałam sobie sprawę z rozległości przestrzeni dzięki blaskowi księżyca, widocznemu w oknach. Pół setki nieruchomych sylwetek mężczyzn i kobiet, ubranych z prostą elegancją, tworzyło coś w rodzaju półkregu, trzymając w rękach kieliszki i tace. Lupino

zaprowadził mnie do miejsca w pierwszym rzędzie i podobnie jak pozostali zaczęłam przyglądać się dekoracji.

Na początku widziałam jedynie cień stojącej kobiety, zwróconej do nas twarzą. Potem księżyc wy dobył z mroku jej krótkie czarne włosy, bardzo jasną twarz, poduszki czarnego żakietu z posrebrzaną tarczą na górnej kieszeni, kołnierzyk białej bluzki, plisowaną spódnicę sięgającą kolan, białe podkolanówki i czarne buty...

(„To przecież mój mundurek! Niesamowite!” Soledad ma wrażenie, że pani Lefó wymyśliła to wszystko ze względu na nią, ale nie rozumie dlaczego).

Gdyby przyjrzeć się uważniej, dawało się zauważyć wyraz jej twarzy, coś między znudzeniem a rezygnacją, można było usłyszeć oddech, dostrzec mruganie powiek, czasami nieznaczną zmianę postawy, przenoszenie ciężaru z jednej nogi na drugą, delikatne poruszenia rąk po obu stronach ciała bawiących się plisami spódnicy, jasną strużkę śliny zakłócającą harmonię szyi, język wydymający jeden lub drugi policzek, szczęki to zaciśnięte, to znowu rozluźnione. Gdyby przyglądać się dostatecznie długo, można było zobaczyć, jak wpatruje się w sufit, niemal nie poruszając głową, albo patrzy na wprost, albo na ciebie. Można było dostrzec, jak zaciska pięści, a potem rozluźnia ręce, jak porusza palcami stóp w mokasynach, jak wypina biust, jak się rozluźnia, jak usiłuje ukryć ziewnięcie, jak młaska językiem. I tak minuta po minucie, godzina za godziną, aż w końcu dało się zauważyć powstrzymywaną wściekłość, ochotę, by krzyczeć, gniew, który każe przygryzać wargi, nieufne spojrzenie, rozpacz, zmieszanie, cisnące się na usta pytanie, proszę, dosyć, już dłużej nie mogę, szukanie współczucia, roztargnienie, nagłe przypomnienie, powrót do rzeczywistości, pragnienie, by wiedzieć, ile jeszcze, bunt mięśni, pot na czole, półotwarte wargi, minuta po minucie, godzina za godziną. I zobaczywszy to wszystko, wyczuć jej ciało niczym symbol, ciało, które już nie należy do niej, ciało, które już nie jest jej ciałem, które jest ciałem nas wszystkich, tych co na nią patrzymy i siebie w niej widzimy, tak właśnie, minuta po minucie, godzina za godziną, aż do myśli, mój Boże, cóż to za doskonała rzecz, cóż za wyrafinowana ozdoba, cóż za niesamowita tajemnica, ujrzeć w końcu coś odmiennego od prawdy, coś, co niewątpliwie warto zobaczyć, niewytłumaczalne i tak strasznie odległe, coś, co zawsze tu było, ale nigdy tego nie widzieliśmy, co rzeczywiście jest oryginalne i jedyne w swoim rodzaju, coś, co każe nam myśleć, że istnienie jest rzeczą tajemną, coś, co jest blisko, lecz daleko, właśnie dlatego, że jest zbyt blisko, że nasycy ciebie i nasycy mnie, coś, co posiadam, ale nie otrzymuję, nie zdobywam, omijam, co jest mną, mną samą, mną...

Na koniec namiętne pomrukiwania, zdziwienie, jednogłośnie pochwały, oklaski, podziw i komentarze wobec nadejścia nowej epoki, nowego czasu.

To właśnie czułam, to czuliśmy wszyscy podczas owego niezapomnianego przyjęcia w rezydencji Roberta Lupina, kontemplując dekorację.

(„Ja, ja sama”, myśli Soledad z zamkniętymi oczami).



„JA SAMA BYŁAM KOTEM”.

Nazywał się Pachito i był krzyżówką czegoś z czymś, nigdy właściwie nie wiedziała czego. Ale rezultat wyciągał się na posadzce, machał łapami w powietrzu, gdy się go ułożyło na grzbiecie, tak delikatny, z tym futerkiem w brązowe łaty i z tymi długimi, cienkimi wąsami. A miesiąc po tym, jak go dostała, zachorował i zdechł. Zapewne zdarzało się to czasami w przypadku kotów tak małych, które znikają z życia jak kłaczek kurzu wywiany przez okno. Widziała, jak zdechł: leżał w kartonie po jogurtach przy ścianie w jej pokoju, a oczy, które z góry wyglądały jak dwie filiżanki kawy, zmieniły się w dwie dziury. Jeszcze były czarne, ale to nie był kolor, tylko pustka.

– Nie umieraj, Pachito – powiedziała.

Nie namyślając się, wiedzona wrażeniem, jakie zrobił na niej ten trójkątny i już nieruchomy pyszczek, usiadła przy biurku, otworzyła zeszyt i zaczęła pisać opowiadanie, w którym ona sama była Pachitem i wyciągała się, szara i kosmata, na posadzce w domu dziewczynki o imieniu Soledad. Niedługo potem napisała kolejne opowiadanie, o swojej matce. Wyszło gorzej i przestała je pisać, ale odkryła, że lubi opowiadać o istotach, których już nie ma. Przede wszystkim lubiła myśleć, że *sama* jest tymi istotami.

„Byłam kotem, byłam mamą, byłam moimi dziadkami... W moich opowieściach jestem, kim tylko chcę”.

Właściwie nie wie, dlaczego przypomina sobie to wszystko, kiedy pani Lefó kończy swoją pierwszą opowieść: może dlatego, że tym razem, przeciwnie niż poprzednio, bohaterka była do niej w jakiś sposób podobna. Rozpoznaje znane uczucie, że przygląda się komuś i myśli, że przyglądając się, jednocześnie wymyśla tę osobę. Nigdy z nikim na ten temat nie rozmawiała.

Panuje milczenie, jak zwykle po zakończeniu opowieści. Wydaje się, że nic nie uległo zmianie: pan Figury, pani Lefó, dama w bieli i pan Biskup nadal tam są, siedzą wokół stołu. Chyba jest noc, aczkolwiek w tej piwnicy oświetlanej światłem świec trudno się zorientować, a Soledad nie ma odwagi zapytać o godzinę. Wycieczka pewnie już się skończyła i tata się o nią niepokoi. Albo nie, może nikt za nią nie

kęskni. W gruncie rzeczy to wszystko jedno, jej sytuacja i tak się nie zmieni. Nie może powiedzieć ludziom za stołem: „Przykro mi, ale muszę już iść”. *Należy do nich* od chwili, gdy otworzyła drzwi i zgodziła się wejść. Niczym dekoracja w opowieści pani Lefó, nieruchoma i niema, ma tam pozostać. Poza tym opowieści coraz bardziej jej się podobają. Byłoby wspaniale móc wysłuchać wszystkich.

– Nalej nam wina, mała – odzywa się pani Lefó, pokaszując.

Soledad chwyta butelkę, którą podsuwa jej Biskup. Postanawia zacząć od pani Lefó, która znów się odzywa.

– Jak ci się podobała opowieść?

To łatwe pytanie! Dama wykazuje się większą przenikliwością i współczuciem niż pan Figury. W podziękowaniu Soledad nie odpowiada tylko jednym słowem.

– Pan Lupino otrzymał to, co chciał.

Obłoki dymu snują się niczym węże.

– A czego właściwie chciał pan Lupino?

To pytanie wydaje się trudniejsze. To znaczy, że pani Lefó także może ją zagiąć, jeżeli tylko zapragnie.

– Nie... nie wiem. Może... ujrzeć tę kobietę ubraną w taki sposób.

Najśmieszniejsze jest to, że zarówno pan Figury, jak i Biskup biorą sobie do serca to pytanie i odpowiadają na nie niemal równocześnie z Soledad.

– Posłuszeństwa – mówi pierwszy.

– Rozkoszy – twierdzi drugi.

Pani Lefó ignoruje ich obu; jej uwaga koncentruje się na Soledad.

– Zapytam inaczej: jak uważasz, czy to, co otrzymał, jest dobre, czy złe?

– Dobre – odpowiada bez wahania, choć sama nie wie dlaczego.

– No tak. – Pani Lefó zapaliła następnego papierosa. – Zobaczymy, co powiesz o mojej następnej opowieści. Nosi tytuł: *Jennifer Budoski...*

Soledad przysłuchuje się, jednocześnie nalewając wino: panu Figury i Biskupowi, a następnie cofnąwszy się, damie w bieli, o której chwilowo zapomniała, ponieważ ona nigdy się nie odzywa. Następnie stawia butelkę na stole i zostaje między dwiema damami. Przedtem było jej zimno, teraz jest jej gorąco. Bluzka z krótkim rękawem lepi się do spoconej skóry.

Ale to nie przeszkadza jej słuchać.



JENNIFER BUDOSKI

Tam, w Cavennes, nie brak opowieści. Każde miasteczko posiada swoje, ale w Cavennes jest ich tyle i tak niesamowitych, że aż zamęczają prawdę i ginie ona z wyczerpania. Człowiek zaczyna w końcu myśleć, że prawda i kłamstwo w Cavennes nie istnieją, ponieważ – i tam wszyscy o tym wiedzą – prawda i kłamstwo to zaledwie dwie kolejne opowieści, które można wzajemnie poprzestawiać, a gdy upłynie tyle czasu, ile trzeba, okażą się w różnym stopniu prawdziwe.

Dlatego dwie zimy temu pojechałam do Cavennes i spędziłam całą noc na przysłuchiwaniu się opowieściom. Większość z nich dotyczyła Lustucru. Jakżeby inaczej!

– Lustucru był bystrym chłopakiem, proszę pani – prawil jeden z moich najlepszych informatorów, człowiek o szarej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy, z małymi oczkami, w szarej czapce, który łydkami popijał wino z wciąż napełnianej szklaneczki. – Jednym z takich dobrych chłopaków, których dzisiaj już nie ma, bo większość z nich wyjeżdża teraz studiować do stolicy. Ale Lustucru był z takich, jak ci dawniejsi, proszę pani, był z tych z Cavennes, z tych, co nie emigrują, bo lubił miasteczko i wieś. Wszyscy sąsiedzi o tym mówili: ale szczęście ma jego rodzina, że jest w niej taki Lustucru.

Szczęście. Aż do chwili, gdy ujrzał tę pomiętą fotografię.

Zastanawiam się, proszę pani, kto ją, u diabła, wyrzucił tam na środku drogi, do rowu. Bo że była to jakaś stronica wyrwana z czasopisma, to niemal pewne, ale kto ją tam zostawił i po co – nie wiadomo.

Mnie to opowiedział ktoś, komu z kolei ci, co opowiadali, przekazali, co następuje: otóż pewnego dnia w samo oślepione słońcem południe, kiedy Lustucru wracał z pracy w polu, los chciał, że natknął się na tę pomiętą stronicę i podniósł ją, głównie dlatego, że biedny chłopak nie znosił, gdy ktoś rzuca śmieci na ziemię.

– Hej, Lustucru! – wołali do niego koledzy.

Ale on nie odpowiadał, bo wciąż wpatrywał się w ten pomięty i ciemny skrawek papieru.

– Co tam masz, Lustucru? – pytali. – W co się tak wpatrujesz?

Widzieli, że schował tę stronicę do kieszeni i oddalił się od nich zasklepiony w sobie niczym staw w zimie, proszę pani, albo jak kamyczek.

Następnego dnia matka rozповідаła o tym na rynku. Gadała z tym i z owym, nie wiedząc dobrze, do kogo właściwie się zwrócić.

– Co za bestia ukąsiła mojego Lustucru! Wczoraj wraca do domu z pola i zamyka się w szopie, nie je przez cały dzień, wołam go, a on mi mówi, że nie jest głodny, pytam, czy go głowa boli, a on mi na to: „Tak, mam, boli mnie głowa, za długo byłem na słońcu”. Żeby mi się tylko teraz nie rozchorował!

Ojciec komentował to na swój sposób.

– Chyba coś dolega naszemu Lustucru!

A był to jedyny syn i potrzebowali go do pomocy we wszystkim. Ale koledzy Lustucru oświadczyli ojcu, że przecież nie, nic mu nie dolega, że tylko znalazł stronicę wyrwaną z jakiegoś czasopisma i wpadł w obsesję.

– Mój Lustucru nie czyta – oponował ojciec.

– Ale tam było zdjęcie – odpowiadali. – Na pewno jakiejś dziewczyny! Lustucru się zakochał! – I wybuchali śmiechem.

Pocziwy człowiek nie potrzebował dalszych kpin, by wszystko zrozumieć. Wrócił do domu ze spuszczoną głową, nie mając nawet odwagi, by odezwać się do syna, który wciąż siedział w szopie.

– Chłopak ma szesnaście lat i jeszcze nie poznał świata! – dręczył się.

– Ależ poznał – sprzeciwiała się żona. – Wprawdzie ma dopiero szesnaście lat, ale już zna czasopisma, słuchał radia, był w kinie. Mówię ci, że naszemu Lustucru coś się stało.

– Wszystko jedno, co mu jest, jutro albo idzie w pole, albo podrę to zdjęcie! – zdenerwował się ojciec.

– To wszystko wina tej dziewczyny ze zdjęcia – wtrąciła się córka, ulubienica całej rodziny, mała, niesforna i wścibska, o piskliwym głosiku. – Nazywa się „Dzenifeboska” i błyszczy po nocy!

Okazuje się, że dziewczynka po zmroku wślizgnęła się do szopy przez dziurę w deskach i zaczęła śledzić brata. Lustucru w samych majtkach siedział na ziemi wpatrzony w stronicę i powtarzał rozanielonym głosem to właśnie imię. Ona, królowa wszechświata, zaczęła krzyczeć.

– Lustucru, pokaż mi ją! Pokaż mi tę Dzenifeboską, Lustucru, albo pójdę i powiem wszystkim, że ona błyszczy po nocy!

Lustucru popatrzył na nią, jak gdyby jej w ogóle nie znał, powtórzył kolejny raz to imię, jeżeli tak rzeczywiście brzmiało, i nie pokazując siostrze zdjęcia, schował stronicę i wdrapał się po drabinie do najciemniejszej części szopy, dokąd dziewczynka bała się pójść.

– Czy to prawda, że ona błyszczy w nocy? – zapytał ojciec.

– Tak, pewnie, że błyszczy! – Dziewczynka, potakując, poruszała długim warkoczem, który ojciec tak lubił. – Błyszczący jak jakaś gwiazda!

– Jak gwiazda, zapewne, ale gwiazda filmowa! – wyjaśnił następnego dnia w przypływie dobrego humoru don Gaspar, medyk z Cavennes, którego rodzice wezwali, aby porozmawiał z Lustucru; był to nieduży człowieczek, mądry i uprzejmy.

– W tym właśnie cała tajemnica: Lustucru znalazł stronicę z czasopisma ze zdjęciem hollywoodzkiej aktorki i się zakochał. To jeden z takich nieprawdopodobnych afektów, które w tym wieku wszystkim nam się przytrafiają. Nie ma się czym przejmować, przejdzie mu. Ten dzisiejszy świat kusi nas coraz bardziej fałszywymi i doskonałymi wizjami, a chłopak jest w takim wieku, że łatwo się temu poddaje.

Ojciec, matka i siostra słuchali zdziwieni jego przenikliwością.

– Czy to wszystko on sam panu powiedział? – dopytywał się ojciec.

– Nie, skądże znowu. Po prostu my, ludzie posiadający już pewien bagaż doświadczeń, umiemy wyciągać wnioski. Na początku nawet nie chciał mnie do siebie wpuścić. Mówiłem mu: „Lustucru, otwórz, to ja, don Gaspar!”. A on nic. Powtarzał tylko w kółko to imię czy nazwisko, aż w końcu pojąłem, co właściwie mówi. Zaśmiałem się i mówię mu: „To jest jej imię, Lustucru? *Jennifer Budoski*?”. Nic nie odpowiedział, ale po chwili otworzył drzwi. Był nieco niechlujny i blady, ale poza tym nic mu nie dolegało. „Tak ma na imię, prawda? – zapytałem. – To jest imię tej dziewczyny ze zdjęcia, tak?” Potaknął. „Kim ona jest? Aktorką? Nic mi jej nazwisko nie mówi, ale stary już jestem i nie znam nawet połowy tych dzisiejszych słów. Czy to aktorka z Hollywood?” Znowu skinął głową. Więc już spokojniejszy, zdobywszy jego zaufanie, dodałem: „Lustucru, synu, mogę ci coś wyjaśnić?”. I przez pół godziny przekonywałem go. Słuchał uważnie. Powiedziałem, że to niedobrze kierować taką namiętność na marzenia. Że aktorki i aktorzy z Hollywood to marzenia, że ja w jego wieku sam byłem zakochany w Bette Davis i że gdyby nawet udało mu się poznać osobiście ową Jennifer Budoski, z pewnością by się rozczarował. Że to wspaniale mieć bujną wyobraźnię, ale trzeba stać nogami na ziemi. Dodałem, że jego zachowanie bardzo wszystkich martwi, i poprosiłem, żeby wyszedł z szopy i wrócił do normalnego życia. Zgodził się na wszystko. Widzą państwo. Niebawem będzie tym samym Lustucru, co zawsze. Gdyby wszystkie problemy młodzieży dało się tak łatwo rozwiązać!

– Ale to zdjęcie błyszczy w ciemności – upierała się dziewczynka.

– Co też ty opowiadasz, mała! Jak niby ma błyszczeć? Masz jeszcze bujniejszą wyobraźnię niż brat!

– A widział je pan?

– Nie, nie pokazał mi go. I uważam, że nie powinni go państwo zmuszać, by je pokazywał. To zdjęcie to jego mała i niewinna tajemnica.

Łatwo sobie wyobrazić radość, z jaką prawie wszyscy, rodzina i reszta miasteczka, przyjęli rozsądne rady don Gaspara. Jeżeli mówię: prawie wszyscy, to znaczy, że były wyjątki. Innymi słowy, że znalazł się ktoś, kto nadal był nieszczęśliwy, a chodzi mi o matkę Lustucru. Ci, którzy ją słyszeli na rynku owego ranka, opowiadali innym, a ci inni opowiedzieli mnie, że mówiła:

– Mój Lustucru szukał doktora.

To samo powtarzała w domu, aż wreszcie ojciec, który już żył myślą, że Lustucru powróci do codziennej pracy, stracił cierpliwość.

– Co ty tam możesz wiedzieć!

– Wiem aż za dobrze! Mój Lustucru nie jest zakochany. Przypomnij sobie, jak się zakochał w Simone, tej od Jonfretów. To było zupełnie coś innego!

– I niby ty wiesz lepiej niż lekarz!

– Jestem jego matką i znam go!

– No to powiedz mi, co mu jest.

Przez chwilę słychać było tylko, jak woda leci do zlewu i gąbka szoruje naczynia. Do tych odgłosów doszedł nagle cichy płacz.

– Coś potwornego – odezwała się w końcu matka.

Ale nawet ona przyznała rację doktorowi, gdy jeszcze tego samego popołudnia Lustucru opuścił szopę i przyszedł na kolację. Mówił mało, to fakt, ale jadł z apetytem, a taki widok uspokaja każdą matkę. W nocy dobra kobieta poczuła się tak doskonale, że nawet uległa naleganiom męża, który od paru dni jej pragnął. I podobno, gdy byli dopiero w połowie, przerwały im krzyki. Były tak potworne, że dosłownie wstrząsały domem. Wszyscy pognali niczym dusze potępione do pokoju Lustucru i zastali biednego chłopca skulonego na łóżku, nagiego, drżącego, z podkurczonymi nogami.

– Mamo! – jęczał przerażony. – Mamo! Mamo! Mamo!

– Mój Lustucru! – wołała matka, przytulając go. – Mój synku! Lustucru!

Mówią ci, którzy się tego dowiedzieli, że minęło pół godziny, zanim chłopiec mógł wydobyć z siebie jakiegokolwiek inne słowo. Tak mocno szczął zębami, że ojciec zrolował róg prześcieradła i wcisnął mu je do ust, żeby chłopak nie przegryzł sobie języka. A kiedy wreszcie mógł mówić, opowiedział coś przedziwnego.

Powiedział, że miał sen. Śniło mu się, że pojechał do Hollywood pociągiem, zobaczyć Jennifer Budoski. I Hollywood to było pole pełne posągów stojących w świetle księżyca, wśród których w milczeniu przechadzali się ludzie. Kiedy się im przyjrzał, poczuł dreszcze, ponieważ ich oczy błyszczały niczym perełki łez na twarzach wyrzeźbionych świętych.

Co powiedziawszy, znowu zaczął krzyczeć, a tego wszystkiego, co mówił potem, nikt nie był w stanie zrozumieć. Że ci ludzie go rozebrali, że to nie byli ludzie, tylko psy. I że te psy macały się nawzajem i pilnowały jeden drugiego, niczym okrutne

stado, jak te, które ganiają po górach; że na ich szyjach wisały klejnoty, że ich zęby wyglądały jakby były sztuczne, a pazury połyskiwały jak kawałki szkła, że samcom zwisało coś na kształt trującego grzyba, a samice krwawiły i wyglądało to tak, jak cięta rana na skórze niemowlęcia. I nagle okazało się, że to nie psy, ale coś zupełnie innego. Że to miało coś wspólnego ze zwierzętami i z ludźmi. A wśród tego wszystkiego znajdowała się Jennifer Budoski, i ujrawszy ją, wiedział, że oszaleje. W tym właśnie, dokładnie w tym momencie, gdy Jennifer Budoski miała nań spojrzeć, jego mózg miał się zsiaść niczym mleko i zgorzkniały wypłynąć przez uszy. To dlatego obudził się z krzykiem.

– Już dobrze – odezwał się ojciec. – To był tylko sen.

Ale sam był pod wrażeniem tego, co mówił Lustucru.

(„Każdy by był”, myśli zdumiona Soledad. „Co to za dziwny sen?

Nawet nie potrafię tego powtórzyć!”)

Biedny Lustucru przespał cały następny dzień, a z nadejściem nocy zniknął. To matka zorientowała się pierwsza, kiedy obudziła się rano, aby sprawdzić, czy chłopak śpi spokojnie.

– Lustucru! – krzyczała, odkrywszy puste łóżko. – O mój Boże!

W kuchni drzwi szafki były otwarte i brakowało sera, mleka i chleba. Drzwi domu także były otwarte i cała rodzina, włącznie z młodszą siostrą, wszyscy, nie bacząc na to, że są w piżamach, wybiegli przed dom.

– Lustucru! – nawoływali. – Hej, Lustucru!

Noc zapadła czarna, ponieważ chmury zakrywały księżyc; noc ciemna i niemrawa niczym skarabeusz.

– Pojechał do Holihud! – płakała siostra.

Dopiero później, gdy zbierali porzucone na podłodze w pokoju Lustucru prześcieradła, odkryli zaplątaną w nie ciemną, pomiętą stronicę, którą chłopak z pewnością porzucił przed ucieczką. I podobno od owego dnia dziewczynka spędzała czas w szkole, wpatrując się w jeden punkt na białym wapnem suficie, oczami tak białymi jak samo wapno. Ojciec wychodził w pole, ale nie pracował: siedział bez ruchu z otwartymi ustami, z których ciekła ślina. Matka, pozostawiona sama w domu, wciąż bez końca obierała ziemniaki nożem, aż zmieniały się w nici, które nadal obierała i nie mogła skończyć, póki nie obrała własnego palca, a potem kości. A kiedy ktoś ich o coś pytał, odpowiadali zawsze tak, że brzmiało to jak dwa słowa: „Jennifer Budoski”, chociaż może i tego nie mówili, ponieważ to imię przyszło na myśl jedynie doktorowi Gasparowi i nikomu więcej.

Pewnej nocy oni także zniknęli. Sąsiedzi zastali dom pusty, ale pełen. Chcę rzec, że nie było nikogo, ale wydawało się, że niczego nie brakuje, żadnej rzeczy, żadnej części garderoby, jak gdyby cała rodzina odeszła nago i razem, tak jak umarli idą do nieba.

Był tam nawet ciemny, zmięty papier, leżał na stosie drewna w kominku, w otoczeniu zgaszonych zapalek. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś chciał go raz czy drugi spalić, ale nikt nie odważył się zbliżyć doń płomienia.

Ani Lustucru, ani nikt z jego rodziny nigdy więcej się nie pojawił.

A czy chce pani wiedzieć, co się stało z tym papierem? Niech pani zapyta Marciała. To on wyjął go z kominka i schował do kieszeni. Nikomu nie powiedział, co na nim było ani co z nim potem zrobił. Pewnej nocy, kiedy już opróżniliśmy sporo butelek, zagadnąłem go:

– Musiała być piękna ta pieprzona... No, ta kobita, którą Lustucru zobaczył na zdjęciu, co, Marciał?

Popatrzył na mnie jak szaleniec.

– Kobita ze zdjęcia? Cała stronica była czarna, po obu stronach, chłopie!



TO BRZMI PRZERAŻAJĄCO.

Ta opowieść o Lustucru.

Czytała dostatecznie wiele opowieści, aby wiedzieć, że w każdej zawierają się kolejne, jednak w przypadku tej o Lustucru, te „kolejne” nie podobają się jej.

Siedzi bez ruchu i w milczeniu, licząc na to, że nikt nie postawi jej pytania.

Nadzieja jednak rozmywa się szybko. W rzeczywistości wszyscy bowiem czekają na jej wypowiedź, chociaż to pani Lefó domaga się tego głośno.

– I cóż? Co zamierzasz powiedzieć po wysłuchaniu moich dwóch opowieści?

– Powiedzieć?

– Tak. Jak są twoim zdaniem ze sobą powiązane?

Obłoczek dymu unosi się nad jej głową niczym lekki welon panny młodej. Pani Lefó chyba dobrze się bawi. W istocie, wygląda na najbardziej rozbawioną, w czerwonej sukni, ze swymi uśmiechami i papierosami. I zawsze z tym marzycielskim wyrazem twarzy, jaki mają damy przyzwyczajone do wygodnego życia, jak gdyby zamiast siedzieć tutaj, w tej wilgotnej piwnicy oświetlanej świecami, znajdowała się gdzieś na plaży, ciesząc się morską bryzą. Soledad zainspirowanej tą myślą przychodzi do głowy możliwa odpowiedź.

– To tak jak gdyby Lupino i Lustucru nie... nie żyli w takim samym miejscu jak wszyscy.

– Wyjaśnij to – prosi pani Lefó.

– Nie wiem... Widzą rzeczy, których... których inni nie widzą.

Dama najwyraźniej akceptuje odpowiedź; wypuszcza w sufit kolejny obłoczek dymu.

– A czy sądzisz, że te rzeczy istnieją?

Soledad odnosi wrażenie, że prowadzi rozmowę przyparta do skały, żeby nie upaść.

– Nie, sądzę, że nie.

– Ale dla nich są one bardzo ważne, prawda? Jak opowieści, które mogą opowiadać o czymś, co nie istnieje, ale które okazują się istotne dla tych, którzy o nich słyszą.

– Coś w tym rodzaju... Tak, coś w tym rodzaju... ale...

A może nie należało dodawać tego „ale”! Choćby wypowiedziała to najsłabszym głosem, zabrzmiało jak uderzenie pięścią w stół, bo wszyscy pochylają się i odwracają ku niej, by jej się uważnie przyjrzeć.

– Ale co? – indaguje pani Lefó.

– Ale w opowieści o Lupinie to, co nie istnieje, jest dobre... W tej o Lustucru nie. Lustucru cierpi, jego rodzina również. A na koniec wygląda na to, że wszyscy popadają w szaleństwo. To znaczy... – Soledad stara się ubrać w słowa skomplikowaną myśl. – Czasami coś, co nie istnieje, nie jest dobre... A skoro nie jest, to może lepiej zachować tylko to, co istnieje. Ja kiedyś napisałam opowieść o kotku, potem o swojej mamie, oboje nie żyją od kilku lat... Ale ta o mamie nie podobała mi się i zarzuciłam pisanie. Teraz myślę, że faktem jest, że moja mama odeszła, i bez względu na to, jak jest to złe, lepsze to, niż wynajdywać sobie inną mamę, która by mi się nie podobała.

Głębokie milczenie. Nawet sama Soledad nie wie, po co to wszystko powiedziała. I wtedy coś się zaczyna. To, co się dzieje, może właściwie też zaliczać się do kategorii „rzeczy, które nie istnieją, a jednak są istotne”, ponieważ na pierwszy rzut oka nic się nie zmienia, ale ona, która powoli poznaje już tę czwórkę ludzi, domyśla się, że zachodzi jakaś głęboka zmiana. Jej odpowiedź najwyraźniej zadowoliła Biskupa i pana Figury (może także damę w bieli, trudno powiedzieć, póki ona sama tego nie okaże), natomiast panią Lefó wyrwała całkowicie z jej prywatnego rajku. Wyrwała ją ze snu i postawiła na nogi, niczym dzwoniący budzik. Otwiera usta, odsłania drobne zęby, po raz pierwszy zapomina zaciągnąć się papierosem. Soledad cofa się przed jej władcym spojrzeniem.

– Co z tego! – Pani Lefó wybucha. – Oszaleli czy nie, wyobrażam sobie, że obaj, Lupino i Lustucru, są szczęśliwi!

– A ja nie.

Dama schyla się, przez co jeszcze bardziej podkreśla swój wygląd egzotycznego ptaka. Zapach tytoniu sprawia, że Soledad mruga powiekami.

– Głupia z ciebie dziewczynka, wiesz?

– Pani... pytała pani, czy...

– Doskonale wiem, o co cię pytałam. Wiem, że jesteś bardzo głupia!

Soledad dochodzi do wniosku, że lepiej się nie odzywać.

– Lustucru również otrzymał to, czego chciał! – upiera się pani Lefó. – Nikt nie twierdzi, że można coś dostać w zamian za nic, głuptasie. Wszystko ma swoją cenę, wszystko wymaga pewnego wysiłku... Ale oni obaj otrzymali to, czego pragnęli, i to właśnie nazywam szczęściem. A teraz nalej nam wina, idiotko.

To już lekka przesada.

Soledad dotychczas słuchała przemowy, zafascynowana ruchem rąk pani Lefó, jej

głosem ostrym jak papryczka, całym tym niewyczerpanym spektaklem. Ale ta paskudna końcówka wyprowadza ją z równowagi i każe zareagować.

– Dosyć już – syczy. – Nie musi mnie pani obrażać tylko dlatego, że nie podzielam pani opinii.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? Nikt nie nauczył cię szacunku?

– To pani mnie nie szanuje!

– Och, już lepiej się uspokój! – Dama uśmiecha się, nagle niezwykle przyjacielska.

– Zamierzasz się na mnie obrazić? Chodziło mi tylko o to, żebyś zrozumiała, że... w moich opowieściach wszyscy są szczęśliwi, ponieważ każdy coś sobie wyobraża... Nie można ich nawet uznać za tragedię, raczej za komedię. Nie brak im uroku. Kimkolwiek by była Jennifer Budoski, czy nie wyobrażałaś sobie, że... jest piękna?

– Wyobrażam sobie, że... była ohydna! I nie sądzę, żeby Lustucru czy jego rodzina byli w ogóle szczęśliwi... Sądzę, że... stracili wszystko, co posiadali. Byli rodziną, a nagle wszystko się skończyło. Szkoda mi ich i obawiam się o nich!

Wygląda na to, że... pani Lefó się poddała. Kieruje nawet wzrok w inną stronę, w milczeniu, wzdychając lekko. Papieros trzymany w palcach powoli się dopala. Na ten widok Soledad nabiera odwagi i ciągnie, niesiona falą gniewu.

– Nie podoba mi się pani. Przedtem tak. Miło mi było patrzeć na panią i słuchać pani opowieści. Jest pani taka ładna... i taka inna. Ale już koniec. Bo uważa się pani za wyrocznię. A nie jest pani.

– Skończyłaś? – Dama podnosi papieros do ust, czerwony żar wygląda jak skierowany w dziewczynkę palec. – Ja też – dodaje i rozwiera dłoń. Papieros upada, niezgaszony, i toczy się ku mokasynom Soledad, która wpatruje się w niego, podczas gdy pani Lefó ciągnie: – Zanim jednak oddam głos panu Biskupowi, muszę ukarać tę dumę niegodną dobrze wychowanej dziewczynki, zabierając jej kolejną rzecz. Buty i skarpetki!

Pan Figury i Biskup, którzy przysłuchiwali się dyskusji niczym dwa posągi, teraz się śmieją. Soledad podnosi wzrok ku pani Lefó, wydaje się jej, że... że się przesłyszała. Potem znowu wpatruje się w leżący na podłodze nadal palący się papieros.

– Na co czekasz? – niecierpliwi się dama. – Zdejmuj buty.

Dopiero wtedy Soledad zaczyna rozumieć.

Uroda, wielkoświatowy szyk i niezależność pani Lefó zmyliły ją. W głębi jest ona nieprzejednana i kapryśna, a nawet okrutna. Taka jest jej prawdziwa natura. Rzeczywiście, trudniej poznać ją niż pana Figury. To ci dopiero niespodzianka: kobieta tak wesoła i atrakcyjna, emanująca taką osobowością, zachowuje się nagle jak rozkapryszone dziecko, które w mgnieniu oka przestaje się śmiać i bawić i zaczyna obrażać i grozić. I pomyśleć, że... przedtem podziwiała tę damę za jej „wytworność” i chciała być jak ona, gdy dorośnie!

„Zobaczymy – myśli Soledad – żeby się aby co do mnie nie pomyliła!”

Mogłaby odmówić, ale nie chce. Tym bardziej teraz. Unosi lewą stopę, opiera ją po zdjęciu skarpetki, i unosi drugą. Tym razem utrzymanie równowagi kosztuje ją więcej, ale udaje jej się. Posadzka jest szorstka i zimna, a palący się niedopałek wydaje się specjalnie zastawioną pułapką, zagrażającą bosym stopom. Jednakże wściekłość, jaka ją przepęlnia, płonie silniej niż jakikolwiek papieros. Ażeby się jej pozbyć, nie ryzykując kolejnego starcia, obsesyjnie długo składa białe podkolanówki i wsuwa je w mokasyny, które ustawia obok żakietu i plecaka. „Nie pokonają mnie! Mogę w ogóle zapomnieć o pani Lefó!”

A potem staje przed panią Lefó, która nie spuszczała z niej wzroku, przez cały czas uśmiechnięta, i patrzy na nią wyzywająco. Uśmiech gaśnie. „Nie boję się twoich ognia”, myśli Soledad, poruszając palcami u stóp tuż obok dymiącego niedopałka. Lecz pani Lefó traci wszelkie zainteresowanie, a nawet wolę, jak gdyby ta wypalała się razem z jej papierosem. Odwróciła się znowu, siedzi teraz profilem i gestem zaprasza Biskupa.

– Panie Biskupie, pana kolej.

Ciekawość, co z kolei opowie ten człowiek, podnieca Soledad, i dziewczynka szybko zapomina o kłopotach, jakie sprawia fakt, że jest bosa. A to przede wszystkim z jednego powodu: to człowiek trudny do zaklasyfikowania. W przeciwieństwie do pana Figury wydaje się bardzo uprzejmy, lecz w przeciwieństwie do pani Lefó nie sprawia wrażenia cudownego przyjaciela. Wygląda, jakby ostrzegał: „Wiesz, że... nie możesz mi ufać!”. Sprawia raczej wrażenie żartownisia: może i nie jest złym człowiekiem, ale nie jest również kimś, o kogo można by się założyć, że nigdy nie rozzłości. Do tego wrażenia przyczynia się jego twarz, tak okrągła i mięsista, z tym podwójnym podbródkiem, który czasami okala pomarańczową koloratkę, i tymi pyzatymi policzkami, które nadają mu taki wygląd, jakby nieustająco płukał sobie gardło jakimś płynem. Teraz, gdy Soledad przygląda się mu bliżej, uświadamia sobie, że... jego garnitur i koszula nie są w rzeczywistości czarne, ale granatowe, w odcieniu, jaki ma morze nocą. A ton jego głosu, daleki od błyskotliwości pani Lefó czy sztywności pana Figury, jest leniwy i żartobliwy. Mówi, jak gdyby kłaniał się na koniec przyjęcia: zmęczony, śpiący, ale usatysfakcjonowany.

– Z przyjemnością. Moja pierwsza opowieść nosi tytuł: *Ślub pani Boj...*

I rozpoczyna:

– Pod koniec grudnia odbywa się tradycyjne przyjęcie...

Widzisz niewielką niebieską skrzyneczkę wewnątrz czerwonej, pofałdowaną i połyskującą. Gdy jej dotykasz, wydaje się chłodna i wilgotna. Zamek jest z soli i rozpuszcza się w wodzie. Otwórz ją i ogarnij spojrzeniem tę ciemną grootę, te błękitne iskrzenia.

I nie krzycz na widok tego, co zobaczysz.



ŚLUB PANI BOJ

Pod koniec grudnia odbywa się tradycyjne przyjęcie bożonarodzeniowe w firmie, w której mój przyjaciel Jules Boujard jest szefem zarządu. Zawsze mnie zaprasza, a ja staram się przyjść. Firma wynajmuje całe poddasze z drewnianą posadzką na szóstym piętrze pod numerem sześćdziesiąt sześć przy bulwarze Saint-Secarie. W pomieszczeniu właściwie nie ma mebli ani ozdób, ściany są bielone wapnem i niewiele tam okien, ale jego rozmiar pozwala, by mniej więcej sześćdziesięcioro gości swobodnie poruszało się po salonie. Ten ostatni był już pełen, gdy przyszedłem ostatnim razem. Na wieszaku z poroża pozostało jeszcze kilka wolnych miejsc, więc zostawiłem na nim kapelusz i płaszcz. Rozpoznałem Jules'a w tej samej chwili, co on mnie. Rozmawiał z jakąś młodziutką tlenioną blondynką, ale zostawił ją, aby uprzejmie się ze mną przywitać.

– Przybył święty dostojnik Kościoła. Mój drogi biskupie de Godorna, pana obecność jest dla nas zaszczytem.

I zwrócił się do gości, którzy skierowali na mnie spojrzenia.

– Nie trzeba dłuższych prezentacji. Któż nie zna Jego Eminencji, biskupa de Godorna? – Uniosły się w górę kieliszki, niektórzy uklękli. Tleniona blondynka schyliła się, przyklękając na jedno kolano. Wyciągnąłem rękę do Jules'a, a on, wśród śmiechów, wetknął w nią kieliszek szampana.

– Witamy na naszym przyjęciu, panie Biskupie.

– Dziękuję, Jules.

– Wiele czasu zajęło panu podjęcie decyzji o przyjściu?

– Kilka łyków.

Jules roześmiał się ukontentowany. To przemily młodzieniec, o jasnych kędziorach i dziewczęcej twarzy, niczym manekin ubrany w garnitur szyty na miarę.

– Będzie się pan dobrze bawił, Eminencjo. Przynajmniej tak sądzę.

– Dziękuję. Czy mam przewidywać, że pan Astan także przyjdzie?

– Ależ naturalnie. Zawsze przychodzi, ale co roku każe na siebie czekać, jak pan doskonale wie.

– To dla niego typowe, że każe na siebie czekać – przytaknąłem.

– W istocie.

Lubię przyjęcia firmy Boujarda, ponieważ są otwarte dla wszystkich. Natychmiast dostrzegasz obecność przeróżnych klas społecznych. Starsi są zwykle elegancko ubrani, a plecy dam demonstrują leciutką opaleniznę, nawet o tej porze roku. Młodzi ludzie noszą prostsze ubrania, jak rozpięte pod szyją koszule, krawaty z rozluźnionym węzłem, ubrania koktajlowe lub tanie minispódniczki. Panował rozsądny poziom hałasu, na który składały się rozmowy, wybuchy śmiechu i rockowa muzyka. Przy stołach tradycyjne zgrupowanie kanapeczek, tartinek, plastikowych widelców i noży na długich czarnych tacach, na czerwonych obrusach tworzących szpaler, który kelnerzy starali się utrzymać w porządku. Jules podprowadził mnie tam, nie przerywając rozmowy.

– Rok minął, następny przed nami, Wasza Eminencjo, ale nasze wyniki jak zawsze są pozytywne.

– Nie można domagać się więcej, Jules.

Mówiłem, że Boujard jest moim przyjacielem, i nie kłamię. Ale jesteśmy tego rodzaju przyjaciółmi, że prowadzimy jedynie dwa lub trzy rodzaje konwersacji i dzielimy niektóre miłe chwile. Nie sędzę, aby sprawiało mi przyjemność, dajmy na to, spożywanie z nim obiadu w restauracji, ponieważ bez przerwy mówi o interesach. Dlatego ucieszyłem się, gdy oświadczył:

– Proszę mi teraz wybaczyć. Muszę zaprezentować podsumowanie roku.

– Ależ naturalnie.

– Proszę się rozgościć. – Puścił do mnie oko, a potem odszedł z człowiekiem w smokingu, który pełnił rolę jego sekretarza.

Goście zaczęli zbierać się pośrodku salonu, zachowując pewną hierarchię: starsi w pierwszych rzędach, najmłodszy z tyłu, czasami podpierając ściany. Podczas gdy Boujard wchodził na mównicę i wyjmował kartki z kieszeni, prześlizgnąłem się przez grupę na tyłach ku wewnętrznym pomieszczeniom. Usłyszałem jego suchy głos, kiedy opuszczałem salon.

– Drodzy przyjaciele, najpierw zaprezentuję zestawienie zysków, które, ku naszemu zadowoleniu, przewyższają zawiązką te z roku poprzedniego. – Dały się słyszeć oklaski. – Następnie rozpatrzę poszczególne bilanse. Jak zobaczycie, są pewne straty, zrekomensowane niezwykle pozytywnymi wynikami...

Zaskakiwała jasność myśli Boujarda, po takiej ilości alkoholu, ale nie zostałem, by przysłuchiwać się piruetom cyfr. Płatanina pokoi, przez które kolejno przechodziłem, sprawiała, że nawet głos Boujarda zanikał, aż wreszcie całkiem ucichł w gwarze przerwanych nagle przez wiwaty i śmiechy. Prawie wszystkie pomieszczenia były ciemne, a nieliczne oświetlały jedynie stojące lampy. Ktoś spóźniony, chłopak, a może dziewczyna, także chodził z pokoju do pokoju i przyglądał mi się z pewną podejrzliwością, gdy się mijaliśmy, aby następnie usunąć się z drogi. Ale jakiś młody

chłopak siedział wciąż na krześle w pokoju w głębi i nie zrobił na mój widok najmniejszego ruchu. Ubrany był z prostotą w białą koszulę i czarne spodnie. Ocenilem go na najwyżej dwadzieścia lat. Szybko zorientowałem się, co tam robi.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwałem się. – Ma pan ochotę na szampana?

Zaprzeczył ruchem głowy, którą podtrzymywał obiema rękami, opierając łokcie na kolanach.

– Mój drogi – dodałem po chwili milczenia – zapewniam pana, że wszystko skończy się wcześniej, niż pan sądzi. Musi pan być silny.

Spojrzał na mnie, ale nadal wydawał się nieobecny. Skulone ramiona upodobiły go do przemoczonego psa. W pokoju były duże okna ujęte w ramy, wszystko pomalowane na kolor brudnobiały.

– Nie powinien pan zostawać tutaj sam – nalegałem. – Jest pan bardzo młody, bardzo, bardzo młody. Potrzebuje pan towarzystwa. Zapewne mówi pan w moim języku? – Lekkie skinienie. – Wspaniale. Jestem biskup de Godorna. Wybacz pan moje wątpliwości co do języka, drogi panie, ale z początku sądziłem, że może pan pochodzić ze Wschodu. Pana twarz i te kości policzkowe... Nie chcę pana urazić, ale nie sądziłem, że mówi pan...

– Mówi – odezwał się ktoś za moimi plecami. – Ma na imię Xavier. To mój syn.

Okazało się, że człowiek, który stał za mną, był mi znajomy: szeroki w ramionach, włosy rzadkie i szpakowate, twarz podłużna i zdecydowana. Podsumował to sam, przedstawiając się:

– Samuel Rodier.

– Ach, panie Rodier... Jestem biskup de Godorna.

– Tak, wiem, spotkaliśmy się kilkakrotnie na innych przyjęciach. Miło mi pana ponownie spotkać. Chciałbym porozmawiać z Xavierem. Ma pan coś przeciw temu?

– Ależ absolutnie.

Uśmiechnąłem się, ale nie okazałem, że odchodzę. Jestem nieuleczalnym gadułą i nie zamierzałem zrezygnować z przewagi, dobrnąwszy tam po obejściu całego domu. Ponadto oklaski uświadamiały mi, że przemówienie Boujarda jeszcze się nie skończyło.

Ojciec i syn rozmawiali monosylabami, co najwyraźniej żadnemu z nich nie sprawiało przyjemności. Coś się w tym kryło, coś podskórnego, coś, co przyprawiało o zawrót głowy i co wyrażało się w sposobie, w jaki ojciec gładził długie jasne kędziory syna, a ten pochylał głowę. A potem ojciec schylił się, by ucałować syna, i odszedł. Zawróciliśmy razem, Rodier i ja, tą samą drogą przez niekończące się pokoje, z początku w milczeniu. W pewnej chwili Rodier zwrócił się do mnie.

– Życzy pan sobie czegoś ode mnie, Wasza Eminencjo? – W jego głosie wyczuwało się z trudem powstrzymywane okrucieństwo.

– Niech go pan stąd zabierze, Samuelu – odparłem. – Niech pan zabierze Xaviera.

Przystanął i wydawało mi się, że przypatruje się własnej ręce, którą tak niedawno go głaskał.

– Dla pana jest to potępieńczo łatwe.

– Nie mógłbym zdefiniować tego lepiej – przyznałem. – Potępieńczo łatwe, tak właśnie. Niech go pan stąd zabierze w tej chwili i sam pan niech też się stąd zabiera. Nikt w tym wam nie przeszkodzi.

Gdy przeszedł ten podziemny prąd, który przez chwilę odczułem jako gigantyczny odpływ w rozmowie między młodym człowiekiem a Rodierem, ten ostatni wydawał się uspokojony. Wyglądało na to, że gdy oddalił się od syna, wrócił do normalnego życia.

– Jasne – stwierdził. – Ale przypuszczam, że decyzje podejmuje się tylko raz. Chłopak ma matkę, która nie mieszka już z nami, chociaż ucieszyłaby się ogromnie, gdyby wrócił do domu, i młodszą siostrę, która rzuciłaby się nam uszczęśliwiona na szyję. Jednakże wszyscy mnie rozumieją, i wszyscy się na to zgadzają.

– Wszyscy chcą tego samego – podsumowałem. – Włącznie z twoim synem. Tego właśnie chcą.

– Znowu pan trafił w dziesiątkę, księżu biskupie.

Rodier miał zaczerwienione oczy, ale teraz, gdy zbliżaliśmy się do salonu, wydawało się raczej, że to z powodu jakiejś infekcji. Gadanina Jules'a Boujarda stawała się coraz wyraźniejsza, a przynajmniej zrozumiała na tyle, na ile dało się ją słyszeć.

– W sumie osiemdziesiąt dwa procent, co można podzielić na....

– Nasza firma się rozrasta – szepnął mi zadowolony Rodier. – A pan mi proponuje porzucić wszystko.

– Jestem adwokatem diabła we własnym interesie; pragnę czegoś dowieść samemu sobie.

– Czego mianowicie?

– Że pan tego nie porzuci.

Na te słowa zamilkł, jakby chodziło o jakiś wykład.

W tej samej chwili nagły przeciąg zasygnalizował, że przestało działać ogrzewanie. Dało się zauważyć pewne poruszenie wśród gości i Boujard zareagował na ten ogólny niepokój złożeniem kartek i szybkim zakończeniem przemowy.

– To byłoby tyle. – Krótki, jednoczesny wybuch okłasków. Potem cisza.

Ostre światło w głębi, w korytarzu i przy tym półmrok panujący w sali spowodowały, że postać, która pojawiła się w owej chwili, była jedynie cieniem: kapelusz z szerokim rondem, długi płaszcz. Prawdziwy cień, co ciekawe, bardziej lśniący, rozpostarł się na posadzce niczym długi rozwinięty dywan. Dały się słyszeć szepty. Odszyfrowałem te najbliższe mnie.

– Och, to pan Astan.

– Pan Astan.

– Dobry wieczór, przyjaciele – odezwał się czyjś głos. Przybysz postąpił kilka kroków do przodu, abyśmy mogli rozpoznać jego twarz. Wyglądał tak samo jak zawsze: sympatyczne oblicze, oliwkowa cera, elegancko przycięta broda.

– Znowu wszyscy razem – dodał uroczyście.

O ile żaden z wcześniejszych szczegółów nie dowodził wagi jego wizyty, o tyle ujawniła się ona z całą okazałością w oczekiwaniu, jakie było w gościach: nikt nie klaskał, wszyscy wstrzymali oddech i wspinali się na palce, by lepiej widzieć. Zamiast po prostu przyjść na przyjęcie, pan Astan zachowywał się tak, jakby jego przybycie było czymś nieoczekiwanym.

Jego kapelusz i płaszcz wzięła dama, która mu towarzyszyła, czarnowłosa i cała w czerni, niczym wzgórze w nocy, o twarzy Salome z grafik autorstwa Aubreya Beardsleya. Przed obojgiem utworzył się szpaler gości, a na jego końcu stał pełen uszanowania Jules Boujard.

– Witaj, Jules.

– Panie Astan.

– Witaj, Ricard. Witaj, Louis. Witaj, Bernard. Co nowego, Roger? – Pan Astan ceremonialnie wyciągał rękę na powitanie, dłonią do dołu, aby szybko móc uścisnąć czyjąś prawicę. Gdy podszedł do mnie, obaj się skłoniliśmy.

– Eminencjo, znowu jest pan z nami. Co każe mi myśleć, że ostatnim razem był pan zadowolony.

Roześmiałem się, ściskając mocno jego miękką dłoń.

– Ach, jeśli się nie mylę, Samuel?

Utkwił wzrok w Rodierze, który pochylony w ukłonie i drżący wydawał się niezdolny, by ruszyć tułowiem czy językiem. Usłyszałem jedynie: „Zaszczyt”.

– Zna pan Samuela, nieprawdaż, panie Astan? – wtrącił się pospiesznie Boujard.

– Naturalnie, syn Roberta Rodiera. – Uścisnął rękę Samuela i potrząsnął nią w odmierzonym rytmie, sprawiając, że siwizna na karku Rodiera zafalowała.

– To samo czoło, te same oczy. Podobny jesteś do ojca, Samuelu. Wiem, że jesteś znakomitym dyrektorem działu promocji w naszej filii w Lyonie. Doszły mnie wieści o twoich sukcesach. Twój ojciec również był wspaniałym pracownikiem, pewnie o tym wiesz. W owych czasach stawiano przede wszystkim na rozsądek, ale on nie wahał się ryzykować, jeśli uważał to za potrzebne. Lekcja, której nigdy nie powinniśmy zapomnieć.

– Samuel jest godnym następcą Roberta, panie Astan – wtrącił Boujard.

– Jeżeli nie brak mu ambicji, zajdzie daleko – podsumował pan Astan.

Rodier nie silił się na odpowiedź, ale poruszył wolną ręką w jakimś dziwnym geście, jak gdyby chciał objąć, a zarazem odepchnąć od siebie pana Astana.

– Potrzebuje drobnego bodźca – dodał Boujard. – Dlatego dzisiaj przyszedł.

– Naturalnie. Nie ma wielkich ludzi bez wielkich możliwości.

Co mówiąc, pan Astan ruszył witać się z kolejnymi gośćmi. Rodier stał jeszcze chwilę w tej samej pozycji, z wyrazem twarzy kogoś, kto przyjmuje komunię i komu ta wyslizguje się z ust.

– Sądzę, że dobrze panu zrobi kieliszek szampana, Samuelu – powiedziałem i zaprowadziłem go do stołu, gdzie nadal serwowano kanapeczki i tartinki.

Rodier opróżnił pierwszy kieliszek jednym haustem i podawałem mu drugi, gdy ktoś – bez wątplenia facet, który służył za sekretarza – zadzwonił srebrną łyżeczką w szkło. Kilka kobiet poprawiło fryzury, jakby to, co się miało za chwilę wydarzyć, wiązało się z ich wyglądem. Ale to tylko melodyjny baryton pana Astana wypełnił cały salon.

– Panie i panowie. Jako prezes tej firmy muszę stwierdzić: dziś jesteśmy na fali.

Mimo ogólnego zadowolenia nikt się nie odezwał, by pozwolić mi mówić dalej.

– Przed chwilą witałem się z osobą, której ojca znałem i podziwiałem. – W tym momencie Jules Boujard, który znalazł się obok nas, odwrócił głowę i podniósł palec wskazujący w kierunku Rodiera. – W czasach jego ojca stanowiliśmy kolejną opcję w światowej architekturze. Teraz jesteśmy opcją jedynie możliwą. Społeczeństwo nie ma alternatywy, co rozmazuje kolory całości. Już nie jesteśmy czymś innym, jesteśmy jedyną opcją. Co uzależnia nasz wybór, wybór nas wszystkich i każdego z osobna, ponieważ teraz, gdy decydujemy się na odrzucenie, stawiamy się samotnie w opozycji. Poza nami nie ma nic... Jeśli nie jesteś ze mną, jesteś przeciwko mnie. –

Szmer aprobaty, którą baryton natychmiast ugasił. – Dziś możemy swobodnie sprzedawać, handlować bez ograniczeń, przekuwać wszystko na zysk. Jakie jest prawo? Jedno jedyne: nie zamierzamy tracić. Wygramy. Musimy wygrać.

Rodier opuścił mnie na chwilę, aby podejść do Boujarda, skąd słuchał nadal i zapewne lepiej widział. Ja ze swego miejsca widziałem jedynie plecy, nagie lub ubrane. Nikt się nie ruszał. Zastanawiałem się przez chwilę, czy dama towarzysząca panu Astanowi nadal jest przy nim, czy nie.

– W naszej firmie żyjemy zatem w nowej epoce. Jest to właściwy moment, by przedstawić świeży obraz i przekazać zaufanie do świata. Jest tylko jedna przeszkoda, jedna, ale istotna: my sami. Musimy zwyciężyć samych siebie, przyjaciele. Całą historię rodzaju ludzkiego da się streścić w stwierdzeniu, że jest to historia walki. My przeciw nam. Walka bolesna, lecz decydująca. Pytanie brzmi: ile jesteśmy gotowi zostawić po drodze? Ile chcemy poświęcić?

Atmosfera była lodowata. Targnął mną pospolity dreszcz.

– Gdybym państwu powiedział: „Zostawcie wszystko i pójdźcie za mną”, co mi byście odpowiedzieli? – Pojedyncze śmiechy, pokaskiwanie. – A, oczywiście, mieliby państwo prawo się poskarżyć. Ale czy jest inna droga? Trzeba cierpieć, płakać, zadawać cierpienie i doprowadzać do płaczu. Porzucić wszystko. Oddać wszystko.

– Ma rację – szepnął mi na ucho Rodier, który znowu znalazł się koło mnie, ze łzami w oczach; po jego oddechu wyczułem, że jest pijany. – Kurwa, ile w tym racji.

Pan Astan ciągnął, niemal nie podnosząc głosu.

– Porzucić wszystko. Oddać wszystko. Zapytają państwo: „A, to tak działa?”. I mają państwo prawo zapytać. Ale pozwólcie, że wam coś opowiem. To opowieść, która przyszła mi do głowy, kiedy dziś tu przybyłem i kiedy witałem się z biskupem de Godorna, który zaszczyca nas swoją obecnością... – Kilka twarzy (ale niewiele) zwróciło się w moim kierunku. Niecierpliwie bawiłem się krucyfiksem, który miałem na piersi i na którym figura Ukrzyżowanego się uśmiechała. – Przypomniałem sobie wówczas pewnego kapłana, którego znałem wiele lat temu, a który pragnął, bym go przedstawił panu Biskupowi, ponieważ chciał brać udział w spotkaniach Tetramerona...

(Soledad zastanawia się, co znaczy to dziwne słowo. Ale Biskup ciągnie opowieść, oddając znowu głos panu Astanowi).

– Opowiedział mi historię, którą odtworzę dla państwa, moi drodzy, aby zilustrować nasz zasadniczy problem i, przy odrobinie szczęścia, podsunąć z wyprzedzeniem rozwiązanie. Nosi tytuł *Aura*. Ufam, że spodoba się państwu tak jak mnie, kiedy jej słuchałem.

I pan Astan rozpoczął.



AURA

Gdy patrzę przez judasza, widzę ciemność. Pachnę kremem nawilżającym z mango.

– Pół godziny, ojciec – mówi policjant, otwierając celę. – I powtarzam: niech pan przy niej uważa.

Wbijam wzrok w ciemności, widzę Biblię i zawieszony wysoko krucyfiks. Wszystko sprowadza się do siedzącej postaci. Robi na mnie wrażenie, po tym, co o niej słyszałem, ale nie widzę w niej nic budzącego grozę, nawet wówczas, gdy zapala światło nocnej lampki nad łóżkiem i mogę ją zobaczyć.

– O kurczę, ksiądz.

– Xara – mówię.

– Obecna. Zaraz zrobię miejsce. Wszędzie bajzel.

Zsuwa z łóżka pisma podróżnicze ze zdjęciami tropikalnych plaż, lusterko, grzebień, słoiczek kremu nawilżającego Skin Care o zapachu mango i filtr słoneczny Sunpro. Nie rozumiem, po co jej filtr słoneczny. Może pozwalają jej spacerować na świeżym powietrzu na strzeżonym dziedzińcu?

Przysiadam w rogu materaca i przyglądam się jej.

Ani ładna, ani brzydka, za to bardzo młoda, niziutka i szczupła, o kruczoczarnych włosach. Ubrana w białą koszulę i szare szorty. Bosa.

– Wie pan, jaka jest różnica między mrówką a skorpionem? – pyta, siadając naprzeciw mnie.

– Skorpion jest większy i ma odwłok.

– To właściwie są dwie różnice, a ja pytam o tę jedną.

Rzucam inne wyjaśnienia („Skorpion jest jadowity... Skorpion nie jest owadem...”) i otrzymuję tę samą odpowiedź, aż dochodzę do wniosku, że ona kpi sobie ze mnie.

– Poddaję się – stwierdzam.

– Nie ma żadnej różnicy. Nazywamy jedno „skorpionem”, a drugie „mrówką”, ale

równie dobrze moglibyśmy je nazwać „patelnią” i „fortepianem” albo „księdzem” i „skazańcem”, a byłyby nadal, czym są, i nie były, czym nie są. Więc jakie to ma znaczenie, jak je nazwiemy? Ważne, by dobrze spędzić czas – dodaje, splatając ręce na karku.

Spoglądam na zegarek i postanawiam przejść do rzeczy.

– Xaro, przyszedłem wysłuchać twojej spowiedzi. Dzisiaj twój ostatni dzień: za kilkanaście minut otrzymasz śmiertelny zastrzyk. – Potakuje z zamkniętymi oczami. –

Nie zależy mi, żebyś się modliła, nic z tych rzeczy. Chcę jedynie, żebyś mi opowiedziała, co uczyniłaś i dlaczego.

– Ułożyłam piosenkę.

– Co?

– Nosi tytuł *Krocę przez ranek jutrzejszy*. Chce pan posłuchać?

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczyna śpiewać, nie zmieniając pozycji. Jej głos jest tak czysty, tak piękny, że siedzę jak sparaliżowany i przez chwilę czuję się tak, jakbyśmy nie siedzieli w tej ciemnej jamie, czekając na egzekucję, ale w rozświetlonym, ponadczasowym ogrodzie.

*Krocę przez ranek jutrzejszy
tam, w nadchodzącej przyszłości,
zmieniając chwilę za chwilą
w początek nowej drogi,
łącząc chwilę obecną
w wieczną teraźniejszość.*

(refren)

*Tam, gdzie nic nie ma,
gdzie jeszcze nie stanęłam,
w dniu, który nie nadszedł
w życiu, które polega na tym,
by się nauczyć umierać,
by umieć zacząć żyć,
by umieć żyć i umierać,
nie wiedząc o niczym nic...*

– Zrobiłam to, co zawsze – wyjaśnia tym samym tonem, przechodząc od melodii do zwykłej prozy. – Spotkałam go w parku i zabrałam do domu. Miał pięć lat, powtórzył mi to kilkakrotnie, przypuszczam, że jego rodzina uwielbiała, jak powtarzał: „Mam pięć lat”. „No dobrze, Pieńć, chodźmy się pobawić”, powiedziałam. Rozebrałam go, sama rozebrałam się także, pod pretekstem, że idziemy się kąpać. To był ładny chłopczyk, o długich, jasnobrązowych włosach, które już przydałoby się porządnie ostrzyć, i dużych jasnoniebieskich oczach. Wyjaśniłam mu, że pobawimy się w więźniów. Przywiązałam go, leżącego na plecach z rozłożonymi

nogami, jak kurczak, do stołu w jadalni. Kiedy zaczął piszczeć, odciąłem kawałek z jego koszuli i zakneblowałam go. Potem wyjęłam kilka gwoździ ze skrzynki na narzędzia. „Popatrz, Pieńc – powiedziałam – popatrz tylko, co tu mam”. Przytrzymałam mu głowę, kiedy wbijałam gwoździ w lewe oko. Wygiął się w taki łuk, że dotykał blatu jedynie piętami i opuszkami palców, a z ust wydobywała się tylko jedna głoska: „i”. Coś jak „iiiiiiiiii”, bez żadnej przerwy. Zsiusiał się i zrobił kupę, ale wtedy jeszcze nie zwymiotował. Dopiero kiedy przebiłam mu drugie oko. Musiałam mu odwrócić głowę, o tak, żeby się nie udławił i nie umarł za szybko. Żył godzinę. Wycierałam mu krew z nosa i z ust i wytrzymał całą godzinę.

(Opowiadanie przejmuje Soledad grozą, ale Biskup nie przerywa).

– I co dalej?

– Dalej to samo, co zawsze. – Wzrusza znowu ramionami. – Ktoś widział, jak zabierałam małego z parku, i zidentyfikowano mnie. Policja zatrzymała mnie następnego dnia, kiedy wynosiłam ciało w torbie. I trafiłam tutaj.

I bez żadnej przerwy znowu zaczyna śpiewać.

*Kroczę przez ranek jutrzejszy
tam, w nadchodzącej przyszłości,
zmieniając chwilę za chwilą
w początek nowej drogi,
łącząc chwilę obecną
w wieczną terażniejszość.*

Piosenka mnie uspokaja, ale stwierdzam, że czuję się zmęczony. Jak gdyby moje ciało, straciwszy napięcie, nagle osiadło niczym żaglówka pozbawiona wiatru. Xara nadal śpiewa, coraz głośniej, nawet wybija rytm palcami i zaprasza mnie do wspólnego śpiewania refrenu. I właśnie to zaproszenie każe mi przerwać ten spektakl.

– Dlaczego, Xaro? – Nagle stwierdzam, że żałuję, iż nie mam więcej czasu. Tracę cierpliwość i podnoszę głos. – Dlaczego robisz to dzieciom?

– Nie wiem. Mrówka i skorpion, już to mówiłam. Niech pan nie ufa słowom.

– Podniecasz się? O to ci chodzi? Rozkosz?

Czyni gest, jakby odganiała muchę.

– A, tam. Już mnie o to pytali przedtem. Rozbieram je i sama się rozbieram, żeby się nie pobrudzić. Nie wykorzystuję ich. Nie, proszę księdza, nie odczuwam rozkoszy.

– W takim razie dlaczego?

Niepokój w moim głosie zwraca w końcu jej uwagę. Mruga powiekami i uśmiecha się.

– Skąd takie zainteresowanie tym, co robię? Jestem psychotyczno-paranoiczną psychopatyczną sadystką. Chce pan coś jeszcze wiedzieć?

Rozumiem, że nie mogę się tłumaczyć. Ożywia mnie myśl, że może zgodzi się na współpracę, jeżeli powiem jej prawdę.

– Chcę poznać zło, Xaro.

– Och, to proste – słyszę w odpowiedzi. – Mogę je panu zaprezentować.

Jej odpowiedź rozprasza mnie, ale kiedy już zamierzam prosić o wyjaśnienia, słyszę inny głos za plecami.

– Minuta, ojcie.

Dziękuję i czuję znowu narastający niepokój. Nachyliłam się ku Xarze.

– Powiedz mi przynajmniej: dlaczego cię aresztowano i sądzono w pięciu różnych miastach, a nigdy nie zdołano wykonać egzekucji?

– Sądzę, że zawsze w końcu mnie ułaskawiają.

– To nie jest takie oczywiste: uciekasz. Jak ci się udaje?

– Naprawdę? Nie pamiętam, proszę księdza.

– Nie pamiętasz? Udaje ci się uciec z więzienia i nie pamiętasz? Dość kpin, Xaro!

Coś jeszcze mówi, ale jej odpowiedź ginie w skrzypieniu drzwi. Stoi w nich pięciu ludzi ubranych tak, jakby wracali z jakichś okrutnych rozgrywek: rękawice, kaski, naramienniki, okulary ochronne, daszki, i wszyscy dyszą.

– Już pora, Xaro – oznajmia jeden z nich. – Proszę się odsunąć, ojcie.

Ale ledwie mam czas i przestrzeń, by być im posłuszny: popychając mnie, rzucają się na nią niczym na kajmana, z którego strony obawiają się jednocześnie ugryzienia i uderzenia ogonem. Unieruchamiają ją tak skutecznie, że jeden nawet wali jej głową o ścianę. Odkrywam, że ostatni nawet jej nie tknął: przygotowuje kostium składający się z czarnego kaptura z czymś w rodzaju sznura w otworze.

– Szybko, szybko! – popędza go kolega, który trzyma Xarę za rękę. Pozostali także go poganiają.

– Kurwa, idziemy!

– Biegiem!

I kiedy zakładają jej kaptur, zaczyna się.

Nie wydaje się, by ktoś to sprowokował. To coś naturalnego, jak wschód słońca. Światło dobywające się z czubka rękawicy policjanta, które zaczepia o jej głowę. W kolorze krwistoczerwonym, z początku jest małą latarką, ale otwiera się i rozpościera na jego włosach niczym pawi ogon, otaczając Xarę aureolą z artystyczną dokładnością.

– Za późno! – krzyczy jeden z policjantów.

I wtedy odnoszę wrażenie, jakby rzeczywistość była opowieścią narysowaną na kartce, i jakby ktoś wsadził palec pełen krwi w winietę, która ową chwilę przedstawia, albo zbliżył rozpalony płomień do środka rysunku i począwszy od tego punktu, cały obrazek rozdziera się lub roztopia w szeleście czegoś, co się marszczy. Błysk aureoli otaczającej głowę Xary staje się tak intensywny, że aż czarny, a moje siatkówki stają się czerwonym tłem, w którego środku płoną dwa małe sadzone jajka. Padam na kolana wśród zapachu ciepłej krwi.

– Idziemy – słyszę po chwili spokojny głos Xary.

Gdy otwieram oczy, zaczynają one jakimś cudem normalnie funkcjonować. Ale cóż to za spektakl: pięć istot ludzkich poskręcanych i czarnych niczym zatrute karaluchy. Czarne zęby, dziąsła, nawet wewnątrz powiek. A nad nimi Xara, ze stopami dwie piędzi nad podłogą, jeszcze okolona szkarłatnym światłem, niczym święta na barokowym malowidle.

– Idziemy – powtarza.

Mrugam powiekami i nagle znajduję się na wzgórzu z połyskującą świeżą trawą, które wznosi się nad doliną pełną drzew i wąskich dróg aż po horyzont. Przede mną stoi Xara ubrana w letnią wzorzystą sukienkę. Niebo jest lazurowe.

Powtarzając po raz kolejny „idziemy”, zaprasza mnie, bym schodził za nią po wzgórzu do najbliższej drogi, gdzie prezentuje swoje wspaniałe kształty jaguar kabriolet w kolorze lustra, z grubymi oponami niczym wielki bęben w orkiestrze i tapicerką ze skóry tygrysa. Nie zdołałem otrząsnąć się ze zdumienia, kiedy już jestem pasażerem. Xara prowadzi i nie zdejmuje stopy z pedału gazu ani nie spuszcza wzroku z krętej drogi, którą potężny wóz zdaje się pochłaniać otwartą gardzielią.

– Co się stało? – pytam. – Jak wydostaliśmy się z więzienia? Co tak błyszczało na twojej głowie?

– Nieważne – odpowiada, jak gdyby dawała odpowiedź na trzy pytania naraz. –

Lubisz rocka? – Przyciska jakiś guzik i zewsząd bucha niezdrowa muzyka. Xara porusza się w jej rytm, podczas gdy inercja zmusza nas do innego rytmu. Hamulce protestują przy każdym zakręcie pokonywanym ze straszliwą szybkością.

– Dokąd jedziemy? – krzyczę, odwracając głowę wobec brutalnego uderzenia wiatru.

– Zobaczyć ją.

– Zobaczyć ją?

– Chciał ją pan poznać!

Nie rozumiem, co mówi, ale hałas i ostrożność sprawiają, że nie zadaję więcej pytań. Jaguar rozczesuje dżunglę po obu stronach wąskiej drogi i uderza mnie w nos zapach niczym ze sklepu ze zdrową żywnością otwartego po raz pierwszy po wakacyjnej przerwie. Ponad palmami, paprociami widać niebieskawe góry. Wyglądają jak dekoracja ścian akwarium. Nagle pokonujemy kolejny zakręt i oto widzę go, niespodziewany niczym prezent.

Jest to dom, który zdaje się świątynią, albo na odwrót, biały i otoczony kolumnami na szczycie jakiegoś wznoszącego się w dżungli Olimpu. Ale z dachu wystrzela antena w kolorze i kształcie hostii w tabernakulum, zmazując jakiegokolwiek rojenia o starożytności.

Kiedy Xara zatrzymuje wóz u stóp wzgórza, słyszę muzykę. To samba. Hałaśliwa muzyka dobiega z domu. Wspinamy się pospiesznie po schodach tak pionowych jak

na piramidzie Majów. Doszedłszy na szczyt, mógłbym wstrzymać oddech, gdyby mi jeszcze go starczało.

Nie przesadzam: dom jest olbrzymi niczym stadion. Naprzeciwko niego spokojna tafla laguny prezentuje jego idealne nienaruszone odbicie. Nitki wazek i igły kolibrów tkają delikatny różnobarwny nastrój. Haftujemy lagunę, póki nie dojdziemy do stopni portyku. Liczę je: dwanaście. Na każdym stopniu, poza jednym, porusza się w szaleńczym rytmie samby tancerka.

Jedenaście dziewcząt w kostiumach kąpielowych obraca się na wysokich obcasach.

Gdy widzę, jak Xara krzyczy z radości i biegnie ku nim, a potem ustawia się na wolnym stopniu, zrzucając z siebie suknię, powoli zaczynam coś pojmować.

Dwanaście. Ten numer coś mi mówi.

Wspinam się po schodach wśród gibkich ciał, mijam włosy koloru płynnego złota, skórę barwy guinnessa, czuprynę indygo, bikini ze strun skrzypiec.

– Idziemy za panem! – krzyczy Xara, tańcząc, gdy przechodzę obok niej. – Czeka na ciebie na górze.

Istotnie tam jest. W obramowaniu surowego ciemnego prostokąta wejścia. Nie jest specjalnie piękna ani wysoka (żadna z nich taka nie jest). Jej włosy, sięgające kostek, są w zastanawiająco siwym kolorze, jak u staruszki, jednakże twarz, jaką widzę, jest twarzą dziewczynki. Ma na sobie za duży granatowy kostium kąpielowy i buty na koturnach. Czeka na mnie z rękami opartymi na biodrach, roześmiana, a kiedy podchodzę, wyciąga rękę.

– Miło mi – odzywa się sopranem. – Chciał mnie pan poznać.

Towarzyszę jej do salonu, którego rozmiar zaprasza, by się w nim zatracić. Otoczony kolumnami, wyposażony jest w pojedyncze designerskie meble. Tu sofa wyglądająca jak z czarnej laki. Tam dywany w papuzich kolorach. Gdy podchodzę bliżej, zauważam, że te rzeczy nie są nowe: znać po nich wyraźnie ślady zużycia: rozprute szwy, poduszki kanapy wysiedziane przez setki osób. Nie wiedząc czemu, widok tych mebli napiętnowanych przez czas przeraża mnie bardziej niż wszystko, co dotychczas widziałem.

Ona zasiada z podkulonymi nogami na kanapie, wbijając koturny w skórę. Ja wybieram fotel, który ugina się pode mną, wyrzucając w powietrze obłok kurzu.

– Jestem przekonana, że myśli pan sobie: „Cholera, coś takiego” – odzywa się po chwili milczenia, które rozbawiona wykorzystuje, by się mi bacznie przyjrzeć. –

I miałyby pan rację. Coś takiego. Zwłaszcza kiedy się już przyzwyczaisz. W końcu ogarnia nas nuda.

– Nie mogę uwierzyć, że się nudzicie.

Odsuwa włosy z twarzy.

– Proszę tu spędzić kilka miesięcy i sam pan zobaczy. Ma pan ochotę coś zjeść

albo czegoś się napić? – dodaje.

– Nie, dziękuję.

– A więc jest pan księdzem.

– Tak.

– To też brzmi nudno.

– Trochę.

Gdybym mógł przewyciężyć swoje obawy, przyjrzałbym się jej wnikliwie, ponieważ pewne jest, że na pierwszy rzut oka nie znajduję w niej nic specjalnego. Nie odczuwam też żadnych emocji poza pewnością, że oto jestem tutaj, i faktem, że wiem, kim jest ona. Może winne są temu moje nerwy. Wychyliłam się nieco z fotela, opierając się o jego brzeg, i nagle, jak mi się zwykle zdarza, rzucam się w pustkę bez żadnego teoretycznego wyjaśnienia.

– Wie pani? Moje główne zainteresowanie skupiało się zawsze na tym, by zrozumieć istnienie zła. To moja obsesja. Dzieło stworzenia było doskonałe bez niego. Czy bez niej – uśmiecham się. – Skąd ta ciemna strona rzeczy? Nie chcę pani urazić słowem „ciemny”. Chcę przez to powiedzieć, że wszystko mogłoby być normalne i spontaniczne, ale zło jest sztuką, nieprawdą? Czymś wymuszonym...

Milknę, bo widzę, że ona otwiera usta i oczy, kiedy mnie słucha.

– No cóż, to ciekawe, co pan mówi – stwierdza.

– Dziękuję.

Po kolejnej chwili milczenia spuszcza nogi z kanapy i chrząka.

– Widział pan ogród na tyłach? Mamy wiele kwiatów. A żywopłot jest doskonale przystrzyżony.

– To świetnie.

– Tutaj wielkim problemem jest woda. Pada mało. – Odwraca wzrok ku prześwitom między kolumnami. Z jej gestów domyślam się, że bardzo ją obchodzą jej długie włosy, albo je odrzuca do tyłu, albo przygląda, albo zakłada za uszy. – Trzeba by zorganizować system nawadniania. To znaczy, autonomiczny. Ani jednej chmury, widzi pan? Wszystkie dni takie same.

Oboje patrzymy w niebo, z którego powoli uchodzi światło, choć nie zauważamy jak, niemal po kryjomu. Odwracam wzrok, ona uniosła kolano i podtrzymuje je obiema rękami.

Nagle czuję zmieszanie. Nie umiem wytłumaczyć, co się ze mną dzieje. Ogarnia mnie uczucie, że mnie oszukuje. Udaje, i robi to dobrze. Przez chwilę obserwujemy się wzajemnie, mrugając powiekami.

– Cieszę się z pana wizyty – odzywa się w końcu.

Mnie przyszło do głowy inne zdanie, aby przerwać to okropne milczenie, dlatego też wypowiadam je niemal w tej samej chwili.

– A, proszę mi powiedzieć, ta moc Xary... co to jest?

– Moc Xary?

– Ta mistyczna aureola czerwonej barwy...

– Och, to coś, co jej się czasami przytrafia – wyjaśnia, ogryzając paznokieć. – Nie zajmowałyśmy się jeszcze tym... tym zjawiskiem.

– Myślałem na początku, że to jakiś nimb, jakaś aura świętości, jak u apostołów na klasycznych obrazach – brnę dalej.

– Tak, tak... Czemu nie? To dobre wyjaśnienie.

Niespodziewanie ześlizguje się z kanapy i ten ruch mnie wystrasza. Ale ona tylko siada na podłodze, wystukując palcami jakiś rytm na dywanie. Zdaję sobie sprawę, że to rytm samby.

I wydaje mi się teraz, że wystukiwała to samo przez cały czas od początku naszej rozmowy.

– Podobało się panu to, co zrobiła Xara? – pyta, jakby zawstydzona, że nie zwracała na mnie uwagi.

– To było takie niesamowite! – Ożywiam się. – Coś jak cud. Światło w jej głowie, które zwęgliło pięciu mężczyzn i raptem przeniosło ją tutaj. Ale ona najwyraźniej nie zwracała na to uwagi. Nawet nie pamiętała, czy przydarzyło jej się to wcześniej. W teorii, rzecz jasna. Chcę rzec, opozycja Dobra i Zła. – Poruszyłem rękami, każda z nich reprezentowała jedną z sił. – Dobro ma swoich świętych i cuda. Więc dlaczego nie Zło? Logiczne.

Przytakuje i ziewa. Rozpościera ramiona. Przesuwa ręką po twarzy. Potem widzę, że zdejmuje z siebie biustonosz od kostiumu. Ma drobne piersi z dużymi, ciemnymi sutkami.

– Ależ gorąco – mówi. – Nie gorąco panu?

– Trochę.

Dochodzi nas porywczy rytm samby i przewycięża ciszę. Ona unosi ręce. Patrzy na mnie i uśmiecha się. Ale widocznie coś w mojej twarzy sprawia, że rzuca wszystko, podnosi się i z powrotem zasiada na kanapie. Znowu bawi się włosami, ale tym razem wydaje się poważna, a nawet nieprzyjemna.

– No dobrze, jest ksiądz u siebie, ojczy. Jeżeli potrzebuje ksiądz czegokolwiek, proszę powiedzieć.

– Powagi.

– Czego?

– Powiedziała mi pani, że mogę prosić o wszystko, czego potrzebuję. – Sam zaczynam się irytować. Drży mi górna warga. – Potrzebuję powagi. Oczekuję powagi.

– Powagi? – powtarza.

– Tak, powagi. Dla dobra... to jest, nie dla niczyjego *dobra* – poprawiam się. –

Przywykłem do myśli, że On nie istnieje, a jeżeli istnieje, nie jest *poważny*. Przywykłem uważać, że moje własne życie *nie* jest poważne. Kiedy straciłem wiarę,

chciałem się zabić. Przeszkodziło mi w tym jedynie pragnienie poznania drugiej strony. Czytałem Nietzschego, Lautreamonta, Sade'a. Analizowałem ideologię nazistowską i stalinowską. Przekonałem się, że na tym świecie, jeżeli istnieje cokolwiek poważnego, to pani! I dlatego jestem tutaj. To koniec moich poszukiwań. Nie chce mi pani niczego tłumaczyć, zgoda. Nie chcę wypróbować na sobie pani absolutu, niemal wszechmocnej potęgi, zgoda. Ale przynajmniej proszę mi dać nieco powagi! Niech pani sprawi, że dostrzegę, iż to wszystko jest farsą, a za nią stoi pani, czyhając na moją nieśmiertelną duszę!

Oddycham ciężko, spocony, nie wiedząc dobrze, co więcej powiedzieć. Z początku marszczy brwi, ale już w połowie mojej przemowy wygładza się jej czoło. Spuszcza oczy.

– Przykro mi – mówi. – To najprawdopodobniej błąd Xary. Fałszywe oczekiwania. Porozmawiam z nią.

To ostatnie muszę sobie wyobrazić, bo ledwie ją słyszę. Samba nas ogłusza chaotycznym rytmem naćpanej anakondy. Ktoś przyniósł olbrzymie transparenty pod same kolumny i teraz kilka dziewcząt zaczęło tańczyć w salonie: może temu właśnie się oddają z zapadnięciem nocy. Nie widzę pośród nich Xary. Kiedy znowu spoglądam przed siebie, orientuję się, że moja rozmówczyni zapomniała już o mnie i zaczęła tańczyć ze swoimi „naśladowczyniami”. Pa-pa-ra-pa. Pa-pa-ra-pa. Wszystkie poruszają brzuchami w rytm samby, pięknieją w ruchu.

Zostaję na miejscu. Siedzę ze swoją Biblią i krucyfiksem, ale patrzę na tańczące z zaciekawieniem. Słyszę śmiechy, czuję zapach perfum i kremów. Myślę o filtrze słonecznym Sunpro. Ale kiedy znowu podnoszę wzrok, widzę nagiego chłopczyka z gwoździami wbitymi w oczodoły, nad kałużami zakrzepłej krwi. Kiedy tańczy, gwoździe poruszają się niczym czułki jakiegoś owada.

To nie jest ten chłopiec, oczywiście. To krwawy zachód słońca, który rysuje się w prześwitach kolumnady, tak czerwony jak aura Xary.

„Chciałbym wiedzieć”, myślę. Jestem wciąż przerażony, straszliwie przerażony. Nie wiem, kogo teraz błagać, w kogo wierzyć, i to mnie dobija. Czuję tak wielki strach, że kiedy się podnoszę i dostrzegam Xarę tańczącą tyłem do mnie, z nagimi drobnymi pośladkami, nie mogę się opanować i sam poddaję się rytmowi. Mam sześćdziesiąt dwa lata i jestem księdzem niziutkim i słabym, z kamieniami w nerkach. Całe wieki nie tańczyłem, ale kiedy zaczynam, nie mogę już przestać: odkładam Biblię i krucyfixs na krzesło i zaczynam podrygiwać niezdarnie, opierając się to na jednej, to na drugiej nodze.

Wówczas Xara coś czyni: stara się zdjąć buty, może to preludium do pozbycia się całego ubrania w wiele znaczący sposób. Ale pozbywa się lewego buta zbyt szybko i potem czeka, żeby zrobić to samo z prawym, tak więc, z powodu różnicy wysokości między jedną stopą a drugą przez pewien czas kuleje absurdalnie i cała zmysłowość,

którą mogła epatować, rozmywa się zupełnie.

Myślę: „Głupia. Ona, jej apostołowie, wszystkie. Bezdennie głupie. Ale... ale jak im dobrze!”.

I dołączam się do nich wśród krzyków i śmiechów, i puszczam się w tan.



ŚLUB PANI BOJ (dokończenie)

...i puszczam się w tan.

Po zakończeniu opowieści zapanowała cisza. Nikt nie klaskał, nikt nic nie powiedział.

Kilka głów poruszyło się w milczeniu. Przedałem się wśród ludzi, żeby zobaczyć, na co patrzą.

– Drodzy przyjaciele – ciągnął pan Astan – wiedzieliśmy już, że nasze interesy to handel wymienny. Ale, jak dobrze to ilustruje opowieść, którą właśnie skończyłem, odkryliśmy, że jest to także gra...

Chodziło o czarnowłosą damę, która przysłała z panem Astanem: poruszenie, jakie wywołała, wynikało z tego, że miała na sobie ażurowe pończochy z podwiązkami w połowie uda. To znaczy: nie miała na sobie nic więcej. Opierała się plecami o drzwi prowadzące do wewnętrznych pokoi, z jedną nogą wspartą o futrynę, z łokciem na kołatce. Wpatrywałem się w nią, podczas gdy pan Astan ciągnął swoją przemowę.

– ...niczym coś w rodzaju kasyna bez pułapek. Jeżeli postawimy wszystko, to gdy wygramy, sprawiedliwie będzie, gdy wszystko zgarniemy. Wyobraźcie sobie państwo, że stawiamy *wszystko*, co mamy: nie tylko nasz dom, nasz samochód, naszą rodzinę, nasze życie. *Wszystko*. Co chcemy w zamian? Jeżeli stawiamy samych siebie, co spodziewamy się zyskać?

Żałuję, że straciłem striptiz. Kobieta była zwrócona twarzą ku publiczności, wydawało mi się, że ku mnie, ale podejrzewałem, że każdy z gości przypisywał sobie w owej chwili ten sam przywilej.

– Powiem wam co. – Pan Astan uniósł w górę palec i wymierzył go w najbliższej stojących gości. – Tajemnicę, jaka tkwi w nas samych. To właśnie leży na stole, kiedy stawiamy wszystko na jedną kartę. Oddając się w całości, otrzymujecie się w całości jako zysk. A w całości oznacza: w każdym wymiarze. Niezgłębieni, przepastni.

Tajemnicę naszego istnienia możemy wyjaśnić jedynie wtedy, gdy zostawiamy poza nami wszystko to, czym jesteśmy.

(„Czy kieruje te słowa do mnie?”, zastanawia się Soledad, ponieważ Biskup wypowiedział ostatnie zdanie, wpatrując się w nią uważnie).

Pan Astan skończył, czego domyśliłem się po geście, jaki uczynił wobec swej damy.

Bezszelestnie niczym planeta – tak poruszała się ta postać w ażurowych pończochach. Ostatnia rzecz, jaką ujrzałem, zanim zniknęła w korytarzu na dole: jej mięsiste, kołyszące się pośladki. Niebawem wróciła, prowadząc za rękę młodzieńca. Pamiętałem, że nazywa się Xavier. Ubrany był nadal w białą koszulę i czarne spodnie. Patrzył na nas, mrugając powiekami, i zastanawiałem się, czy szuka ojca. Byłoby mu trudno wpaść na niego, jako że Rodier znajdował się o wiele bardziej z tyłu, gdzieś przy stołach, przy których kelnerzy kończyli porządkować kanapki i sztucce, i nawet nie zdawał sobie sprawy z rozgrywającej się sceny. Dostrzegłem, że wygina się, by sięgnąć po następny kieliszek.

Czterech ochotników spośród gości podtrzymywało chłopaka leżącego na plecach na długim stole. Pan Astan podszedł doń odwrócony plecami do nas, z rękami uniesionymi w górę. Dały się słyszeć pierwsze jęki i pierwsze głosy sprzeciwu. Jakaś kobieta nachyliła się ku mnie, by szepnąć:

– To wszystko bardzo mnie podnieca, panie Biskupie. Przywodzi mi na myśl wspomnienia.

– A co dokładnie pani wspomina, pani Boj? – zapytałem także szeptem.

Znałem panią Boj od lat. Była to kobieta o białych kręconych włosach, opalonej skórze, orlim nosie i drobnym podbródku. Na przyjęcie założyła naszyjnik z pereł i białą suknię.

– Swój ślub, panie Biskupie. Uwierzy pan? Swój ślub. To tak dawno!

– Nie tak znowu dawno, pani Boj.

– Proszę mi nie pochlebiać, Wasza Eminencjo! – zachichotała. – Ileż się naczekałam, siedząc na ławce, żeby skończono makijaż! Uwierzy pan? Makijaż! Boże, ależ byłam zdenerwowana. Nieustannie dawano mi rady: a to, żebym spięła włosy, a to, żebym je rozpuściła... Mam przypiąć broszkę przywiezioną przed kilkoma tygodniami z Peru? A może tę drugą, z Kairu?

Pan Astan pochylał się tak nisko, że nie widzieliśmy jego głowy, a jedynie jego koszulę (zdjął wcześniej marynarkę) i poruszające się łopatki. Pochrząkiwania dzikiego zwierza połączyły się z pobekiwaniem, a te z kolei z piskami, w chwili gdy jeden z tych, którzy przytrzymywali chłopca, posłużył się własnym krawatem, by go zakneblować.

– Jedyne, co mnie się podobało z całego tego kostiumu, to buty – oznajmia cichutko pani Boj – srebrzyste szpilki z paseczkiem...

– Musiały być przepiękne.

– Tak, były. Od Hermèsa. Pasowały do koloru kościoła, który był szary... w odcieniu metalicznie szarym, podobnie jak ołtarz. Pamiętam te buty... Nie wiem już, gdzie je mam. I baranka. Baranka z wesela. Przekrojonego o tak, wzdłuż. I plamę, która... Plamę, która...

Nawet knebel nie powstrzymał teraz przenikliwego wycia, tak więc pani Boj nie mogła mówić dalej. Zauważyłem drgającą stopę, bez buta. Kiedy pan Astan wreszcie się odsunął, miał ubabrane ręce i zaczerwienione usta. Na stole koszula i spodnie w strzępach, żebra spływające krwią, wnętrzości niczym skołuniona barokowa peruka. Jeden z mężczyzn przykrył obrusem twarz chłopca.

– Gotowe, Samuelu – odezwał się ktoś głosem nie tak znowu cichym, by nie dało się go usłyszeć: rozpoznałem głos Jules’a Boujarda. – Gotowe – powtórzył, jak gdyby mówił: „Już wszystko minęło”.

I podniósł głos, by krzyknąć:

– Na szczęście!

– Na szczęście, Samuelu!

– Na szczęście, Samuelu!

Zaczęliśmy klaskać w podnieceniu, ponieważ tak długo się hamowaliśmy. Niektórzy zwrócili się ku Rodierowi, który nadal stał przy stole z napojami, ale nie miał już w ręku kieliszka i patrzył na nas, jak gdyby zdumiewał go ten aplauz. Dyrektor? Prezes zarządu? Zastanawiałem się, jak odtąd należy się do niego zwracać. I wówczas dało się słyszeć delikatne uderzenie łyżeczki o szkło i wszyscy zaczęliśmy się rozbierać. Pani Boj, obok mnie, zsunęła najpierw jedno ramiączko stanika, potem drugie, odsłaniając piersi pełne plam, jakie pojawiają się z wiekiem, z obwisłymi sutkami.

– Plama po tarcie na klapie fraka mojego męża – odezwała się. – Dlaczego tak utkwiała mi w pamięci ta plama, Eminencjo? Zupełnie nie mogę oderwać od niej myśli: plama z kremu na klapie fraka...

Waga tego czy innego urzędu sprawiała, że marynarki z łoskotem sfruwały na ziemię. Lecz mimo wszystko przebiegało to dyskretnie. Wszyscy byliśmy już nadzy, kiedy sekretarz ustawił na hebanowym pulpicie wielki rocznik w czarnych okładkach. Na stołach przy bufecie kanapki i tartinki w jednym rzędzie tworzyły napis:

OFFERIMUS TIBI, DOMINE

a w drugim:

CALICEM VOLUPTATIS CARNIS^[1]

W powietrzu unosił się zapach kadzidła i bezalkoholowego dezodorantu. Pan Astan, który wcześniej zapewne oddalił się, by się obmyć, wrócił teraz, nieskalanie czysty. On jeden nadal był ubrany, ale w owej chwili dama o długich i bitumicznie

czarnych włosach odpięła mu pasek, unosząc jego żakiet. My wszyscy ustawiliśmy się w rzędzie. Pierwszy stał, oczywiście Jules Boujard. Przyklęknął i złożył pocałunek. Drugie miejsce wskazano Samuelowi Rodierowi. Nagie pośladki pana Astana czekały. Rodier zachwiał się odrobinę, klękając, co należy przypisać temu, że był pijany, ale koledzy podtrzymali go. Ludzie przesuwali się do przodu. Złożywszy pocałunek, gość odchodził i ustępował miejsca kolejnemu.

– Ach, panie Biskupie – szepnęła pani Boj, która szła tuż przede mną, a jej nagie pośladki łechtały mój penis. – Ależ ja jestem stara i głupia, panie Biskupie, ale głupia i stara... – I wytarła łzę wierzchem dłoni.

– Ależ skąd, pani Boj – odparłem uprzejmie.

I przesuwaliliśmy się dalej do przodu.



Soledad nic nie zrozumiała z tej długiej opowieści Biskupa. Czy może dwóch opowieści w jednej? A jednak...

Przychodzi jej na myśl, że może owszem, zrozumiała ją, ale po raz pierwszy od chwili, gdy znalazła się w tej komnacie, albo gdy stała się duchem, nie potrafi jej wyjaśnić.

W przypadku opowieści pani Lefó i pana Figury dokładnie widziała alternatywę: albo podobało jej się to, co przytrafiło się bohaterom opowieści, albo nie. Natomiast w przypadku opowieści Biskupa – opowieści wewnątrz opowieści – wybór nie wydaje jej się tak oczywisty. Złe? Dobre? Wszystko jest potworne! Ale, jednocześnie, ona sama także puściłaby się w tan z tymi dziewczynami w bikini i przyznałaby rację panu Astanowi, gdy stwierdzał: „Jest tylko jedna przeszkoda, jedna, ale istotna: my sami”, i zmartwiły ją nostalgiczne wspomnienia pani Boj...

I to właśnie ją zmyliło! W opowieści Biskupa wszystko wydaje się... zmieszane? Miłość, nienawiść, strach, radość, słodycz, brutalność... Jak lekarstwa, które czasami trzeba przyjmować rozpuszczone w szklance wody, i mają wtedy nowy smak złożony ze znanych smaków, wszystkie opcje stanowią jedną („Jesteśmy jedyną opcją” – mówił pan Astan). Mrówka i skorpion zmieszane razem, bez różnicy!

Ale, ale, ale! Dokąd ją to wszystko zaprowadzi? Nie może to nadać kształtu nowemu pytaniu. Czuje się tak, jakby utrzymywała równowagę, stojąc na jednej nodze. Wiedziała już wcześniej, że rzeczy nie są takie, jakimi się wydają. Tak mówi tata. I siostra Esther. Rzeczy mogą ukazywać się pod pozorem innych. Dobra rzecz może wydawać się czymś złym. Ale pod spodem jest dobra. A gdyby istniała jeszcze kolejna warstwa *pod spodem*? Może zła? A co pod jej spodem?

W teorii prawda powinna być rzeczą ostateczną, ale to nie takie pewne. Jeżeli wszystko zostaje zmieszane w tej mdłej, bezwonnej wodzie, to może nie ma żadnego „ostatecznego końca”? A może jest?

Milczenie się przedłuża. Dlaczego wszyscy tak długo siedzą cicho? Nagle czuje, że się boi, postępuje krok naprzód, nie patrząc gdzie, i jej bosa stopa nadeptuje na jakiś przedmiot.

– Ojej – wykrzykuje, chociaż nie poczuła bólu. To tylko przestrach.

Podnosi tę rzecz, stojąc na drugiej nodze. To tylko plama z szarego kurzu, na podeszwie skrawek zmiętego papieru, który na moment przykleił się jej do skóry i który bezszelestnie się odrywa. Zapomniała zupełnie o niedopałku pani Lefó. Na

szczęście już ostygł!

Kiedy podnosi wzrok, wszyscy na nią patrzą. Pan Figury jakby się postarzał i pochylił. Wyraz twarzy pani Lefó, która już nie pali, to mieszanka „och, biedactwo!” i „szkoda, że się nie oparzyła!”. Dama w bieli, najbardziej tajemnicza, obserwuje ją bez mrugnięcia. Ale to Biskup się odzywa.

– Chciałaś coś powiedzieć?

„Chcę iść do domu” – to chciałyby powiedzieć. Słowa w uporządkowany sposób cisną się na usta i gotowa jest wypowiedzieć je z taką jasnością, jak wówczas, gdy kłóci się z siostrą. Jej siostra! Tak, pragnie z całych sił ją zobaczyć, tak samo tatę... Tak, chce odejść! Już jej się nie podobają opowieści, boi się ich. A jednak...

– Powiedz. – Pan Biskup zachęca ją gestem grubiotkiej ręki.

Przygląda się uważniej panu Figury i pani Lefó. Wydaje się, że wieki minęły od chwili, gdy zaczęli mówić i zrobili na niej wrażenie opowieściami. A teraz? Ciekawe, tacy milczący... Odwracają od niej wzrok!

To jej dodaje odwagi. To tak jak nadepnąć na zgaszony niedopałek, uczucie niemiłe, a zarazem satysfakcjonujące, jak przewyciężenie przeszkody. Bez wątpienia mężczyzna zwany Biskupem jest bardziej niepokojący niż pozostali, ale ona jest pewna, że... Nie, nie jest pewna. Powiedzmy, że *sądzi*, iż może go także przewyciężyć. A jeżeli nie, to wszystko jej jedno, bo...

– Chcę nadal słuchać opowieści – odzywa się.

Powolny, szeroki uśmiech rozlewa się na twarzy Biskupa niczym kropla atramentu w wodzie. Jak gdyby był to umówiony sygnał, atmosfera się rozluźnia, pozostali szykują się do wysłuchania nowej opowieści.

– No dobrze! – oznajmia Biskup. – Podoba mi się siła, zaangażowanie i... i przestach tej panienki – dodaje, mrugając do niej i ujawniając, że nie da się nabrać na jej pozorną siłę.

– Ale teraz to będzie prawdziwa próba dla naszej słuchaczki. Moja druga i ostatnia opowieść przygotowana na dzisiejsze spotkanie, *Corpus Christi*, nie jest dla nastolatek...



CORPUS CHRISTI

Zapewne uznają to państwo za żart, ale faktem jest, że amerykańska gimnazjalistka, Frances Flesh, jest czczona pod postacią hebanowego fetysza przez rozliczne plemiona żyjące na wschód od jeziora Turkana.

Rozumiem państwa zaskoczenie. Ja sam, będąc świadkiem narodzin tego mitu, czułem się nie mniej zszokowany. Bo, bądźmy szczerzy: ledwie trzynastoletnia panna Flesh z Minnesoty, blondynka z kręconymi włosami, o oczach tak szarych jak niebo nad jej rodzinnym stanem i skórze w takim odcieniu, jaki w afrykańskich realiach przybierają jedynie szczyty Kilimandżaro, nie miała w sobie nic, co wyjaśniałoby wyniesienie nastolatki z gimnazjum do rangi afrykańskiej bogini. Zresztą sami państwo oceniają; ja ograniczę się jedynie do prezentacji hagiografii.

Mówiąc wprost, nie doszłoby do niczego, gdyby pana Flesh nie zaczęła eksperymentować z pokusą, by zostać nimfą. Albo gdyby lepiej oceniła ilość benzyny w baku. Postarajmy się jednak ją zrozumieć: oto pokłóciła się właśnie z zazdrosnym chłopakiem; targająca nią burza buzujących hormonów każe jej porwać jeep nauczyciela – opiekuna klasy podczas wycieczki na koniec roku szkolnego. Wciskając gaz do dechy, oddała się od hotelu w Alia Bay, w którym przebywała z koleżankami, i od reszty cywilizowanego świata, aż w końcu dociera tam, gdzie drogi stają się coraz gorsze, gnana pragnieniem, by ukoić rozpacz wśród baobabów. Nie ma znaczenia, jak było naprawdę. Można by określić to mianem dziewczynskiego szaleństwa, gdyby nie nałożyły się na siebie dwie sprawy: pokusa zostania najadą i pusty bak, który po godzinnej jeździe zmienił jeep w nieprzydatny szmelc.

Powinienem dodać, że panna Flesh jako niezła turystka – poza tym, że dobra Amerykanka – była odpowiednio wyposażona na wypadek konieczności sprostania trudom natury: miała na sobie koszulę i szorty, kamizelkę khaki, *chukka boots* z cholewami chroniące ją przed kolcami akacji, a nawet tropikalny kask, którego nigdy nie zakładała, bo był za duży. Ale to dopiero widok wodospadu, który najpewniej był piękniejszy od Wodospadów Chandlera w Shabie i ukryty niczym samica *bucero* – dzioborożca – w dziupli, sprawił, że pozbyła się wszelkich zahamowań. Niewiele myśląc, wycieńczona przez upał i komary, zrzuciła z siebie

wszystko, włącznie z butami, i wrzeszcząc z radości, rzuciła się pod diamentowo lśniący deszcz, inkrustując się w nim niczym zawieszka z kości słoniowej w srebrnym naszyjniku. Zbieg okoliczności? Spełnienie losu? Różne źródła różnie mówią. Wedle niektórych obserwatorów w noc poprzedzającą to wydarzenie zaobserwowano nad jeziorem Turkana spadające gwiazdy. Z kolei szanowany biolog z Isiolo, Simon W. Wiltschaffer – nawykły do żucia *miraa*^[2] – odnotował w podręcznym notatniku, iż rzeczone gwiazdy były w rzeczywistości rozżarzonymi, ogarniętymi płomieniem żurawiami, i pozostawiały za sobą smugi dymu, jakie powstają po wystrzale z muszkietu. Jeżeli tak było istotnie, to może chodziło o jakiś proroczy znak.

Pozostańmy jednak przy tym, co się wydarzyło. Gdy panna Flesh rzuciła się z krzykiem do ucieczki z powodów, które niebawem wyjawimy, poślizgnęła się przy kolejnej kaskadzie i zakończyła podróż w sieciach, które lud Ngongo rozciągnął w poprzek rzeki.

– To już koniec! – jęczała roztrzęsiona. – Proszę, wyciągnijcie mnie stąd!

Jakiż może być lepszy świadek powstającego apokryfu niż biskup? Otóż byłem przy tym osobiście.

Nie mam pojęcia, jakiż to przypadek sprowadził mnie na nocleg akurat do wioski Ngongo poprzedniej nocy, skoro tyle razy wcześniej nie wahałem się korzystać z gościnności wszelakich afrykańskich plemion w charakterze „nawróconego biskupa”. Fascynują mnie ich obyczaje i rytuały, uczestniczę w ich wierzeniach, zmieniam bogów jak mapy co sto kilometrów. Rzecz w tym, że znajdowałem się dokładnie w owym miejscu i czasie wówczas, gdy w samo południe rybacy Ngongo wrócili do wioski, taszcząc sieć przeklinającą z furią po angielsku, i powiesili ją wysoko na gałęzi.

– *Meyan kiyanwa!* – krzyczeli.

Siedzieliśmy wraz z wodzem w cieniu, jaki dawały dachy z trzciny, kiedy ujrzałem ten dziwaczny połów. Podeszedłem obejrzeć go z bliska. Zdobycz przypominała gigantyczny ul o miłych dla oka kształtach.

– Pan mówi w moim języku! – wydał okrzyk ul, przezierając przez dziury w sieci.
– Proszę, niech im pan powie, żeby mnie wypuścili!

– Nie chcą. Słyszała pani: *meyan kiyanwa*. Uważają panią za pewien rodzaj ryby obdarzonej niewiarygodną mocą.

– Za co?

– Za cudowną rybę – objaśniłem.

– Niech im pan powie, że nie jestem rybą! Cholera, niech im pan to powie...!

– Nic pani nie rozumie, moje dziecko. Oni wiedzą, że pani nie jest rybą, nie od dziś goszczą u siebie turystów. Tu chodzi o coś innego, o pewien rytuał.

– Czy oni... czy chcą mnie zjeść? – spytała, przełykając ślinę.

Nabijałem fajkę, żeby lepiej dobrać słowa. Wokół nas dzieciaki z brzuchami tak wyдутymi jak szkło, gdy podczas wydmuchiwania powstają kule, a z nich butelki, przyrodziane podobnie jak moja rozmówczyni, z tym że miały czerwone przepaski na biodrach, pokazywały nas sobie wśród chichotów. Dorośli zaczęli się rozchodzić.

– W żadnym wypadku – zapewniłem. – Proszę zrozumieć: jest pani dla nich tabu. Gdyby wyrwali choć jeden ząb świętej rybie, wrzody i krosty obsypałyby ich ciała. Poza tym jesteśmy w Afryce, a nie w Amazonii, panno... Czy właściwie powiedziała pani, jak się pani nazywa?

– Flesh, Frances Flesh – rzuciła mi prosto w twarz, jakby to była obelga.

– Bardzo mi miło, ja jestem biskup de Godorna. A zatem, panno Flesh, proszę się uspokoić: pani nazwisko nie budzi jakiegoś szczególnego apetytu^[3]. – Gra słów była może nieco prostacka, ale jedynie moja rozmówczyni umiała to ocenić.

– W takim razie... co ze mną zrobić?

Daleka od tego, by się uspokoić, rękami skromnie zasłaniając swoje własne tabu, wydawała się więźniem narastającego niepokoju.

– Również nie to, o czym pani w tej chwili myśli. Chociaż wedle ich obyczajów nie jest pani zbyt młoda, nikt pani nie tknie. Jeżeli nie zachowają się wobec pani godnie, miód się zetnie, a ich pszczoły przeniosą się do innych uli, daleko od wioski. Takie wierzenia rozpowszechnione są wśród Ngongo. Stanowi pani część rytuału, za który nikt nie jest w pełni odpowiedzialny. Zdarzenie było prawdziwe: wpadła pani naga w sieci rybaków, ale mitologia Ngongo opisuje wydarzenie poprzedzające taki fakt, i ono z kolei jest całkowicie fikcyjne: ucieczka przed dziwnym potworem zwanym Wataya lub Kusiciel...

– O Boże, widziałam go! Boże, widziałam go, widziałam!

I właśnie wtedy opowiedziała mi, co się dokładnie stało: scysja z chłopakiem, ucieczka jeepem, wodospad i potwór. Wedle jej relacji, poczuła się tak wspaniale, oblewana strumieniem wody spływającej ze szczytów gór, że zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że oto rodzi się od nowa. Dlatego nie dostrzegła potwora, póki nie rzucił się na nią.

W tym miejscu zmuszony jestem przytoczyć słowa jedyne go świadka. Proszę o cierpliwość.

Potwór był wielki jak pokój gościnny w porządnym domu. Miał parę rogów jak niektóre antylopy, brązową sierść, cztery słoniowe nogi poznaczone żyłami niczym marmur w watykańskich kolumnach, skrzydła niezwykłego jastrzębia i grzywę barwy czystego złota. Pysk, choć wydłużony i ciemny jak u antylopy gnu, był w połowie ludzki: przywodził na myśl twarz zamyślonego starca z długą brodą zroszoną kroplami, tak jak drobne ciało panny Flesh. Nagle pojawił się znikąd obok niej, niczym pędzący autobus zlanym wodą, stojąc na nogach jak kolumny Berniniego

i dysząc niczym miechy w organach Silbermanna.

– Ach! – krzyknęła panna Flesh.

Przez chwilę nie działa się nic, jak to bywa wówczas, gdy znajdujemy w łóżku wielkiego czarnego pająka, a on z kolei odkrywa ogromną białą istotę ludzką, i między tymi dwoma potworami dochodzi do wymiany przestachu i uważnej oceny.

Któż mógłby mieć pretensje do panny Flesh o to, co uczyniła później? W mojej opinii ucieczka z wrzaskiem i przeskakiwanie z kamienia na kamień to, można rzec, reakcje najmniej niezdrowe ze wszystkich, jakie wyobrażam sobie w zaistniałych okolicznościach.

– To dodatkowo komplikuje sytuację – oświadczyłem, gdy zakończyła swoją niesamowitą opowieść. – Bez względu na to, co pani widziała, wpisuje się to w wierzenia tych biednych ludzi. Wierzenia Ngongo to, jak mogłem się przekonać, skrzyżowanie katolicyzmu z pierwotnymi mitami. Winę za takie pomieszanie pojęć ponoszą częściowo misjonarze: okazuje się, że bardzo niebezpiecznie jest wprowadzać obce elementy w kultury, które funkcjonują w oparciu o magię, ponieważ z takiej mieszanki może wyniknąć właściwie wszystko.

– Może pan to jakoś podsumować? – Panna Flesh rozpaczliwie zagryzała wargi.

– Wie pani już, że tradycyjnym symbolem Kościoła katolickiego jest ryba. „Ichthys” w języku starogreckim to akrostych: *Jēsoûs Christós Theoû Hyiós Sôtér*, czyli Jezus Chrystus Boga Syn Zbawiciel. Począwszy od czwartego wieku, ryba stała się symbolem Eucharystii. Proszę sobie przypomnieć, że Piotr, wybraniec Jezusa, był rybakiem, a sam Jezus twierdzi, że uczyni go „rybakiem ludzi”. To wszystko mamy tutaj, wstrząśnięte i zmieszane z bimbrem wierzeń przedchrześcijańskich. Na wypadek, gdyby pani tego nie wiedziała, ryba jest dla człowieka pierwotnego dziwnym stworem: żyje w środowisku, w którym człowiek umiera, a zdycha w takim, w którym my żyjemy. Co więcej, rybnie mięso to właściwie nie mięso. Tak samo nie jest nim pani nazwisko, bez względu na to, jak mięsiście brzmi „Flesh” po angielsku. Rybia natura jest sprawą problematyczną dla społeczności, która za zwierzęta uznaje te równe ssakom lub owadom. Stąd to uświęcenie.

– Niech to wszystko szlag trafi, panie profesorze! – zaatakowała mnie, usiłując zmienić pozycję w sieci. – Nie jestem na wykładzie! Jestem zawieszona w tej przeklętej sieci!

– Do tego zmierzam. Proszę o cierpliwość. Jest pani zawieszona w sieci niczym nimfa Diktyma czy też Diktyнна, Britomartis, którą Minos nękał dokładnie przez dziewięć miesięcy, czyli tyle, ile trwa okres ciąży kobiety, aby na koniec rzuciła się do morza i została uratowana, wpadając w sieci rybackie. Stąd jej nowy przydomek: Dictina „ta z sieci”. Zapyta pani, jaki ma związek mit kreteński z mitem afrykańskim, więc odpowiem, że dowiedziono nawet zgodności mitów ludów prekolumbijskich i azjatyckich. Proszę ponadto zauważyć, że Minos był powiązany z Minotaurem,

człowiekiem-bykiem, a wedle pani opisów potwór, który panią prześladował przy wodospadzie, miał rogi i ludzki pysk...

– Nie prześladował mnie. To ja rzuciłam się do ucieczki jak kretyńka. I nie był to żaden byk czy człowiek-byk. I mam dosyć pańskich tyrad!

– Proszę pozwolić mi skończyć, bo to panią zainteresuje. – Huśtała się na gałęzi jak żmija, w rodzaju tych, jakie można zobaczyć na japońskich straganach. Ja powoli przechadzałam się pod drzewem. – Proszę sobie teraz wyobrazić, jakie konsekwencje wynikają z tego, że ludowi Ngongo opowiadano o Jezusie Chrystusie i o chrześcijańskiej rybie. Bóg jeden wie, jaka to rzadka symbioza wytworzyła się przez wieki kulturowej kontaminacji pomiędzy pierwotną wiarą w Watayę, w nimfę schwytaną w sieci i teologią katolicką. Co więcej, jeżeli rzeczywiście widziała pani Watayę, nasuwa się wniosek, że folklor garstki Ngongo jest bliżej rzeczywistości niż... – Nagły pisk kazał mi zamilknąć.

– Szalenie ciekawy wykład, „ojcze”, ale...! – Przerwała, szcękając zębami.

– Biskupie de Godorna – sprostowałam.

– Doskonale, biskupie wszystko jedno jaki! Co pan powie na to, żeby głosić te historie wszem i wobec, a mnie wyświadczyć pomoc? Mieszkam w Alia Bay, na południowym brzegu Turkany...

– Znam to miejsce.

– Mogę panu podać kilka numerów telefonów. Proszę zadzwonić do...

– Żałuję, ale nie posiadam komórki.

– To proszę tam pójść i wyjaśnić, co się stało!

– Naprawdę pragnie pani, bym ją opuścił?

– Nie, tego nie powiedziałam! – zaszlochała. – Chcę tylko, żeby ktoś mnie stąd wydostał! Proszę, niech ktoś mnie stąd wydostanie! Tatusiu! Mamo!

– Nie krzycz, dziecko, nic ci to nie da, a nawet pogorszy twoją sytuację.

Zamilkłam i zaciągnąłem się fajką, a ona wciąż płakała. Krople z jej mokrego ciała spadały na mnie, a te, które zlizalem, miały smak łez. Jasne loki przyklepione do twarzy nadawały Frances wygląd płodu we wnętrzu macicy.

– Moje dziecko, szczerze wierzę, że bardziej się przydam, stojąc przy pani, niż w Alia Bay, gdzie z pewnością rozpoczęto już poszukiwania, z racji pozycji pani kraju. Niepełnoletnia Jankeska zaginiona podczas wycieczki do Afryki to nie byle co. Znajdą panią, to kwestia czasu.

(Soledad nie podziela optymizmu Biskupa. „Czasami na nic się zdaje czekanie, bo nikt nie wie, dokąd poszłaś”, myśli, czując się jak druga Frances Flesh).

– A tymczasem – dodałem – proszę nie zapominać, że jestem pani jedynym kontaktem z Ngongo i mogę się za panią wstawić, jeżeli sprawy przybiorą, ujmijmy to tak: nietypowy obrót.

– Czy przez „nietypowy obrót” rozumie pan, że mnie pożrą, czy tylko, że posiekają mnie na kawałki, ale nie zjedzą? – zapytała, siląc się na dowcip.

– Panno Flesh, jestem wprawdzie przedstawicielem Kościoła katolickiego – skłamałem – ale nie dopuszczę, żeby stała się pani krzywda, bez względu na to, jak bardzo jest pani zaangażowaną protestantką. – Odwróciłem się, żeby odejść, ale na chwilę przystanąłem. – Nawiasem mówiąc, nie sądzę, żebym zdołał zdobyć dla pani ubranie, ale wieczorem przyniosę pani koc.

– Sukinsyn. – Odrzuciwszy wszelkie tabu, werbalne czy cielesne, czepiała się teraz rękami siatki. Ustawiłem się w najlepszym miejscu, aby móc ją obserwować bez przeszkód. – Żarty pan sobie ze mnie stroi, stary palancie.

– Nie stroję sobie żartów, ale nieźle się bawię. Drobną różnicą, ale jednak. No, niech się pani nie martwi. Zrobię, co się da, żeby pani pomóc.

– Dokąd pan idzie? – krzyknęła przerażona, widząc, że odchodzę.

– Czegoś więcej się dowiedzieć.

Jeżeli mam wierzyć w jej wersję, tej nocy cztery lwy zakradły się nieniepokojone do wioski, gdyż cała ludność znajdowała się gdzie indziej (niebawem powiem gdzie), i usadowiły się pod siecią. Ale zachowanie zwierząt nie przedstawiało zagrożenia, raczej zagadkę niemal naukową, gdyż rozłożyły się geometrycznie: jeden na dwunastej, drugi na trzeciej, trzeci na szóstej, a ostatni na dziewiątej hipotetycznej tarczy zegarowej, której sam środek stanowiła panna Flesh. Ich oczy niczym rozżarzone węgle, jęczory barwy flamingów znad jeziora Nakuru i pomruki dobywające się z gardeł rozpraszały naszą małą bohaterkę przez całą noc, dlatego też łatwo zrozumieć, że nie zmrużyła oka.

Ale o tym wszystkim dowiedziałem się później. W porze lwiej wizyty znajdowałem się wraz z Ngongo na pustym polu w pobliżu wioski, tak blisko płonącego stosu, na ile pozwalał mi niepokój, jako że ogień budzi we mnie przestach tak samo jak w małpach. Oczywiście nieprzewidziany połów dnia zaniepokoił mieszkańców i musieli zasięgnąć rady czarownika. Był to chudy, żyłasty starzec przyodziały w kostium utkany z *tembo*, czyli włosów słonia, z uniesionymi włosami i grzechoczącymi paciorkami oraz zausznicami z uszu byka. Widziałem, jak biega w kółko między mężczyznami i kobietami, a czasami wyciąga z uplecionego koszyka czarne, brzuchate skarabeusze, by je zjeść ze starannie obliczonym spokojem. Następnie popijał z bukłaka, a po każdym łyku splotował, wskazując na nas paluchami pomalowanymi na biał.

– *Bulau kutoswa ngenuku!*

Każdy taki krzyk witany był gromkim biciem w ngomy.

Moja etniczna uprzejmość kazała mi uśmiechać się, kiedy tancerz zbliżał się do mnie z otwartymi ustami, w których jeszcze tkwiła masa z nieprzeżutych, na wpół zjedzonych owadów, i krzyczał coś do mnie z okropną wymową, choć mając pełne

usta, nie powinien.

– *Botswan aruku! Botswan aruku!*

Muszę wyznać, że właściwie prawie we wszystkim skłamałem mojemu niewinnemu egzemplarzowi świeżo złowionej minnesotańskiej dziewczyny: język ngongo jest dalekim wariantem suahili, z którym ma niewiele wspólnych słów, tak więc ledwie mogłem się porozumieć z ludźmi z wioski, a tym bardziej wstawiać się za kimś. Ale że wódz był niezłym facetem i mówił trochę w suahili i po angielsku, a przy tym zawsze się uśmiechał, kiedy mówił, przybrałem jego uśmiech podczas obrzydliwego przedstawienia czarownika, by go zapytać:

– Co pan robi?

– Nic – odparł. – Tak być.

Enigmatyczna odpowiedź kazała mi sądzić, że nie pomyliłem się całkowicie, przypuszczając, że Ngongo wierzą, iż coś zadziało, kiedy złapali dziewczynę, coś, czego ani oni, ani ona, ani ja nie zdołamy powstrzymać lub zmienić. Mogłem równie dobrze zapytać o wał czarnych chmur na horyzoncie albo o burzę, która powoduje wezbranie wód w rzekach, lawiny błotne i wysyp kajmanów. „Tak być”, brzmiałyby odpowiedź. „Nieuniknione”, przetłumaczyłem sobie. Ale właściwie co było nieuniknione?

Gdy ku zadowoleniu wszystkich skarabeuszy, którym udało się przeżyć, spektakl się skończył i ngomy umilkły, a plemię rozpierzchnęło się po nocy, jak tylko potrafi się rozpierzchnąć czarne plemię, wróciłem tam, gdzie schładzała się młoda ofiara. Spektakl trwał aż do świtu, tak więc byłem przygotowany zastać smętne szczątki, i nie myliłem się.

– Przynoszę pani nieco mocnej gorącej herbaty, przygotowanej z własnych zapasów – powiedziałem. – Przynajmniej to coś cywilizowanego.

Jej głos brzmiał głucho i chrapliwie niczym w źle nastrojonym radiu.

– Niech pan idzie do diabła ze swoją mocną gorącą herbatą.

Z wysiłkiem zmieniła ułożenie, porzucając pozycję płodową. Wydawało się, że już się nie przejmuje tym, by zasłaniać intymności, mimo że oświetlałem ją latarką, ale ja także nie przejmowałem się tym, że na nie patrzę. Osiągnęliśmy tę przedpotopową obojętność, do której ludzie Zachodu są w stanie dojść dopiero po kilku tygodniach wakacji na obozie nudystów. Wzruszyłem ramionami i z dezaprobatą zamknąłem termos, myśląc, że koniec końców to nie ja uciekłem z wycieczki, żeby wpaść w sieci tubylców.

– Przyniosłem także środek przeciw komarom – dodałem. – Zawiera zalecaną ilość substancji DEET.

Jej milczenie potwierdziło, że środek na komary nie spotkał się z lepszym przyjęciem niż herbata. Drobnymi skulonymi plecami, ze śladami sieci, wstrząsało łkanie.

– Panno Flesh, proszę się uspokoić. Sprawy nie mogą iść lepiej. Wódz Ngongo zapewnił mnie, że nie stanie się pani żadna krzywda...

– To kłamstwo.

– Ależ proszę pani, jestem kapłanem!

– Mówię, że to on okłamał pana – jęknęła.

– Proszę nie tracić nadziei.

– Gdyby mnie pan stąd wyciągnął, tobym jej nie straciła.

Obszedłem w kółko sieć, aby przyjrzeć się zapłakanej twarzy panny Flesh.

– Proszę pomyśleć, jaką przygodę pani przeżywa... – pocieszałem ją. – Niech sobie pani wyobrazi, co opowie pani koleżankom z klasy w...!

– Czy pan nie słyszał moich krzyków, idioto? – wrzasnęła.

Zamilkła i kilka razy pociągnęła nosem. Zignorowałem obrazę, bo z jej punktu widzenia była zrozumiała. Ponadto zżerała mnie ciekawość.

– Szczerze mówiąc, nie. Byłem daleko. Co się stało?

Opowiedziała mi o czterech lwach. Zanim skończyła, przedstawiłem jej swoją wersję.

– Mam nadzieję, że nie urażę pani swoją uczciwością, ale w tym, co się wydarzyło, nie ma nic dziwnego. Proszę sobie wyobrazić łatwy kęsek, jaki stanowi pani dla każdego wszystkożernego podniebienia. Dla nich to coś więcej niż polowanie, to niczym pójdzie do sklepu mięsnego... Niech się pani cieszy, że wisi pani tak wysoko!

– Nie chciały mi zrobić krzywdy – mruknęła, już spokojniejsza. – Siedziały na swoich miejscach i wszystkie razem ziewały, o tak. – Otworzyła spore usta i wysunęła język. – A w paszczach miały coś świecącego!

Afrykańska fauna, jaką panna Flesh miała okazję poznać, nie wydała mi się interesująca, ale słuchałem z powagą. Według jej relacji, każdy lew miał w języku coś w rodzaju fluorescencyjnego szlachetnego kamienia. Pierwszy – w kolorze delikatnego złota, jak żarówka energooszczędna, drugi – wściekle czerwonego rubinu, trzeci – topaz z błękitnym połyskiem, a czwarty – mleczny kwarc cienki jak opłatek pokryty robaczkami świętojańskimi.

– No i co?

Drapała się tam, gdzie pogryzły ją komary.

– Nic. Siedziały tak z otwartymi paszczami i wywalonymi językami, jak gdyby chciały, żebym wzięła któryś z kamieni... a potem sobie poszły. Proszę, niech mi pan uwierzy!

– Ależ naturalnie.

Jeżeli w cokolwiek wierzyłem, to raczej w mieszaninę ignorancji, niewinności i wycieńczenia. To ostatnie spowodowane było przedłużającym się wiszeniem pod gołym niebem i brakiem pożywienia. Wyciągnąłem rękę i ująłem jej drżącą dłoń. Gest

ten wywołał kolejny atak płaczu.

– Dobrze już, dobrze, niech pani będzie silna. Nie traćmy głowy. Musimy zachować zimną krew.

– Co do mnie, to mam ją już dostatecznie zimną – odparła, próbując żartować.

– Przyniosę pani coś do okrycia.

Oczywiście godziny, które spędziła w sieci w kształcie jaja, ściśnięta przez sznurki, z których sieć była upleciona, naga i lekka, zawróciły ją do stanu wcześniejszego niż stworzenie oczekiwane przez rodzica. Ale coś w jej słowach zastanowiło mnie, podczas gdy wsuwałem jej podróżny koc przez dziury w sieci i podawałem gorącą herbatę, którą w końcu przyjęła.

– Odwagi – powiedziałem – i niech pani będzie nadal dzielną dziewczynką, przedstawicielką najpotężniejszego kraju na świecie.

– Nie wiem, kim jestem – jęknęła, wtulając się w koc. – Chyba już nie żyję.

– Niech pani nie mówi takich rzeczy.

– Wewnątrz. Poważnie. Chyba umarłam w środku. Jak gdybym nie mogła już nigdy być sobą.

– Pomimo wszystko proszę nie tracić odwagi.

– Przeciwnie: fakt, iż wiem, że to nie ja, dodaje mi... sił. Czuję, że nic nie mogę stracić, i to mi pomaga. Jak gdybym ofiarowywała się czemukolwiek teraz, gdy wiem, że to jest tylko początek... początek innego życia. Och, mój Boże, czy pan mnie rozumie?

(Soledad rozumie jak najbardziej. „Ona jest mną”, myśli znowu.

I jakie dziwne, a jednocześnie znajome są te cztery klejnoty w paszczach lwów. Co jej to przypomina?)

Zapewniłem, że ją doskonale rozumiem, i delikatnie wyjąłem jej termos z rąk, gdy zauważyłem, że jest coraz bardziej wyczerpana. Odchodząc, przyjrzałem się raz jeszcze i jej wymuszona pozycja przypomniła mi odwrócony znak zapytania, z kropką na górze, huśtający się na gałęzi pytajnik. Nie zmrużyłem oka w swojej chacie, ale nie z podniecenia, tylko z poczucia, że dzieje się coś tajemniczego. Jakieś zębate koło wprzęgło się w niewidoczny dla oka obrót spraw w tym odległym miejscu w Afryce i rolą natury było teraz je zatrzymać.

Zbudziło mnie południe, dość późno, biciem w ngomy.

Zobaczyłem ich, gdy myłem się w miednicy, a złote promienie przesączały się przez trzciniowy dach: szeregi Ngongo, mężczyźni, kobiety i dzieci, idące w rytm nakazany przez rytuał. Pospieszyłem za nimi.

Procesja przeszła przez wydmy w kierunku jeziora Turkana. Był początek czerwca i bóg deszczu nie pobłogosławił jeszcze swoją magiczną mocą wyschłych brzegów. Mimo wszystko turkusowa woda połyskiwała, strzeżona przez patrole świętych ibisów, wpatrzone w pianę. Krokodyle rozciągnięte w błocie prezentowały swoją

skórę na damskie torebki, a ciszę przerywały jedynie głucho parskania hipopotamów.

– *Manuwi buni! Manuwi!* – krzyknął nagle ktoś do pasa zanurzony w wodzie, podskakując. Rozpoznałem mojego przyjaciela akrobatę w stroju z *tembo*, który zarzucił tymczasem dietę z owadów. Ale jego podskoki, o ile to możliwe, stawały się coraz częstsze, i wyskakiwał w górę, wyjąc jak opętany.

– Co on mówi? – zapytałem w suahili stojących najbliżej mnie.

– *Miracle* – odpowiedzieli po angielsku.

Wszystkie głowy zwróciły się wówczas ku drodze, którą przyszedliśmy. Roześmiana grupa kobiet Ngongo prowadziła Amerykankę za rękę. Ubrali ją w *khanga*, którą owija się ciało od pasa w dół i która zakrywa nogi. Jej piersi, dwa wzniesienia na gładkim torsie, drżały w rytm kulejących kroków, co było w pełni zrozumiałe, zważywszy na to, że całą dobę spędziła w sieci. Mimo brudnych włosów i skóry była tak blada, że symetryczność obrazu – po obu stronach hebanowe dziewczyny spowite w barwne tkaniny i bransolety, w środku biała dziewczyna w *khanga* od pasa – aż się prosiła o fotografię dla „National Geographic”. Ale ten estetyczny szczegół szybko uleciał mi z pamięci, ponieważ towarzyszki doprowadziły ją na brzeg z pośpiechem godnym nowożeńców w noc poślubną, śpiewając i śmiejąc się.

– Panno Flesh! – zawołałem, gdy mnie mijiała, ale chyba nie usłyszała. Pozwalała się prowadzić niczym w transie, powieki opadały na jej szare oczy, a język wysuwał się z ust niczym pęk róży.

Przybycie orszaku przepłoszyło ibisy. W oddali kormorany świadome wagi chwili przerwały swój połów i usadowione na skałach obserwowały podskoki *tembo* i figurkę Jankeski, jedyne ludzkie istoty w wodzie, jako że pozostałe kobiety, spełniwszy swoją rolę, odeszły. Czarownik, spryskany wodą, z wzniesionymi w górę, rozłożonymi ramionami, jakby się szykował do zaatakowania kajmana; dziewczyna zwrócona plecami do publiczności, z łopatkami, na których oczka sieci pozostawiły różowawy wzór, z *khanga* opiętą na drobnych pośludkach i ledwie zaokrąglonych biodrach.

– I co teraz? – rzuciłem w przestrzeń.

A przestrzeń odpowiedziała mi, rysując elipsę słońca za chmurą. Ach, cóż to była za chwila! Święte ibisy uniosły się do lotu i ich marmurowe ciała i zakrzywione dzioby ukazały się nad czarownikiem i panną Flesh – dwiema pionowymi równoległymi liniami w tym żywym kręgu – i, jakby tego było mało, stado kormoranów o czarnych dziobach utworzyło drugi krąg, mniejszy, wewnątrz kręgu ibisów.

Obserwowałem ten cud, na próżno wertując swoje zasoby umysłowe dotyczące przyrody, chcąc znaleźć jakieś wytłumaczenie, kiedy nagle czarownik pochylił się, po czym wyprostował, rozwarł rękę nad blond lokami i spryskał je wodą. Idealnie dokładna niczym niebiański zegar z kukułką chmura, która zakrywała słońce, otworzyła powiekę z doskonałej bawełny i nóż światła spadł z zenitu, wbijając się

z zaskakującą precyzją w nic nieznaczącą figurkę dziewczyny, wśród chóralnego śpiewu ptaków i tupania Ngongo, którzy rzucili się deptać piach.

– Nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę widział pan to *wszystko*?

– A nawet więcej, proszę zaczekać. Bo wtedy właśnie stada kormoranów i ibisów rozleciały się w przeciwne strony, podczas gdy pani, złote wahadło stojące nieruchomo, w które spływało światło słońca, odwróciła się i stanęła twarzą do nas, sprawiając, że wszyscy Ngongo w milczeniu uklękli. Nawiasem mówiąc, ja także przyklęknałem, kiedy panią ujrzałem, ponieważ, niczego nie ujmując temu, na co teraz patrzę, w tamto południe była pani boska.

– Proszę nie przesadzać. – Uśmiechnęła się.

– Nie przesadzam: tak piękna jak Sybilla Kumańska, albo jak najprawdziwsza nimfa Diktyнна. Była to pani, nadal nieśmiałe dziecko, a zarazem nie pani, ktoś dojrzały, ktoś wyostrzony słonecznym flamastrem. Wówczas to, uniesiona, rozpalona słońcem, z nogami rozstawionymi pod *khanga*, w wodzie po kolana, odbijająca się dokładnie w jeziorze, krzyknęła pani do nas po angielsku: „Czego ode mnie chcecie? Dostyc! Nie jestem tym, kim myślicie! Nie mogę wam pomóc! To zbyt wielka odpowiedzialność! Bo ja jestem *nikim*! Nikim!”. Powiedziała to pani i wyszła z wody, a potem przeszła pani równym krokiem wśród klęczących ludzi, pozostawiając za sobą czarownika, teraz już milczącego. Chwilę tę wykorzystwały cztery olbrzymie marabuty z dziobami różowymi jak niemowlęca pupka, aby zlecieć spiralnym lotem i opaść pani do stóp, eskortując panią na piachu i patrząc na pozostałych ślepiami jak cekiny. Trzepot ich skrzydeł rozczochrał panią, ale pani nie zrobiła najmniejszego gestu, by odgarnąć kosmyki z czoła.

– Nie pamiętam tego! – stwierdziła. – Nic nie pamiętam.

– Bo to nie pani się tam znajdowała, ale to, w co Ngongo usiłują panią wcielić. Nie tyle coś mistycznego, ile raczej magicznego. Magia tak dawna jak jezioro Turkana, uświęcona przez misjonarzy i ludową naiwność. Prawdopodobnie podali pani jakiś napój po wyjęciu pani z sieci i wprowadzili panią w trans. To coś dość powszechnego wśród tych znawców ziół i mikstur.

– To prawda, że czuję się dużo lepiej – przyznała.

Rozmawialiśmy, siedząc na ziemi, przy palącym się ogarku. Ja miałem na sobie swój strój podróżnika barwy khaki i pomarańczową koloratkę, Frances Flesh zaś *khanga* zawiązaną jak burżuazyjny ręcznik kąpielowy na biuście, do tego włosy brudne i skołtunione, ale nadal połyskujące złotem w świetle świecy, i stygmaty z błota na rękach i na podbiciu. Kołowrotek dżungli prządl, terkocąc monotonnie rwącą się nić nocy. W chacie czuć było suchą słomę i ekskrementy.

– Tego popołudnia coś mi się śniło – powiedziała.

– Co takiego?

– Znajdowałam się dokładnie tutaj, w wiosce, ale nikogo nie było. Niebo miało

kolor fiołkowy. Nagle usłyszałam czyjś płacz. Płacz dochodził z chaty i był strasznie smutny. Chciałam wejść i pomóc komuś, kto tak strasznie cierpi, ale czułam, że się tego boję.

– Czemu?

– Nie wiem. Nie czułam się ani dobrze, ani źle. Tak jakby mnie to nie dotyczyło i powinnam to zlekceważyć. Ale gdybym weszła do chaty, to już by mnie to dotyczyło. I wiedziałam, że gdyby zaczęło mnie dotyczyć, spodobałoby mi się i zniosłabym ten ciężar z zadowoleniem, ale wciąż czułam strach.

– Ciężar?

– Co?

– Powiedziała pani, że „zniosłaby ten ciężar z zadowoleniem”.

– To ma związek z drugą częścią mojego snu. Bo oto nagle byłam rybą i pływałam w wodzie wraz z innymi. I nagle podpłynęła jedna, olbrzymia, i połknęła mnie, ale nie cierpiałam, bo nadal żyłam wewnątrz jej ciała i byłam szczęśliwa; i wiedziałam dlaczego: bo w wodzie ciała ważą mniej. „W ten sposób zdołam unieść ciężar”, powtarzałam sobie.

Jakiś owad krążył wokół płomienia świecy. Dziewczyna jak zahipnotyzowana śledziła jego samobójczy lot.

– Co to pana zdaniem oznacza? – zapytała.

– Panno Flesh, ten świat jest nieopisaną tajemnicą. Nic o nim nie wiemy, nic nie możemy zobaczyć. Nasze myśli są myślami ludzi, dla których zarezerwowane są nie odpowiedzi, a wyłącznie pytania. Jesteśmy kimś nieznanym, kto budzi się dnia pewnego wśród osób nieznanymi i, po chwili zmieszania i sprawdzania, zamykamy z powrotem oczy i zapadamy znowu w przerwany sen. Pani, ładna i młoda dziewczyna z Minnesoty, o tym nie wiedziała. To właśnie się dzieje.

W zadumie rozcierała nagie ramiona.

– Co się ze mną stanie?

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Jest pani uwięziona w sieci znacznie mocniejszej niż ta, w którą pani wpadła: w micie, w wierzeniach, w wierze. Proszę spojrzeć na tego owada: jest wolny, może odlecieć, ale coś mu każe krążyć wokół płomienia raz i drugi, aż wreszcie się spali. Wczoraj pani krzyczała, wzywając rodziców. Dziś byłaby pani zdolna być matką. To jest droga, którą należy iść.

– Nie chcę być takim motylem.

– Poczwarzka, panno Flesh, nie ma wyboru, motyl – tak.

Przez chwilę na mnie patrzyła, a potem znów wpatrywała się zafascynowana w powolne spalanie się owada. Szarość jej oczu znikła za powiekami, niczym opróżniana szklanka wody.

– Umieram z niewyspania. Chyba się trochę prześpię.

– Proszę spać, ja panią obudzę.

Ale coś obudziło mnie wcześniej, już o świcie. Wiatr bezlitośnie unosił szczątki wioski na pole, słomę, gałązki, grudki czerwonej ziemi, nawet gliniane garnki. Wyszedłem z chaty i ruszyłem w tym samym kierunku. I nagle znalazłem się na polanie, na której środku tkwił pal, a na nim głowa czarownika.

Z punktu widzenia sztuki i jej misterium większe przerażenie wzbudziły we mnie włosy, do których umocowano grzechocące kości kręgowe noworodków, niż świeża rana na szyi, z której zwisały niepotrzebne rurki służące oddychaniu i trawieniu. Oczy były zamknięte, ale wyraz twarzy tak łagodny, jakby w oczekiwaniu na pocałunek.

Nic nie powiedziałem swojej małej przyjaciółce o tym znalezisku, którego znaczenie nadal mi się wymyka. Ona także zdawała się stracić głowę, chociaż w sposób mniej dosłowny. Spędziła dzień wśród Ngongo, przemawiając do dzieci po angielsku, a one, choć jej nie rozumiały, siedziały zasłuchane; rysowała im na piasku litery i mapy. Po jakimś czasie przyłączyły się matki, a w południe słuchali jej także mężczyźni. Jeden z nich nawet zaczął ją rzeźbić w kawałku hebanu, tworząc figurę, która stanie się prototypem kolejnych. Ja, milczący ewangelista, uświadamiałem sobie zdumiewającą prawdę: stwarzał ją. Panna Flesh, ufna w swój narastający sukces, pozwalała sobie przemawiać do nich w sposób coraz bardziej osobisty, to już nie były liczby, słowa, nazwy krajów, ale opowieść o smutnym życiu z surowym ojcem, o pragnieniach, by się uwolnić, o marzeniach. Żaden Ngongo nie był w stanie jej zrozumieć, ale wszyscy *wierzyli* w nią, ponieważ to jest właśnie podstawa wiary. Rytualny mechanizm postępował nieubłagane: stwarzali ją na swój obraz i podobieństwo, bliską, ale daleką. U schyłku dnia wiara, jaką w niej pokładaliśmy, była silniejsza niż ona sama. Co było potrzebne, aby koło nadal się obracało? Odgadłem natychmiast: obecność musi się wycofać, aby wiara przetrwała.

Postanowiłem ją ostrzec następnej nocy, kiedy grupka dwunastu zamaskowanych mężczyzn wyniosła ją z wioski, aby podzielić jedzenie nad Turkana, w kręgu dwunastu pochodni. Poszedłem za nimi, a gdy się zbliżałem, rozróżniłem maski. Dopracowane w każdym szczególe, jak całe rzemiosło Ngongo, wyobrażały jakieś zwierzęta. Antropolodzy wypełnili nimi całe książki: hiena, szpak, kuropatwa, gepard, bawół, żuraw, pawian, słoń, zebra, gazela, różowy flaming, impala. Siedzieli nieruchomo w kręgu, ze skrzyżowanymi nogami, podczas gdy panna Flesh, jedyna uczująca z odsłoniętą twarzą, w czerwonej *khanga*, siedziała pomiędzy nimi i gadała jak najęta.

– Witamy, panie Biskupie. Ma pan ochotę?

– Dziękuję, nie, panno Flesh. Muszę pani coś wyznać prywatnie.

– Może pan mówić tu i teraz. – Uśmiechnęła się. – Jestem sama. Od kiedy usiedliśmy, nikt do mnie nie mówi i jestem pewna, że nikt mnie też nie słucha, wpasowany we własną maskę. Opuścili mnie.

– Naturalnie. – Wbiła we mnie wzrok, więc dodałem: – To część rytuału.

Odsunęła talerz z mięsem stopą i wstała, niepewna i nieśmiała.

– Jakiego rytuału? Tym razem przyszedłam tutaj, ponieważ sama chciałam.

– Jak najbardziej. Pamiętaj pani, o czym rozmawialiśmy dwa dni temu w chacie? Zaakceptowała pani swój los, a to także rytuał. Nawet przyozdobiła sobie pani włosy gałązkami, tworząc coś w rodzaju korony. Czarownikowi, który przyjął panią tutaj, nad Turkana, i spryskał panią wodą, ścięto następnego dnia głowę. To on przepowiedział pani przybycie, żywiąc się insektami, a rytuał wymagał ścięcia mu głowy po skończonym tańcu. Mówi to pani coś? Proszę rozejrzeć się wokół: dwanaście istot wpatrzonych w panią przy wieczerzy. Jest pani ubabrana w symbole, droga koleżanko. Brakuje tylko jednego szczegółu, aby przeistoczyła się pani w świętą enigmę, której pragną.

– Czyli czego? – zapytała z obawą.

– Śmierci.

W jednej chwili wyglądało na to, że pochlipująca, zwisająca w sieci dziewczyna wróci. Ale potem ujrzałem, że się podnosi, i wydawało się, że zyskuje właściwe proporcje. Płomienie pochodni odbijały się w silniejszym ciele.

– A więc według pana wszystko to stanowi jakiś cholerny rytuał?

Przytaknąłem.

– Jest już pani boginią i teraz pozostaje pani jedynie wstąpić na cholerne niebiosy.

Odeszliśmy od milczących masek, poza krąg pochodni. Rozmawialiśmy w całkowitej nocy, a jezioro Turkana było tak czarne i rozedrgane, że zdawało się jedynie przedziwnym zjawiskiem w przestrzeni zdolnym przekształcić światło w dźwięki.

– Wszystko mi jedno – odezwała się nagle. – To jak ten sen, który panu opowiedziałam: usłyszałam płacz, chcę wejść do chaty. Pragnę coś zmienić. Pragnę pomóc. Są tacy biedni i tak dotknięci głodem i chorobami... Frances Flesh umarła w sieci. Albo o wiele wcześniej, w domu, u swoich głupich rodziców, wśród głupich przyjaciół. Chcę być kimś innym.

– Rzeczywiście, zupełnie przestała pani pasować do swojego nazwiska. – Uśmiechnąłem się, obserwując jej kościste i silne ciało, anorektyczne linie bioder.

– Więc co dokładnie przyszedł mi pan powiedzieć?

– Przyszedłem chyba powiedzieć pani, że może pani uciec natychmiast, uniknąć tego ostatniego aktu. Znam pewną drogę stąd do Alia Bay. W końcu, skoro pani jest boginią, to przecież może pani zbawić samą siebie.

Uśmiechnęła się w ciemnościach.

– Proszę się ode mnie oddalić, panie Biskupie. Proszę mnie więcej nie kusić.

Nie odezwała się już. Nawet wówczas, gdy w środku nocy zobaczyliśmy, że zbliża się ku nam oddział Ngongo z pochodniami i kijami. Ani wówczas, gdy zawiązali jej powróż na szyi i powlekli wśród szturchańców z powrotem do wioski, pokazując jej

po drodze rogate fetysze, wrzeszczeli na nią i pluli. Ani kiedy zdarli jej *khanga* uderzeniami kijów i sprawili, że krzyki jej i całej wioski złąły się w jedno, a jej krew i pot błyszczały identycznie w świetle żagwi. Czy kiedy zaciągnęli ją, już konającą, na pagórek i pozostawili tam samą, jedynie czterech wojowników w maskach przedstawiających lwie głowy wyłoniło się z gęstwiny i przyskakiwało do niej z niewiarygodną zręcznością.

Nie mieli w ustach drogich kamieni, nieśli maczety połyskujące w świetle księżyca.

Kiedy męka dobiegła końca, Ngongo zabrali umęczone ciało i umieścili je na noszach w uroczystej procesji zmierzającej w kierunku Turkany; na czele szedł wódz. Tam, o świcie, pochowano Frances Flesh w prostokątnym dole w suchym błocie, które zdawało się jej oczekiwać.

Przez trzy kolejne noce odbywały się uroczystości i pożarto mięso trzech błotnych krokodyli. Odmawiałem uprzejmie udziału w tych świętach i wycofywałem się szybko do swojej chaty.

Wreszcie czwartego dnia zaczęło padać.

Ten tak długo oczekiwany deszcz, miękki cios w wyschłą ziemię. Wielkie owalne lustra w błocie, koncentryczne kręgi kropli, błyskawice straszące kolorowe ptaki i stada zebr równikowych, nocą zmieniające się w białe serpentyny. Ngongo wybiegli z chat i zaczęli krzyczeć jednym głosem, niczym rozdrażniony, pewny swojej siły goryl.

„Kuriozalny rytuał deszczu – pomyślałem. – Archaiczny, lecz skuteczny”.

Tego samego dnia postanowiłem odejść. Pożegnałem się bez większych ceremonii z wodzem i ruszyłem z plecakiem na ramionach. Przeczucie skierowało mnie w okolice Turkany. Deszcz wyglądał tam jak delikatny filigran, powietrze pachniało czymś nowym i wilgotnym, a owady przecinały je niczym srebrne igły.

Frances Flesh siedziała obok własnego grobu, rozbitego od wewnątrz, wpatrzona w jadeitową toń jeziora. Jej poćwiartowane ciało stanowiło masę z błota i czegoś jeszcze, a niegdyś jasne włosy były teraz prawie czarne od pyłu purchawek i korzeni.

– Dzień dobry, Frances – odezwałem się.

Odwróciła się ku mnie. Jedno z jej oczu nadal było szare, w drugim widać było robaki.

– Cóż za głupota, panie Biskupie – powiedziała chrapliwie, a przez ranę na szyi dostrzegłem zwisające struny głosowe. „Głupota” to właściwe słowo. Uśmiechnąłem się.

– To był rytuał deszczu – stwierdziłem. – Tylko to, w powiązaniu z wiarą misjonarzy i pradawnych kultów zombie... Przynajmniej pani zmartwychwstała. Co będzie pani teraz robić?

– Wstąpię na cholerne niebiosy, zapewne – odparła, także się uśmiechając.

Skarabeusz usadowił się w jej czaszce, potem wpełzł przez głęboką ranę i wypełził niczym piana ropy przez pusty oczodół. W tym czasie druga strona jej twarzy nie przestawała się uśmiechać, a jedyne oko błyszczeć coraz intensywniej.

– Ale przynajmniej pomogłam im w coś uwierzyć, prawda? Teraz stanowią część ich dusz, i to sprawia, że czuję się jak nigdy. Zmieniona, odnowiona. Weszłam do chaty i będę tam mieszkała po wsze czasy.

– Słyszac to, Frances, można by powiedzieć, że jest pani szczęśliwa.

– Moje szczęście, panie Biskupie, nie zna granic. – Jej zmasakrowana twarz nie zdołała zburzyć wyrazu ekstazy. Uniosła swoje zwłoki, które zdawały się złożone z wielu, tę mozaikę dżdżownic, krwi, popiołu i powietrza, i przeniosła je dalej, utykając.

Długo nie znikala z pejzażu. Tym bardziej że przestało padać, kiedy jej kołysząca się postać stopiła się z głębokim jak u pawia błękitem czystego horyzontu.



CZAS ZNIKŁ.

Niczym na przedstawieniu, kiedy panuje wyłącznie ciemność, a na scenie palą się światła, zegar przestał odgrywać rolę. Jaszczurki na blacie stołu nadal gonią jedna drugą.

– Podejdz i powiedz, co rozumiałaś z moich opowieści – odzywa się Biskup.

Soledad obchodzi stół, omijając panią Lefó i pana Figury. Przychodzi jej na myśl, że ten stół jest okrągły tylko po to, by dało się go obejść dookoła. Pod bosymi stopami czuje nieregularne kamienie posadzki. Dziwne, że nie zawahała się przed wykonaniem polecenia. „Podejdz”, powiedział Biskup, a ona podchodzi posłusznie jak cielę. Zatrzymuje się w odległości pół metra, ale stawia jeszcze kilka kroków, kiedy Biskup przywołuje ją gestem. Prawym łokciem niemal muska ubranie pana Figury.

– Nie rozumiałam nic – oznajmia z prostotą.

Przez chwilę nie ma żadnej reakcji, może dlatego że odezwała się tonem osoby pewnej tego, co mówi, a nie ignorantki. Ale „nie ma żadnej reakcji” nie określa dobrze tego, co się dzieje. Oblicze ludzkie wyraża zbyt wiele nastrojów. Zwykle uniesienie brwi przez Biskupa niepokoi.

– Możesz powtórzyć?

– Nie rozumiałam pańskich opowieści, nie wiem, co one oznaczają. Podoba mi się Frances Flesh. Wierzę w nią. Nie wierzę w nic innego.

Biskup odwraca od niej spojrzenie i wbija wzrok w puchar na stole.

– Są skomplikowane – dodaje Soledad.

I natychmiast uświadamia sobie, że nie powinna była tego mówić. To wymówka. A ona nie musi ratować się wymówką! W jej mniemaniu szukanie wyjaśnień dla opowiadań już samo w sobie jest zagadkowe. Łamała sobie głowę nad opowieściami, a teraz sama sobie wydaje się śmieszna. „Czasami to my sami stwarzamy problemy, które potem staramy się rozwiązać”, przypomina jej się. Nauczyciel w jej szkole opowiadał kiedyś coś takiego:

„Wyobraź sobie, że przemierzasz labirynt, który sama tworzysz, wędrując. Jeżeli nie postąpisz naprzód, nigdy nie znajdziesz wyjścia, bo nie będzie ono istniało. Jeżeli się cofniesz, wszystko to, co stworzyłaś, zmieni się w przeszkodę. A jeżeli wreszcie

znajdziesz wyjście, jaka to będzie dla ciebie satysfakcja, skoro wiesz, że sama stanowiłaś jedyną drogę?”.

Istnieją dwa typy rozwiązań. Pierwsze to: „Nie oczekuj jakiegokolwiek satysfakcji, wędruj tylko i szukaj wyjścia” – ulubione przez większość klasy. I drugie, preferowane przez nauczyciela, praktyczniejsze: „Nigdy nie wkraczaj w labirynt, który nie istnieje”. Soledad także woli to drugie, ale jest jeszcze trzecie rozwiązanie, o którym nikt nie wspomina, choć wydaje się oczywiste: „Jeżeli to ja tworzę drogę, to ja decyduję, *kiedy i dokąd* dojdę, wchodząc”. Nagle wydaje jej się, że linia prosta stanowi najlepsze ze wszystkich rozwiązań.

– A zatem, mała... – odzywa się Biskup po chwili milczenia, ale ona przerywa.

– Według mnie chodzi o to, że nie sposób je wyjaśnić.

– Słucham?

– Że nic nie znaczą. Albo że znaczą coś takiego: nie możesz wiedzieć, co właściwie znaczą. Bo... bo są...

„*Labirynty, które sama tworzysz*”.

– ...zagadkowe – wypala.

– Zagadkowe – powtarza w zamyśleniu Biskup.

– Przyjęcie pana Astana... Staruszka wspominająca własny ślub... Czerwone światło w głowie tej dziewczyny, która uciekła z więzienia... Potwór, którego widzi panna Flesh u wodospadu... Jej zmartwychwstanie... – pospiesznie wymienia wszystko, co pamięta, aby Biskup nie pomyślał sobie, że to kolejna wymówka. – Nic nie jest dobre albo złe. Wszystko jest zagadką.

– Zagadka potrzebuje rozwiązania, dziecko.

– Ale ja go nie znam.

Biskup czyni kolejny gest. Może on oznaczać: „Teraz żarty sobie ze mnie stroisz” albo: „Co za rozsądna dziewczynka!”. Kto wie, co ten gest oznacza? To typowe dla dorosłych, że ich gesty wobec dzieci są albo śmieszne, albo przesadne. Spojrzenia, słowa, miny: to wszystko nie jest dla dzieci! To kod rozpowszechniony wśród dorosłych! A jednak poza tymi wszystkimi subtelnościami, co tak naprawdę wiedzą dorośli? Nikt dotychczas nie potrafił jej wyjaśnić śmierci mamy. Nikt jej nie upewnił, że tata ją kocha. Czasami myśli, że tata nienawidzi jej i jej siostry, dlatego że nie są mamą i dlatego że żyją. Prawda czy fałsz?

A ci starsi dorośli? Czyżby byli mądrzejsi? Przecież dziadkowie ciągle tylko powtarzają: „Nikt nie rozumie życia”. Soledad postanawia zaryzykować.

– Pan także.

– Ja także?

– Także. Pan też nie wie, co oznaczają pana opowieści.

– Chcesz powiedzieć, że brak im wytłumaczenia.

– Wszystko ma swoje wytłumaczenie, dziecko – sprzeciwia się pan Figury.

– A jeżeli nie, możesz je wymyślić – wtrąca pani Lefó.

– Nie o to mi chodzi – irytuje się Soledad. Wszyscy milkną. – Chcę powiedzieć, że pan także nie zna wytłumaczenia.

– Ależ oczywiście, że znam. My, dorośli, widzimy wytłumaczenie. Zawsze widzimy. – Biskup wskazuje na podłogę, jak gdyby rzeczywiście widział tam wytłumaczenie wszystkich opowieści. – W opowieściach. Ale to coś bardzo, ale to bardzo złego, czego wy, dzieci, nie możecie... nie powinniście znać. Zagadki, tak. Skomplikowane. Niektóre spędzają nam sen z powiek. Musisz dorosnąć, żeby...

I wyciąga prawą rękę, a jego palce dotykają koniuszków czarnych włosów Soledad, gdy kończy: „...je pojąć”. Soledad cofa się. Biskup jest przewrotny, stwierdza. To słowo najbardziej jej pasuje. Pan Figury i pani Lefó są zwyczajnie i po prostu antypatyczni, natomiast Biskup kryguje się przed tobą, przyjmuje najdziwniejsze pozy. Popatrz na to jego ubranie czarne czy granatowe i na tę jego koloratkę w kolorze pomarańczowego cukierka. Jego język jest podwójny, potrójny, poczwórny. Tak naprawdę stara się dostosować do ciebie, żeby cię mile połechtać. Jest najgorszy z nich wszystkich, najstarszy, przewrotny. Z wiekiem wszystko się wykrzywia. Jak ściganie się jaszczurek na stole. Dorośli nie są ani bardziej, ani mniej mądrzy, oni jedynie dogadują się lepiej, mają własne zwroty, własne wykręty.

„Och, co za przewrotność”.

– Być może – powtarza – ale pan także ich nie rozumie.

– Tak myślisz?

– Oczywiście.

– Świetnie. Skoro tak sądzisz...

Biskup ujmuje puchar i obraca go z uśmiechem, ale Soledad nie pozwoli się już oszukać takimi gestami.

– Nie wie pan – twierdzi z uporem. – Zależy panu tylko, żeby wszyscy inni sądzili, że pan wie.

– Doskonale.

– A teraz udaje pan, że nic pana nie obchodzi to, co mówię. A w rzeczywistości obchodzi i to bardzo. Bo nie znosi pan, gdy inni zdają sobie sprawę, że pan wie tyle samo co oni czy co ja, czyli nic. Pana opowieści będą bardzo zagadkowe, ale dla pana ta...!

Ruch jest bardzo szybki. W jednej chwili coś ją oślepia. Pięką ją spojówki. Kaszle, łapie oddech, znowu kaszle. Nawet coś przełyka. Nikt nic nie mówi, nikt jej nie obronił. Kiedy otwiera oczy, widzi kawałki potłuczonego szkła. Nie wie, co ją bardziej dławi: bzdura, w jaką się zmieniła, czy płyn, w którym ją skąpano. Ma już to poczucie, że zależy jej na własnym ubraniu i na własnym wyglądzie.

Bluzka jest gigantyczną purpurową plamą, która lepi się do brzucha. Spódnica... Och, no dobrze, paskudztwem. Nadal skapuje z niej wino na posadzkę, Soledad

wdeptuje je w kałużę bosymi stopami, zauważa, że jest chłodne i gęste. Przesuwa dłońią po twarzy mokrej od wina, śliny, łez, pewnie teraz tak okropnie brzydkiej... Słyszy głos Biskupa zza kurtyny utworzonej przez włosy i łyzy.

– Przykro mi, wyleciał mi z rąk puchar... Bardzo mi przykro. Sądzę, że powinnaś... – Soledad ledwie go słucha. Skupia się na tym, by przestać płakać i kasłać. – Niestety, powinnaś zdjąć tę... czy raczej te... – Koniec końców mało ją obchodzi, co kto mówi. Biskupowi sprawia przyjemność upokarzanie dziewczynek. Spodziewała się tego brudnego polecenia od kogoś takiego jak on.

Bluzka i spódnica. Dzień wcześniej umarłaby na samą myśl, że mogłaby się pokazać w samej tylko bieliźnie jakimukolwiek mężczyźnie. Ale zmieniła się. Narodziła ponownie. Jest inna. Czy to samo nie przydarzyło się Frances Flesh?

– Szybciej, mała, pospiesz się. Albo lepiej nie. Zrób to spokojnie.

Soledad nie zwraca na niego uwagi. Pan Przewrotny nie może jej wyprowadzić z równowagi. Ciągnie za rękawy, ponieważ bluzka wydaje się tak oporna, jak ona sama, i pojmuje zbyt późno, że nie odpięła jednego guzika, który teraz urywa się i spada na posadzkę. Ogląda własne nogi, a tymczasem spódnica, sztywna od wilgoci, dołącza do guzika i bluzki w kałuży u jej stóp. Przez chwilę Soledad wydaje się, że nie są to jej własne nogi: zapamiętała je inaczej, nie tak długie i grubsze. Czy ma krew na udzie? Nie, to wino. Unosząc jedną i drugą stopę, uwalnia się od bawełnianego poplamionego pancerza, który niegdyś był śliczną szarą plisowaną spódniczką. Odpycha wszystko stopą i wydaje jej się, że ubranie oddala się od niej w smutnym milczeniu, jak wierny pies, którego się wyrzuca z pokoju.

Uspokojona pociąga nosem. Powściąga ochotę, by splunąć i pozbyć się smaku wina z ust. Ociera dłońmi twarz. Oni zdają się czekać, aż skończy. A ona kończy szybko. Uspokaja się, jej zaczerwienione oczy chłodno wpatrują się w Biskupa, jak gdyby pytały: „To już wszystko?”. Nie chce spoglądać w dół i patrzeć na swój bezbronny stanik, wilgotny brzuch, skryty pod tkaniną wzgórek łonowy. Czuje się bardziej naga niż kiedykolwiek indziej. Ale tak naprawdę mało ją to obchodzi. Ze spokojem obserwuje tego z koloratką. Co ją obchodzi ten plamiący ją płyn! Żaden płyn pana Biskupa już jej nie wystraszy.

– A teraz, pani... Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Dama w bieli ma nazwisko, które chyba zaczyna się na W. Może „Win”. Soledad woli nazywać ją po prostu „Queen”, przez Q, tak, jak to brzmi. Dama ma tak niezwykłą twarz... Jakie to dziwne, zastanawia się przez chwilę Soledad, że dotychczas nie odzewała się ani słowem. A może nie skorzystała ze sposobności, by wygłosić swój komentarz? Ma twarz chudą i bladą, a oczy tak jasne, że mogłyby być ze skóry. Włosy krótkie, wyglądające na kruche i łamliwe, barwy szronu. Cała sprawia wrażenie, że najłżejszy podmuch wiatru ją porwie.

Ale kiedy zaczyna mówić...

Soledad natychmiast pojmuję, że przyczyną dotychczasowego milczenia była chęć, by zachować ten głos.

Klejnot demonstruje się w ściśle określonym momencie.

Pani Queen to tchnienie. Bez wieku, subtelna i mocna niczym zapach kwiatu na kartach książki: taki jest tembr jej głosu.

– Dziękuję, panie Biskupie. Moja pierwsza opowieść nosi tytuł: *Cząstki*.

I rozpoczyna:

To najdziwniejszy wykład, jakiego w życiu słuchałam...

Cóż by mogła opowiadać takim głosem! Soledad szybko zapomina o swoim upokorzeniu i swoim „prawie-stanie”: *prawie – bez – ubrania, prawie – upaprana, prawie – zapłakana...* Nawet odór wina przestaje jej zawadzać. Dama w bieli, pani Queen, spowija ją relikwiarzem swoich słów, tak słodkim, tak łagodnym, że wcale nie chce wiedzieć na pewno, czy te oczy są ze szkła, czy to prawda, że pani Queen widzi jedynie siebie, czy to chodzi o lalkę, którą druga pani Queen manewruje z oddali.

Pragnie jedynie, by nie przestawała mówić. Słuchać jej opowieści.

Kolejna szkatułka, mniejsza, wewnątrz tej błękitnej. Ze szkła tak przezroczystego, że chciałoby się pomyśleć, iż nie istnieje. Musisz dmuchnąć, aby ją otworzyć. O, tak... Pokrywa kruszy się. Delikatny powiew – zima w pigułce – nieznacznie lodowaty, dobywa się z wewnątrz.

Zobacz, co tam jest, pod białą mgłą.



CZĄSTKI

To najdziwniejszy wykład, jakiego w życiu słuchałam...

Wygłosił go wiele lat temu Rodolfo Grenoble w miejscu, którego przyrzekłam nie ujawniać.

Była nas setka: członkowie i sponsorzy, w powietrzu wyczuwało się napięcie. Wiedzieliśmy, że ma obwieścić coś ważnego, i krążyły najprzeróżniejsze plotki. Ale nikt nie spodziewał się, że takie będą jego pierwsze słowa, choć w kontekście całości wykładu i późniejszych wypowiedzi te i tak okazały się najmniej zaskakujące:

– Muszę państwu zakomunikować, że mój ojciec nie żyje i Spółka Grenoble ulegnie rozwiązaniu, gdy tylko skończę mówić.

Zezwolił na krótką przerwę na szepty i zrozumiałe osłupienie. Sam pozostawał niewzruszony ze swoim delikatnym aktorskim wąsikiem, czarnymi włosami muśniętymi brylantyną, elegancką siwizną na skroniach, w garniturze w kolorze grafitowym. Były to czasy dawnych rzutników i zanim przeszedł do rzeczy, skinął ręką, na co zgasło światło. Część scenografii, na której widniał symbol Spółki (zamek w lesie), została przekształcona w ekran i młoda hostessa o długich rudych włosach, której kostiumu także nie mogę ujawniać, zajęła się rzutnikiem.

– Celem tego wykładu jest podanie do wiadomości przyczyn obu wydarzeń: zniknięcia mojego ojca oraz spółki przezeń założonej, którą wszyscy państwo tworzą. Niech państwo wyciągną własne wnioski. Moniko, bardzo proszę o pierwszy slajd.

Na jaskrawoniebieskim ekranie łacińskie litery wypisane złotą akwarelą tworzą słowa: GRENOBLE SOCIETY.

– Pozwólcie państwo na krótki wstęp. Wiecie już, że Spółka Grenoble została założona przez mojego ojca w celu znalezienia środków na działalność dobroczynną. Następny.

Koguci grzebień w kształcie czerwonych szczytów o różnej wysokości, niższe z prawej.

– Ten wykres przedstawia okres prosperity i nagłego schyłku naszej korporacji. Grozi nam bankructwo, proszę państwa, i jest to coś, co państwo podejrzewali. Bardzo proszę o ciszę, pozwólcie mi kontynuować! Nie sędzę, bym mówił coś nowego. Dodam, że fatalna sytuacja, w jakiej znajduje się Spółka Grenoble, jest wynikiem błędnego zarządzania mojego ojca. Wiem, że trudno w to uwierzyć. Czyż Gaston Grenoble nie był człowiekiem doskonałym, mądrym, odpowiedzialnym? Cóż, pora odpowiedzieć na to pytanie. Następny.

Odsłonięte czoło i, w tej kolejności: gęste brwi, zakrzywiony nos, krzywy uśmiech, oczy jak u strzelca wyborowego skryte w głębi oczodołów.

– Gaston Grenoble, mój ojciec. Teraz mogę powiedzieć: wszystkie przesadzone informacje były prawdziwe. Nie tylko był najbogatszym człowiekiem na świecie: był najbogatszą istotą na każdym świecie, najbogatszy ze wszystkich, jacy kiedykolwiek byli i będą. Jego początki dobrze znamy: odziedziczywszy skromny majątek, zdołał go wybitnie pomnożyć dzięki trafnym inwestycjom na giełdzie. Następny.

Rozkwit stłoczonych główek sałaty z obliczami Waszyngtona, Lincolna i Jacksona w kolorze zieleni dolarowej.

– Powszechnie wiadomo, że za pieniądze nie można kupić wszystkiego, ale takie stwierdzenie odnosi się do skali ludzkiej. W skali mojego ojca owo „wszystko” było tym, co to słowo oznaczało. Doszedł w końcu do takiego bogactwa, że zaczął się rujnować i popełniać błędy, co doprowadziłoby go do utraty kolosalnego majątku, gdyby nie fakt, że to było po prostu niemożliwe. Jego bogactwo napędzało się samo i szybko stało się tak olbrzymie, że jego znana wypowiedź, iż można przemierzyć Układ Słoneczny, krocząc po banknotach dwudziestodolarowych, już nie wystarczała. W rzeczywistości mógłby przemierzyć cały znany nam wszechświat po pomostach zbudowanych z własnych pieniędzy. Pewnego dnia zastanawiał się, czy są w ogóle jakieś granice. Następny.

Koralowo-zielone tło i żółte litery na czerwonym paśmie tworzące napis: „GRANICA”.

– Czy było cokolwiek, czego *nie* mógł zdobyć? Rozważając tę kwestię na wszystkie strony i we wszystkich aspektach we własnym biurze, poczuł się tak zmęczony, że zapragnął napić się herbaty z indyjskich ziół. Ledwie zdążył zadzwonić po służącą, kiedy drzwi się otworzyły i służąca we własnej osobie wkroczyła z parującą filiżanką, którą postawiła na stole. Była w niej, ni mniej, ni więcej, tylko herbata z indyjskich ziół. Po pierwszej chwili zaskoczenia mój ojciec doszedł do następującego wniosku: jego moc jest tak wielka, że nawet nie musi o nic prosić, wystarczy, że czegoś zapragnie. Następny, Moniko.

Rysunek aerografem: *pin-up girl* w uniformie służącej przekreślona na krzyż.

– Oczywiście, służąca była niepotrzebna. Jego fortuna skracała procedurę między pragnieniem a zaspokojeniem, aż oba stały się jednym i tym samym aktem. Ogniwa

pośrednie okazały się zbyt cenne. Pragnął czegoś i oto bezzwłocznie zjawiało się to w wyznaczonym miejscu. Udoskonalając technikę, otrzymał kolejno krawat w kolorach nigdy na ziemi niespotykanych, sportowy samochód wyimaginowanej marki, całkowicie z informatyzowany parowiec i reaktor z pozaziemską technologią; przedmioty te zostaną niebawem wystawione w muzeum jego imienia. Następny.

To samo koralowo-zielone tło i wielokrotnie powtórzone słowo: „GRANICA” w poprzek, przebijające czerwone pasmo.

– Otóż granic nie było. Kosmiczne pieniądze mojego ojca były wszechmocne. Ale to, co wydawałoby się ogromnym szczęściem, stało się początkiem potężnego nieszczęścia. Pomyślcie państwo, ilu rzeczy niepotrzebnych, szkaradnych czy potwornych możemy zapragnąć tylko jednego dnia. Ile pragnień, na szczęście niezaspokojonych, przewija się codziennie przez szpary w naszej woli. Te potworne zuchwałe zachcianki, te wszystkie „oby”, które pozostawiają nas tak spokojnych w wygodnej pewności, że nigdy się nie spełnią. Dziecko wewnątrz każdego z nas, przyzwyczajone do niedotrzymywania, prosi o potworności. Wyobraźcie sobie rozpacz mojego ojca, kiedy niektóre z jego aberracji się ziściły. Choć to się może wydawać paradoksalne, zrozumiał, że ludzka frustracja to nie kara boska, ale wielka nagroda. Zniszczył więc, oczywiście, te wszystkie zdobycze i nauczył się, że musi kontrolować swoje własne pragnienia. Następny, proszę.

Gaston Grenoble bardziej zmartwiony niż na poprzednim slajdzie, długimi palcami obejmujący czoło niczym koroną cierniową.

– Co nie było łatwe. Człowiek jest istotą życzeniową. Nie chcesz pragnąć lub chcesz pragnąć pod kontrolą to, de facto, dwa nowe pragnienia, o konsekwencjach nieprzewidywalnych i niebezpiecznych. Ale nawet „dobre” pobożne życzenia były sprawą niełatwą.

– „Czemu nie zapragniesz po prostu, żeby skończyły się wojny i choroby, tato?” – zapytałem go któregoś dnia.

– „Bo to wszystko jest wielce skomplikowane, Rodolfo – bełkotał jak pijak na skutek działania różnych leków, które pomagały mu nie pragnąć tego, czego nie chciał. – Zanim tego zapragnąłem, zażyczyłem sobie dowiedzieć się dokładnie, co by się stało, gdyby zakończyły się wojny czy zniknęły choroby. W jednej chwili pojawił się na moim biurku szczegółowy raport liczący dwadzieścia tysięcy stron, opisujący przyszłość ludzkości uwolnionej od takich plag. I zapewniam cię, że na dłuższą metę najmniej szkodliwa konsekwencja zjeżyłaby ci włosy na głowie. Wszechświat rządzi się swoimi prawami, mój synu: nie jest możliwe zmienić cokolwiek, choćby nie wiem jak szkodliwe się nam wydawało, nie eliminując innych korzystnych struktur”.

– „Ale mógłbyś sobie zażyczyć, by takie konsekwencje nie występowały!”

– „I wówczas musiałbym wiedzieć, jakie konsekwencje wynikłyby z anulowania tych konsekwencji. Jestem więźniem nieskończoności. Zmieniłem się w coś

podobnego do Boga, nie myśl, że to pycha przeze mnie przemawia. Jeżeli chcę uczynić coś dobrego dla ludzkości, muszę działać jak On: anonimowo, przez pośredników, którzy mają wolny wybór nawet w kwestii tego, czy mnie słuchać, czy nie. To, czego zapragnę, nie powinno zaistnieć tak, jak ja bym pragnął, musi myśleć samo za siebie i wiele razy wkraczać na złe drogi. Świat Boga jest wadliwy, doskonałość to ludzka wada” – dodał, po czym stworzył Spółkę Grenoble. Następny.

Rysunek przedstawiający zamek w lesie czy w krzakach, obraz przywodzący na pamięć inne, o wiele bardziej utajnione, poufne.

– I oto nadeszła chwila, żeby to państwu objawić: absolutna rozkosz, którą państwo jako członkowie Spółki otrzymują na spotkaniach, bierze się z pragnienia mojego ojca: państwo płacą za tę złudną rozkosz, a pieniądze przeznacza się na działania charytatywne. Ale Spółka Grenoble funkcjonuje źle i grozi jej bankructwo, ponieważ została utworzona przy zachowaniu prawa do pomyłki i kierowana jest przez umysły omylne. Rezultaty długofalowe byłyby pomyślne, ale wszystko runęło, zanim do tego doszło. Mój ojciec przewidział to, *pragnął* to przewidzieć, i znowu zamknął się u siebie w biurze pogrążony w rozpacz, podejmując wciąż mozolne poszukiwania czegoś, co dałoby się zmienić, tak aby przy tym nie wydarzyło się nic złego. Pytanie brzmiało: co mogę uczynić dla tego świata, czego konsekwencje byłyby *wyłącznie dobre*, podobnie jak skutki tych konsekwencji, na krótką, średnią i dłuższą metę, na wieki wieków? I zastanawiając się raz i drugi nad słowem, które nie dawało mu spokoju: „dobre”, uświadomił sobie coś najprostszego, zapewne najłatwiejszego i najgłębszego. Następny.

Atramentowa ameba na dziewiczo białej kartce.

– Oczywiście! Była jedna jedyna plama, która brudziła to, czego dotykała. Błąd, którego istnienie mogło być przypadkowe, zbędne, niepotrzebne, a którego skutki, gdyby go naprawić, nie byłyby *gorsze*, niż gdyby go pozostawić. Mam na myśli przyczynę całego zła. *Zło* samo w sobie. Zapytają państwo: czy wojny i choroby nie są złe? Proszę zauważyć, że nie są one złe same w sobie, w taki sam sposób, jak nie jest źle umierać. Wojna może być dobra lub zła, jak pocałunek: przypomnijcie sobie pocałunek Judasza. Nic nie jest złe, dopóki zło go nie zepsuje. Mój ojciec nie starał się zostać nowym Rousseau, prosił państwa, a jedynie odkrył, że ludzkość i wszechświat stanowią zdrową tkankę zainfekowaną przez inną, rakotwórczą, i podjął się usunięcia tej ostatniej. Następny.

Biały śnieg, alpejski szczyt, twierdza podobna do tej, która stanowi symbol Spółki.

– Ostatnie Życzenie. Niektórzy z państwa sądzili, że chodzi jedynie o jakąś bajkę, o legendę rozpowszechnianą przez brukowce, które nie wahają się przyznawać Xanadu każdemu obywatelowi Kane z tego świata. To było rzeczywiste, na grzbietach szwajcarskich Alp. Dziwne, zagadkowe. Nawet ci, którzy bardziej wierzyli w jego istnienie, sądzili, że było to miejsce rozkoszy. Jednakże, bez względu na to, z ilu

marzeń się składa dla nas, którzy tam mieszkamy, jego celem nie było zaspokojenie tych marzeń, ale odizolowanie zła. Wyobraźcie sobie państwo to zadanie! Odizolować prawdziwe zło i usunąć je. Ostatnie Życzenie było etyczną salą operacyjną mojego ojca.

– „Tato, dlaczego nie zapragnąć, żeby zło przestało istnieć, bez większych komplikacji, skoro wiesz, że skutki będą korzystne?” – pytałem opatulony w skafander, a moje zdumione oczy podziwiała nagle narodziny tych dziwnych kamieni, tego niewyobrażalnego metalu i wszystkiego, co w środku, w tej pojawiającej się ot, tak, nieprawdopodobnej Walhalli, w najbardziej absurdalnej z alpejskich cisz.

– „Ponieważ, koniec końców, jestem istotą ludzką, Rodolfo. Chcę zrozumieć, posługując się własnymi środkami, nie pragnieniami. Chcę przeanalizować zło, zanim je usunę”.

– „A to nie będzie niebezpieczne?”

– „Rezydencja, którą widzisz, została zaprojektowana, żeby nie unikać ryzyka, synu. Tylko ty i ja, wykonujący tę pracę bogów”. Następny.

Ogród tak niewiarygodnie piękny, że brak słów, aby go opisać, i nikt nie potrafi pohamować łez na jego widok.

– Opowiadać o laboratoriach, salach, o tysiącach ludzkich wygod, jakie nas otaczały, byłoby nudziarstwem. Nie mogą państwo powąchać fotografii ani jej dotknąć, ani posłuchać różnorodnych dźwięków, ale jedno zdjęcie naszego ogrodu, stworzonego z niewymagających starań kwiatów, z tych wszystkich gwiazdnic i przelotów pospolitych, babki zwyczajnej, firletek poszarpanych, wąkrotek azjatyckich, wiązówek błotnych, zawilców gajowych, psianek, jaskrów, niezapominajek, maków, goździków, pelargonii, nenufarów, orchidei, hiacyntów, stokrotek i pierwiosnków obdarzonych osobowością i intensywnym kolorem, obdarzonych zapachem miłym dla każdego nosa, tego ogrodu, który był kwintesencją wszystkich ogrodów, stopionych w jeden pierwotny ogród naszego dzieciństwa przysypany tęsknotą za parkiem z naszych wspomnień, wystarczy, żeby uświadomili sobie państwo, jakie pragnienia odczuwał mój ojciec, gdy tworzył ten zakątek.

(Soledad czuje, że coś uwiera ją w gardle, i niemalże widzi ten ogród).

– Chciałem to państwu pokazać, żebyście zrozumieli, że pomimo tragedii, do której potem doszło, ludzkie pragnienia mogą z czasem okazać się piękne. Następny.

Głowa wojownika czerwonej mrówki z trzydziestoma antenami albo olbrzymi kask motocyklisty z wodogłowie, aczkolwiek podbródek sugeruje, że to Gaston Grenoble.

– Ale mój ociec nie mógł cieszyć się tym wszystkim. Spędzał czas na wyższych piętrach z tym właśnie urządzeniem na głowie, bo pozwalało mu ono kontrolować nieświadome pragnienia, mimo że był w nim bezbronny i znudzony niczym

wykastrowany kot. Istota wszechmogąca i zbędna, prawdziwy Bóg. Z drugiej strony jego pragnienia nie były już tak kluczowe: stworzył Ostatnie Życzenie za pomocą sprzętu właściwego, by osiągnąć to, czego pragnął, gdy tylko go uruchomiliśmy. I oto w dzień D w godzinie G nastąpił wielki moment.

– „Zaczynaj” – polecił mój ojciec przez megafon z wyższego piętra.

Nacisnąłem guzik z grecką literą alfa, od którego rozpoczynał się cały proces. I obserwowałem bezpiecznie, przez jednokierunkową szybę, wewnątrz ciemnego pomieszczenia, gdzie wszystko brzęczało i drgało, klatkę, w której zło się materializowało i miało pozostać wyizolowane dla dalszych badań, a następnie ulec destrukcji. Nazwaliśmy to miejsce Rajem. Mojemu ojcu nigdy nie brakowało poczucia humoru; tak, istotnie, przybrałby postać Węża, Odwiecznego Wroga, w całej swojej nieskazitelności. I kiedy przyglądałem się, jak pomieszczenie wibruje, ciskając iskry, zastanawiałem się, co się stanie, jeśli pojawi się istota z rogami i kozimi kopytkami. Albo może nie będzie żadnych skutków i nic się nie pojawi? Takie mną targały wątpliwości, kiedy nagle wśród oparów, które zaczęły wypełniać wewnątrz, zauważyłem coś w rodzaju cienia. Alarmy w Raju zawyły, obwieszczając, że coś się porusza. Myśl, że będzie to rogaty stwór, już nie wydawała mi się tak śmieszna. Zamknąłem oczy, trzęsąc się ze strachu, ale – z powodu przedziwnej ludzkiej ciekawości – gdy tylko zacząłem podejrzewać, że wizja mnie zabije, jak żonę Lota, dokładnie w owej chwili, otworzyłem je i obserwowałem, co się dzieje, ten początek wszystkiego zła, niekończącą się perwersję wszechświata. Następny.

Część publiczności zakrywa oczy, ale slajd przedstawia fotografię nastoletniej dziewczynki w szkolnym mundurku.

(„Niemożliwe!”, myśli Soledad, zagryzając wargę. „Co to ma być?”)

Krzyki dotarły do nas przez mikrofony.

– „Co to ma być! Co to ma być!” – krzyczała jakaś dziewczynka po włosku. Jeżeli są na sali Włosi, proszę, by nie czuli się urażeni.

– „Przeanalizuj jej zło – polecił mój ojciec z wysokości ostatniego piętra. – Pamiętaj, że to może być przebranie”. Następny.

Robot Leonarda kreślący białymi pociągnięciami na ciemnym tle postać nastolatki w mundurku.

– Dysponowaliśmy jedyną w swoim rodzaju aparaturą skonstruowaną na życzenie mojego ojca, która rejestrowała obecność Zła i barwiła je na czarno. W pierwszej chwili nie mogłem wychwycić niczego naprawdę nikczemnego w tej młodziutkiej i ślicznej istocie. I wówczas skoncentrowałem się na tym, co było wyjątkowe. Ona wciąż krzyczała i przemieszczała się z jednej strony Raju na drugą. Żał mi jej było i postanowiłem z nią porozmawiać.

– „Dzień dobry – odezwałem się przez megafon po włosku. – Nie bój się, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nazywam się Rodolfo Grenoble, potem wyjaśnię,

dlaczego przenieśliśmy cię tutaj. A teraz proszę, czy zechciałabyś zdjąć bransoletkę z lewej ręki?” – musiałem powtórzyć prośbę kilka razy, zanim uspokoiła się na tyle, by mi odpowiedzieć.

– „Nie mogę... Nosiłam ją, od kiedy pamiętam, rosłam razem z nią!”

Pot wystąpił mi na czoło, wytarłem je starannie chusteczką złożoną na czworo. Powiększyłem obraz tej bransolety. Następny.

Trójwymiarowa obręcz na czarnym tle ukształtowana z białych linii, z wyjątkiem segmentu, który wydaje się nieobecny.

– Wyjaśniłem memu ojcu, że nie cała bransoleta zawiera zło. Jeden segment, najwyraźniej, był pusty w środku, a w jego wnętrzu... Przyznał mi rację i prostym życzeniem przeniósł bransoletę z nadgarstka dziewczyny na szklaną pokrywę ochronną w moim laboratorium. Posługiwałem się szczypczykami i pęsetą, jak w przypadku próbkówki zawierającej śmiertelny wirus, i odkryłem zagadkowy przedział, oznaczony przez nasze detektory. W nim miękki pył, niczym trucizna Lukrecji Borgii w pierścieniu. Wyciągnąłem odrobinę i przekazałem przez interkom informację.

– „Tato, nie wszędzie jest zło! Zaledwie kilka granulek ważących mniej niż mikrogram!”

– „Odsiej je i przebadaj oddzielnie”.

Tak uczyniłem. Chodziłem w tę i we w tę, nosząc próbki, tu przyciskając, tam odsiewając. Wyłączyłem megafony Raju, ażeby błagania dziewczynki nie rozpraszały mojej uwagi, i po upływie pół godziny uśmiechnąłem się zadowolony. Następny.

Czarne słońce na białym papierze, onyksowe oko azteckiego bożka.

– Tak jak tu państwo widzą! Wszystkie wyizolowane granulki tworzące cząsteczkę, tu w powiększeniu pięć na sześć. Pospieszyłem z tą informacją do ojca.

– „Nareszcie – usłyszałem, jak głęboko odetchnął z ulgą. – Nareszcie, Rodolfo, mamy je. Zło bez jakiegokolwiek śladu dobra. Początek całego zła stworzenia, któż by to przypuszczał. Wyślij mi je. Od tej chwili ja się tym zajmę”.

Najbardziej cieszyłem się na myśl, że mogę już odesłać dziewczynkę do domu. Ale po co to robić, zanim się jej nie uspokoi i nie wyjaśni, o co chodzi? Poza tym powinniśmy byli dowiedzieć się, w jaki sposób bransoletka znalazła się na jej ładnym nadgarstku. Przypuszczałem, że będę potrzebował czasu, by zdobyć jej zaufanie, ale nie liczyłem na życzenia ojca. Kiedy otworzyłem bramy Raju, dziewczynka wydawała się spokojna. Uśmiechała się, przyglądała sobie długie brązowe włosy. Młodziutka. Czternaście lat? Trzydzieści? Nie więcej.

(„Dwanaście”, myśli Soledad i wpatruje się w delikatną bransoletkę na swojej lewej ręce, jedyną rzecz, poza majtkami i biustonoszem, jaką ma teraz na sobie. Należała do jej mamy. Tata jej ją podarował po śmierci mamy, a ona przyrzekła sobie, że nigdy jej nie zdejmie).

– Nazywała się Santuzza, jak bohaterka *Rycerskości wieśniaczej*. Ująć ją za rękę, prosię państwa, to było jak poczuć całą miękkość świata, kobiece sekrety, perfumy, atlasowe wstążki. Wpadłem na pewien pomysł i wyprowadziłem ją z aseptycznego pomieszczenia do ogrodu. Tam powiew niosący zapach kwiatów poszerzył jej uśmiech. Nie dowierzała własnym oczom i oboje staliśmy wpatrzeni w rozpościerające się przed nami piękno: ona w piękno świata, ja – w nią. Jaka była naiwna i łagodna! Zapytała mnie, co robimy w tym cudownym miejscu, a kiedy starałem się jej to wyjaśnić, zorientowałem się, że nie rozumie.

– „Ale... przecież zło jest w każdym z nas, w środku – powiedziała. – Diabeł to jedynie symbol”.

– „Mój ojciec jest bardzo mądry i uważa inaczej – odparłem. – A powiedz, kto ci podarował tę bransoletę?” – Pochylała się z wdziękiem nad krzakiem dzikiej róży i rzuciła mi spojrzenie przez ramię.

– „Tata”.

Wyjaśniła mi, że tradycją rodzinną było, aby bransoletę nosiły najstarsze córki. Jeżeli w którymś pokoleniu nie było córek, bransoleta czekała na kolejne pokolenie. Ona sama odziedziczyła ją po ciotce Sandrze, kiedy miała sześć lat i jej nadgarstek był na tyle szczupły, by ją wsunąć, i na tyle szeroki, by ją utrzymać, kiedy dziewczynka dorastała. Nigdy jej nie zdejmowała i chociaż nikt w domu nie znał jej pochodzenia, wszyscy wiedzieli, że jest tak stara jak pradawny klan rodziny Arborazzich, wywodzący się z Sycylii.

– „Cóż to za piękny ogród, *mamma mia!*” – wykrzyknęła w pewnej chwili Santuzza, przerywając rozmowę, aby zanurzyć się w krwawnikowym kremie dekorującym tartę z makami. – Pachnie jak ogród wujka Giulia pod wieczór, kiedy rozkwita jaśmin!”

Jestem, panie i panowie, człowiekiem poważnym, może nawet zbyt poważnym. Któż czyniłby mi wyrzuty, że na chwilę zapomniałem o swoim odpowiedzialnym zadaniu i z owym aniołem u boku korzystałem z otaczającego nas raju? Mostki, pergole, łuki, sklepienia, posągi, nawet książki i kielichy z kwiatów u podstawy ogrodzenia, zdobiące ścieżki ku nieskończoności, labirynty pozbawione udręki. Wszystko tak przepiękne. Lecz Santuzza i jej naiwność rozpały to piękno tak, że wszystko błyszczało. To, co w moim mniemaniu było minutami, przedłużało się w godziny i w końcu siedliśmy do kolacji w idealnej temperaturze, którą mój ojciec wytworzył w owym alpejskim ustroniu, wśród obrusów, serwetek, kandelabrow i talerzyków. Wino i jej towarzystwo rozwiązały mi język po latach usztywnienia. Ona, bardziej stworzona do szczęścia niż ja, słuchała mnie ze spokojem.

– „Mój ojciec, Santuzzo, zdobywa wszystko, czego zapagnie” – oznajmiłem.

– „Widać, że pochodzisz z bogatej rodziny” – skomentowała, odsuwając miniaturowe nenufary z warzyw, które pływały w naszej smacznej zupie.

– „Mówię dosłownie. Wszystko, czego ojciec zapragnie, staje się faktem”.

– „Nie wyglądasz na uszczęśliwionego z tego powodu”.

Patrzyłem na nią przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

– „Zobacz. Powiedziałaś, że kochasz swoją rodzinę, Arborazzich, mimo surowego wychowania, jakie ci zafundowali, wysyłając najpierw do szkoły prowadzonej przez zakonnice, gdzie mogłaś się nauczyć sztywnych zasad religii... Ja także kocham mego ojca, Santuzzo. Jestem szczęśliwy, że mogę z nim tutaj mieszkać i poświęcić się dobrej sprawie. Ale wyznaję ci, że czasami się go boję. Jego moc mnie przytłacza, wydaje się o wiele większa niż on sam. Codziennie budzę się i zastanawiam, czego dziś sobie zażyczy i w jaki sposób jego pragnienie odbije się na mnie. Bo życzenia mego ojca nie są moimi, ale zawsze się spełniają”.

– „A czego ty pragniesz?” – zapytała z niewypowiedzianą bezpośredniością.

Oczywiście umilkłem. Wyobraźcie sobie, co miałbym odpowiedzieć. Wyobraźcie sobie, że mówię jej, patrząc jej prosto w oczy, że pragnąłbym mieć dwadzieścia lat mniej i żeby ona mnie pokochała. Że pragnę przedłużyć nasze spotkanie i uczynić je bardziej rzeczywistym, wśród całej tej nierzeczywistości, jaka nas otacza. Powiedziałbym jej, że chcę zmienić swoje życie. Nie urodzić się albo nie być synem tego człowieka. Ale nie powiedziałem jej nic z tych rzeczy, bo po części nie była to prawda. Kochałem czystość pragnień mego ojca, platoniczne uniwersum, gdzie wszystko co istniało było tym, co sobie wymarzył unikatowy umysł: ten baśniowy ogród, ten ekstrakt zła w proszku, to piękno, ta niewinność... Moje wnętrze natomiast nie było takie czyste. Ograniczyłem się więc do wzruszenia ramionami i patrzenia na Santuzzę tak, jak patrzyłem na wszystko: jak starzec, który wspomina lepsze czasy.

Z tego samego powodu jakże ciężko jest dowieść, moi drodzy, że Platon, mój ojciec i ja byliśmy w śmiertelnym błędzie. Następny.

Kosz z czarnymi jajkami, wystaje z niego kilka białych.

Usłyszałem wezwanie przez te olimpijskie megafony i zacząłem się tłumaczyć przed Santuzzą.

– „To co widzisz, Rodolfo – powiedział mój ojciec przez mikrofon w swoim laboratorium na najwyższym piętrze – to powierzchnia granulki zła, które wyizolowałeś. Jak możesz sam stwierdzić przy odpowiednim powiększeniu, nie wszystko jest szkodliwe”.

– „No to wyizoluj od nowa i przeanalizuj, tato – odpowiedziałem zirytowany. – Ja muszę wracać do Santuzzzy. Właśnie jedliśmy kolację i...”

– „Rodolfo – przerwał mi ojciec – uspokój się i pozwól mi mówić. Już to zrobiłem. Podałem procesowi materię powstałą w efekcie”. – Co mówiąc, pokazał mi to. Następny, proszę.

Mrowisko z białymi mrówkami, tu i ówdzie widać czarne.

– Trudno było w to uwierzyć, ale tak to właśnie wyglądało! Prawie wszystkie

molekuły cząsteczki zła były dobre! Stawało się sprawą pilną spenetrować świat atomowy i oczywiście mój ojciec już to uczynił. Następny.

Ciemne niebo pokryte białymi księżycami, w środku dwa księżycy czarne.

– „Wiem, o czym myślisz, synu – usłyszałem w słuchawkach głos ojca. – To coraz bardziej przypomina Sodomę i Gomorę, ale na odwrót. Zostajemy bez złych ludzi! To są protony i neutrony. Te w środku to jedyne, które...”

– „A dlaczego nie zniszczysz całej tej pieprzonej bransolety, tato? – wykrzyknąłem. – Masz już to, co chciałeś! Pył i wroga stworzenia. Rozwal ją całkowicie i zwiniemy ten pieprzony interes!”

– „Cóż to za język, Rodolfo – syknął z dezaprobatą. – Przedtem taki nie byłeś. Czasami pragnąłbym...”

– „Nie! Nie, TATO!!” – wrzasnąłem i zamknąłem mikrofon w ataku paniki. Serce mi waliło w straszliwej ciszy. Oczekiwałem absolutnie każdego rodzaju mutacji, zagryzając wargi: że wyrosną mi macki, że zmienię się w kobietę, że na powrót stanę się dzieckiem. Nic się jednak nie wydarzyło.

– „Wielkie nieba, Rodolfo – odezwał się ojciec, gdy podjąłem kontakt. – Już myślałem, że...”

– „Wiem, tato, zapomnij. – Otarłem pot z czoła złożoną na czworo chusteczką. Wiedziałem, że to nie jego wina, że wszystkiemu winne jest jego straszliwe bogactwo. – Lepiej zmieńmy temat”.

– „Zgoda. Jeśli chodzi o twoje sugestie, to zrozum, synu, nie mogę zniszczyć niczego dobrego, choćby najmniejszego. Mam obowiązek znaleźć pierwotne źródło, w przeciwnym razie cały ten wysiłek pójdzie na marne”.

– „Możesz je znaleźć, jeśli po prostu tego zapragniesz, tato”.

– „Gdybym zechciał posługiwać się swoimi pragnieniami, już bym to dawno zrobił, Rodolfo. Mnie interesuje przede wszystkim, żeby zrozumieć. Skonstruowałem odpowiednie narzędzia i jeżeli to będzie konieczne, podzielę i otworzę te cząstki i to samo uczynię z cząstkami, jakie znajdę pod nimi. Jeśli jestem Bogiem, muszę być tak samo skrupulatny jak On”.

Umówiliśmy się na rozmowę na następny dzień, ale zanim wróciłem do Santuzzy, posiedziałem jeszcze chwilę w laboratorium. Czułem się samotny i zatrwożony. Nie wierzyłem w Boga, tylko w swojego ojca, to jego więc błagałem w myślach: „Przestań się bawić w Boga, tato, i jedźmy do domu, z Santuzzą”. Oczywiście tak go to obeszło jak prawdziwego Boga. Santuzza popatrzyła na mnie zmartwiona, gdy wróciłem do ogrodu.

– „Sprzeczki rodzinne” – wyjaśniłem z uśmiechem.

Ale odeszła mnie wesołość i wieczór przeminął. Pod koniec Santuzza oparła głowę o stół i zapadła w iście bajkowy sen. Zaniósłem ją do gościnnej sypialni i ułożyłem na łóżku. Sam, leżąc na swoim, patrząc, jak jedno po drugim gasną światła,

odnosiłem wrażenie, że widzę jej źrenice w głębi kieliszka z winem, tak jak w owym starym obyczaju, że toast wznosi się kielichem napełnionym alkoholem z zanurzonym w nim klejnotem. I myślałem, że świat mojego ojca nie różni się zbytnio od rzeczywistego: moje życzenia nigdy się nie spełniały. Pijąc, wciąż widziałem te piękne oczy, i wino doprowadziło mnie do łez. I po niespokojnym śnie, trzykrotnie przerywanym, zbudziłem się, zupełnie gotowy na spotkanie nowego dnia... Nigdy nie zapomnę tego nowego dnia! Następny.

Ładny dom o białych ścianach, z żółtymi balkonami i szarym dachem.

– Pierwsze, co mnie zdziwiło, to głośne śpiewy stada ptaków przy oknie. Mój ojciec ich nienawidził, tłumacząc, że przy nich nie jest w stanie się skoncentrować. Wstałem, ubrałem się i wyszedłem. Trafiłem na nową scenografię. Konsole, kominki, fotele, lichtarze, schody, płótna ze scenami polowań, zegary ściennie, podwójne oszklone drzwi, posadzki ze szlachetnych gatunków drewna... Ani śladu laboratoriów, Raju i Ostatniego Życzenia. Na ich miejscu ów idealny dwór. I dlatego właśnie poczułem idealną groźbę. Nieznany człowiek czekał na mnie w ogrodzie, perfekcyjnie skoszonym. Ubrany był w szyty na miarę garnitur z kamizelką i krawat z diamentową spinką. Wokół niego białe stoły i krzesła oraz kompletny zestaw śniadaniowy w kolorze srebrnym. Czytał najnowszego „Timesa”, ale na mój widok odłożył go na stół.

– „O, dzień dobry, Rodolfo. Masz ochotę na śniadanie, synu? Kawa i tosty są znakomite. Muszę ci wyznać, że jajka powinny się były odrobinę dłużej gotować, ale Susan nie ma jeszcze doświadczenia”.

– „Tato? – wymamrotałem, ledwie go rozpoznając. – Coś ty zrobił?”

Był co najmniej dwadzieścia lat młodszy niż Gaston Grenoble, którego znałem. Lepiej zbudowany, o zdrowszej cerze, z fryzurą w stylu angielskim z dziewiętnastego wieku. O ile pamiętam, była to jego ulubiona epoka. Zapytałem niewyraźnie, kim jest Susan.

– „Och, nie rób takiej miny. – Uśmiechnął się. – Zamieniłem jedynie kilka alpejskich akrów na tę piękność. Należało mi się. A jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to powiem ci, że cię posłuchałem: porzucam poszukiwanie zła. Świat jest dobry taki, jaki jest, jest w nim zbyt wiele przyjemności, żebyśmy się mieli uskarżać: zapach drewna, pachnące dalie, drobne piersi, majteczki w kwiatki, umięśnione, acz delikatne ciała, herbata z indyjskich ziół. Poza tym nie jestem Bogiem, tylko dżinem z lampy” – zachichotał, jednocześnie poskramiając gestem gęstą czuprynę, w którą zmieniła się jego siwizna.

– „Zechcesz mi to... wyjaśnić?” – Opadłem na jedno z tych śmiesznych krzesel.

– „Pewnie, że zechcę. De facto rzeczywiście tego pragnąłem: dlatego się obudziłeś”. – Wyciągnął rękę w kierunku leżących na stole kartonów, które w swej naiwności wziąłem za tace. Były to zdjęcia. Pokazywał mi je.

Następny, Moniko.

Ślady białej muchy na tablicy z kilkoma nieobecnyimi śladami.

– „Nie zarzuciłem tego bez walki, synu. To złośliwy kwark, wiesz, cząstka w każdej cząstce. Wszystko jest dobrem, z wyjątkiem tego. Przeanalizowałem to”.

Następny.

Krawiecka poduszeczka na szpilki i igły oddalona o całe lata świetlne od Ziemi z rozproszoną kolekcją białych łebków od szpilek i jednym łebkiem tak czarnym jak wszechświat.

– „Podkwark. Biały poza tą czarną marchewką. Do niej zmierzałem”.

Następny.

Ogrom z punkcikami w głębi, małe szare liszaje na grzbiecie kaszalota.

– „Nauce, synu, brak słów, aby to nazwać. Ani białe, ani czarne, szare punkciki. Mieszanka. Ale ja się nie poddałem. Chciałem otworzyć te mikroskopijne punkciki, odseparować je w ich etycznych komponentach, a maszyna ostrzegła mnie, że dochodzę do ostatecznego ekstremum materii. Nieważne, odpowiedziałem, chcę dotrzeć dokładnie tam. Odseparuj mi to przeklęte musze gówno”.

Następny.

Monika chce szybko zmienić, ale projektor robi sobie żarty: ciemność, ciemność zupełna, całkowita.

– „Co widzisz?” – spytał wyzywająco.

– „Nic”.

– „No więc właśnie. Nic. Nie ma materii, Rodolfo. Poleciałem swoim analitykom, by się zajęli tym ostatnim ciałkiem, i pojawiło się to. Jakbyśmy im powiedzieli: wyizoluj mi cały chleb z tej grzanki, a oni pokazali ci nicość. Zło... rozdrobnione” – poruszył w powietrzu upierścienionymi palcami.

– „Mój Boże” – powiedziałem.

– „Nie, Rodolfo – zaprzeczył ojciec. – Ani to twój Bóg, ani mój. Po prostu błazen. Tyranie, wojny, zbrodnie, oszustwa, zdrady... Wszystko, co sprawia, że nienawidzimy, niszczymy, zazdrościmy, kradniemy... Rzecz zbyteczna, błędna, szkodliwa! I czym się na koniec okazuje? – Machnął gniewnie ręką. – Absolutną nicością na ręku niewinnego dziecka!”

Wpatrywałem się w ową nicość, w którą obecnie wpatrują się państwo, kiedy poczułem, że go rozumiem. Zacząłem mówić ze spokojem.

– „Chodzi o to, że myliliśmy się od samego początku, tato. We wnętrzu każdej rzeczy znajdują się przeciwstawne... Gdy otwierasz szkatułkę ze złem, znajdujesz szkatułkę z dobrem. Nawet te twoje pragnienia... Zawsze uważaliśmy, że były czyste, a nie są, ojciec. Są skażone pragnieniem przeciwstawnym. Wszystko jest wypełnione cząstkami latającymi na oślep, jak ptaki... Nieważkie, niezdefiniowane, pozbawione konkretnego celu...”

– „Doskonale! A więc zrozumiałeś! – wykrzyknął mój ojciec, ale wiedziałem, że prawie mnie nie słucha. – Dlatego właśnie postanowiłem to porzucić. Wolę życzenia zdecydowanie czyste. Poddaję się”.

Niemal poczułem, jak wewnątrz mnie narasta próżnia. W jednej chwili zarzuciłem wiarę w ojca i stałem się ateistą. Pojąłem błąd Nietzschego: Bóg nie umarł. Bóg, jak Gaston Grenoble, nas porzucił.

Medytowałem nad tym, gdy ujrzałem wychodzącą z domu Santuzzę.

Była starsza o dziesięć lat i ubrana tak, jak jedynie pragnienie mężczyzny jest w stanie ubrać lalkę. Kiedy uklękła przed nami, uświadomiłem sobie idiotycznie, że nie trzyma w dłoniach filiżanki herbaty z indyjskich ziół. Zorientowałem się, że jej stwórca optował raczej za słodką dziewczynką niż za naparem.

– „Susan, przedstawiam ci mojego syna, Rodolfo – rzekł ojciec z uśmiechem. – Och, wybacz, Susan... Rodolfo nie jest nawykły do widoku dziewcząt. Co z tobą, synu?”

Staralem się odwrócić wzrok od kształtów dziewczyny, absurdalnie obscenicznych.

– „Dzięki, tato – mruknąłem siny ze złości. – Dzięki za to, że zmieniłeś ją w coś takiego i że zatarłeś całą jej przeszłość. Pozostaje mi teraz tylko życzyć wam obojgu szczęścia i wszelkiej pomyślności i mieć nadzieję, że przynajmniej to moje życzenie się spełni”.

– „Dokąd idziesz?” – zapytał.

– „Dokądkolwiek, byle daleko od ciebie”.

– „Pewnie skrzywisz się na myśl, że jestem szczęśliwy” – stwierdził, gładząc biodra Santuzzy.

– „Absolutnie nie, tato – odparłem szczerze. – Wiesz przecież, że nie mogę cię nienawidzić”.

– „Och, tak, przecież wiem, ale mało mnie to obchodzi”.

Chciałem odejść definitywnie, ale nagle zeszywniałem.

Poczułem, jakby piorun uderzył we mnie od środka. Zimny pot oblał mnie od stóp do głów, pot, którego żadną chusteczką, złożoną na pół czy nie, nie zdołałbym otrzeć. Obróciłem się ku tej wszechmogącej istocie i jej dojrzałej niewolnicy.

– „Co chciałeś powiedzieć przez: tak, przecież wiem? I przez: mało mnie to obchodzi?”

Oczy mojego ojca wpatrywały się we mnie nieustannie, ale teraz jakby uciekały: para rękawiczek, które ściągasz szybko i demonstrują ci podszewkę.

– „Nigdy mi nie opowiadałeś o mamie... – powiedziałem wolno. – Nie pamiętam jej twarzy ani ruchów. Nigdy jej nie kochałem ani nie nienawidziłem. Ani jej nie potrzebuję, ani za nią nie tęsknię. Całym moim światem byłeś ty. Ty... Całym moim światem”.

– „Rodolfo...” – powiedział cicho ojciec, a jego ręka znieruchomiła na ciele dziewczyny.

– „*I już wiedziałeś, że nie mogę cię nienawidzić. Wiedziałeś. Mój Boże. Mój Boże*”. – Niematerialne wymioty. Zatkąłem usta, ale ciągle słyszałem własne „Mój Boże. Mój Boże”.

– „Rodolfo, chciałbym ci wyjaśnić...”.

– „Jestem jednym z twoich pragnień – przerwałem mu ze wstrętem. – *Jednym z twoich pragnień...* Zapragnąłeś mnie, jak każdy ojciec: chciałeś mieć inteligentnego syna, który będzie cię zawsze kochał, który ci we wszystkim pomoże... *Sam* mnie stworzyłeś!!”

Jestem pewien, proszę państwa, że nie ma istoty ludzkiej, która doświadczyłaby takiego horroru jak ja w owej chwili. Wyobraźcie to sobie państwo i zrozumcie, co teraz powiem: podszedłem ku niemu z zaciśniętymi pięściami, odsuwając po drodze stół z angielskim śniadaniem i prawie nagą Santuzzę, którą on deprawował swoimi odrażającymi łapami, teraz uniesionymi, jak moje, ale w błagalnym geście.

– „Rodolfo... Przecież mnie kochasz!”

– „Tak, kocham cię”.

Objąłem go i upadliśmy na angielski trawnik, jak dwa wściekle psy.

– „Kocham cię, bo nie mogę inaczej – krzyknąłem, gdy się siłowaliśmy. – Na nieszczęście dla ciebie, jestem także silniejszy, bo takim mnie pragnąłeś. – Siadłem mu na piersi i zacząłem walić w oczy, nos, policzki, usta. Zadawałem mu ciosy, coś do niego mówiłem i wciąż go kochałem. Kochałem go i biłem w chaosie ptasich świergotów, choć może były to piski Santuzzy. – Ale zapomniałeś o jednym drobnym szczególe, tato! Mam wiele, bardzo wiele białych cząstek synowskiej miłości, tak jak sam chciałeś, ale także kilka czarnych! – Przytrzymałem jego twarz i wepchnąłem palce w jego kochane oczy, uszy, dziąsła, jak gdyby był stworem z gliny, którego chciałem od nowa ukształtować. – Cząstki, tato! Przeciwstawne cząstki! Nie jestem czysty! Jestem też swoim własnym chaosem! – Pociągnąłem go za bujne włosy z niewysłowioną pieśczołą i walnąłem jego głową raz, dwa, trzy, cztery razy o trawnik zielony, zielonkawy, ceglasty, czerwony, aż usłyszałem, jak coś pęka raz, dwa, trzy, cztery. – A ty usiłowałeś zrozumieć świat! Zrozumieć ten świat, tato!! Zrozumieć go!!” – śmiałem się, płakałem, wylem nad jego ciałem, niezdolny, by go nienawidzić nawet wówczas, wciąż go kochając, całując jego sztywne wargi.

Światło, Moniko.

Mruganie powiek, bladość, całkowita cisza... Projektor gaśnie i znika ekran za Rodolfem Grenoble.

– Dodam jeszcze, że rezydencja w Alpach, Ostatnie Życzenie, już nie istnieje i że podjąłem środki, by Santuzza, wciąż zmieniona przez mojego ojca, miała godniejsze życie w jakimś zakątku świata. Zniszczyłem większość pamiątek z tamtych dni, w tym

bransoletkę, i rozsypałem popioły, jakie zawierała, żebyśmy, jeżeli istotnie chodziło o zło, wszyscy mogli się nim podzielić. Pozostałe przedmioty będą stanowiły część kolekcji muzeum, o którym już państwu wspominałem. Figura z brązu, z rysami mojego ojca, będzie na nas patrzyła u wejścia, a na postumencie będzie można przeczytać: „Gaston Grenoble, niezmordowany dobroczyńca ludzkości”. W jego imieniu, i w moim własnym, dziękuję państwu za obecność na tym ostatnim spotkaniu Spółki. Wiadomo mi, że było jego wolą, abym wyjaśnił, co się stało. Dodam, dla uspokojenia wszystkich: wiem, że to nie ja go zabiłem. Ja byłem jedynie narzędziem. Jestem przekonany, drodzy przyjaciele, że *popełniłem samobójstwo* mego ojca.

Dziękuję.

Widzimy, jak w milczeniu schodzi z podium. Rodolfo Grenoble: wyprostowany, elegancki, atrakcyjny. Samotny jak każde niemożliwe życzenie.



Głos pani Queen, jak perfumy, jeszcze się unosi w powietrzu. Drga w uszach przez chwilę, zostawia ślad. Jak pozostałe rzeczy, które zamieszkują pamięć i które także wydają się rozpływać w powiewie milczenia.

- To raczej smutna opowieść – stwierdza Biskup.
- Raczej. A może nie – oznajmia dziwacznie pan Figury.
- Przeraża mnie pani opowieść, pani Queen – odzywa się pani Lefó.

Pani Queen nie odpowiada. Soledad, która stanęła za panią Lefó, aby lepiej widzieć panią Queen, przygląda się jej teraz uważnie: zagadkowe zachowanie, wysmukła talia, biały strój, kolczyki z masy perłowej. Pani Queen odwzajemnia jej spojrzenie, a jej oczy przypominają dwa zamarzniete stawy. Soledad nie widzi w tym spojrzeniu nic szczególnie intensywnego. Żadnego przesłania, żadnego wyjaśnienia. Ujrzyć to spojrzenie to tak, jakby ujrzyć, że pada śnieg. Hipnotyczne, nieograniczone czasem.

„Cząstki dobre i złe, szare cząstki zamazujące wszystko”, myśli Soledad.

- Posłuchajmy teraz pani ostatniej opowieści – proponuje Biskup.
- Tak, moja ostatnia opowieść... – podejmuje pani Queen i na chwilę milknie.

Soledad jest zdziwiona. Ostatnia opowieść ostatniej osoby w pokoju? A co potem? Kiedy spotkanie dobiegnie końca, dokąd pójdzie? Już nie może wrócić do domu. Patrzy na samą siebie i czuje się brudna. Powinna coś na siebie włożyć, bo nie wypada stać przez cały czas w samej bieliźnie. Ale nie może już włożyć mundurka. Ma przed sobą drogę w jednym kierunku. Jak powiedziałyby Biskup: „drogę do przejścia”.

I gdy się tak sobie przygląda, zatrzymuje wzrok na bransoletce. To prezent od taty. Właściwie poprosiła o nią, kiedy przyłapała go, jak wyciągał pudła z różnymi pamiątkami, a on, wzruszony, opowiedział jej krótką historię: mama nosiła tę bransoletkę jako dziewczynka. „Dasz mi ją, tato? Chciałabym ją nosić zawsze. Nie będę się z nią rozstawać”.

W pokoju z czterema świecami i okrągłym stołem panuje milczenie. Soledad czuje, jakby krople deszczu padły na kamienny dach, jest cała mokra od potu albo wilgoci, raczej nie od wina, wino już wyschło. Jej skóra lśni na ramionach i udach, i brzuchu, odbija się w niej światło świec, jakby była namaszczona oliwą. Nikt zdaje się na nią nie patrzeć, ale wszystko wskazuje, że czegoś od niej oczekują.

Przypatruje się bransoletce ponownie. W rzeczywistości to taka zabawka. Zwykły plastik, dziecięca biżuteria. Teraz wydaje się śmieszna. Stoi przecież rozebrana jak

dorośla kobieta, a na rękę ma tandetną ozdóbkę dobrą dla małej dziewczynki...

Kieruje prawą rękę ku bransoletce. Dotyka jej. Dotyka kości nadgarstka pod bransoletką. Napięcie wyczuwalne w panującym milczeniu narasta, gdy Soledad usiłuje zdjąć bransoletkę. Szarpie ją trochę mocniej. Krople spływają jej po czole.

„Mama”.

Przestaje nagle, kiedy bransoletka zaczyna zsuwać się z ręki. Dlaczego miałaby ją zdjąć? Nie czułaby się bez niej dobrze. Fakt, że ją nosi, nie sprawia przecież, że jest mniej czy bardziej dzieckiem. Chodzi o pamiątkę, może o ostatnią pamiątkę.

Zmienia zdanie i odsuwa rękę. I to wówczas wszystko zaczyna znów funkcjonować. Troje pierwszych gawędziarzy porusza się na swoich fotelach. Pani Queen ponownie spogląda na nią oczami, które przywodzą na myśl próżnię.

– Moja ostatnia opowieść nosi tytuł: *Karbunkuły*.

Soledad słucha, spokojna, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, z bransoletką na rękę. I zamyka oczy.



KARBUNKUŁY

Są życia i opowieści, które zaczynają się na krótko przed tym, nim się kończą.

Oto opowieść o starym Tjornie – siwowłosym, z garbatym nosem i opaloną skórą, z rękami stwardniałymi, jakby były pokryte bliznami. Obudził się owego dnia jak wszyscy, w swoim białym łóżku, ale coś go pchnęło, by odezwać się głośno do tego towarzysza, bez którego nie mógł się obyć.

– Dzisiaj zaczyna się moje życie.

Nie było to wcale zdanie pretensjonalne, czuł tak, jak to powiedział. Mimo że ów dzień nie sprawiał wrażenia, jakby się czymkolwiek różnił od innych, z wyjątkiem faktu, że to dzień, o którym opowiadamy. Słońce już oślepiająco świeciło na horyzoncie, mewy krzyczały, bryza osaczała latarnię morską, morze i plażę. Stary Tjorn rozpoczął rutynowe czynności. Wdział przez głowę wełniany czarny golf. Włożył sukienne spodnie. Potem łyk odgrzanej, pozostałej z wieczora kawy. Piana na policzkach, ostrze brzytwy przesuwające się po twarzy. To właśnie wtedy ten towarzysz, bez którego nie mógł się obyć, powiedział mu, odbity w lustrze:

– Jasne. Dzisiaj będzie ostatni dzień mojego życia.

Uznał, że właśnie dlatego czuje, że jego życie się zaczyna: bo ma się skończyć.

Wszystko szczegółowo zaplanował. Pewnie, trzeba było jeszcze napisać, sami wiecie, jakiś pożegnalny list na ładnym jedwabistym papierze. Ale dla kogo? Co do łodzi, to mimo że cała obrosła małżami i sztywna od wodorostów, jeszcze może się przydać. Problem sprawia wtedy, gdy trzeba ją przeciągnąć po piachu. Czuł, że artretyzm dokucza mu bardziej niż zwykle. Gdy go pokona, wszystko będzie kwestią wiosłowania, póki zmęczenie i fale nie zapewnią go, że powrót jest już niemożliwy.

– Czy to prawda, że całe życie staje ci przed oczami w jednej chwili? – zastanawiał się, stojąc na latarni, popijając kawę i wpatrując się w szare morze.

Mgła unosiła się nad horyzontem niczym zmięte prześcieradło, które ktoś w oddali wygładza. Staremu Tjornowi wydawało się, że to całun.

– Dobry dzień na to, żeby skończyć z resztą – uznał.

Miał właśnie zejść z balkoniku latarni, kiedy zauważył, jak się wyłania, jeszcze

daleki, ale wyraźnie się przybliżając. Zdumiony chwycił lornetkę.

Galeon z bogatym ożaglowaniem unosił się we mgle. Wszystko w nim było feerią barw: tęczyowy dziób wymalowany niczym twarz błazna, który sprawia wrażenie, że się śmieje, ilekroć zdoła energicznie pokonać fale, maszkaron jak dwie potężne drewniane nogi, które rozwierają się i zwierają w miarę kołysania, cztery rzeźby dziewczyn o włosach w kolorze cytryny, zdobiące bukszpryt i stewę, maszty w kolorach jarmarcznych lizaków, takielunek i żagle ozdobione girlandami.

Dziwny to był statek, Tjorn nigdy czegoś takiego nie widział.

(Soledad patrzy na pana Figury. „Ten statek poniekąd jest do niego podobny”).

Ale Tjorn był już zbyt stary, by go cokolwiek zadziwiło, więc powiedział tylko:

– Dobrze.

Zszedł po wysokich stopniach schodów na latarni i znalazł się na plaży. Wszystko było tu szare, gdyż mgła dosięgła wybrzeża, ciemnoszare albo popielate, nawet jego łódź spoczywająca na piachu pod osłoną skał. Ale nie galeon. Był tam gdzie przedtem, absolutny władca kolorów, maharadża ruchomego pejzażu. Tjorn przyglądał mu się, spychając łódź na wodę, a potem wiosłując, zmęczony i niespokojny. Po każdym ruchu ramion, ciężko dysząc, myślał:

– Nigdy nie dotrę.

I myśląc tak, dotarł. Galeon, niczym jakiś ogromny żart, przechylał się na bakburtę. Przez kolorowe otwory strzelnicze wdzierał się wiatr, zmieniając je w scenę z kukiełkami, na której za chwilę pojawią się olbrzymy. Przez chwilę to statek, to łódź znikwały wśród fal i się z nich wyłaniały, z burtami i wręgami ociekającymi wodą jak fiszbiny wieloryba. Stary Tjorn zaśmiał się, słysząc wybuch śmiechu ze statku, tak pełnego zadowolenia, a tak bliskiego pójścia na dno. Ale chwilę później pojął, że jego obowiązkiem jako latarnika było ostrzeżenie.

Miał już zawołać, kiedy szereg chińskich lampionów zapłonął na całym nadburciu, po czym spuszczone z niego sznurową drabinkę z wplecionymi tu i ówdzie pnączami psianek. W górze Tjorn widział trzepot wyciągających się ku niemu rąk. Wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno, czy utopię się tu, czy tam – stwierdził.

Wiosła swoim monotonnym rytmem zdawały się przyznawać mu rację.

Wspiął się, jak umiał, i znalazł się w samym środku krzykliwego karnawału. Ałasowe rękawiczki, maseczki, wystawne dworskie szaty, peruki przysypane perfumowanym pudrem. Wybuchy śmiechu ogłuszały. Damy w sukniach jak torty składały ukłony u boku kawalerów ze szpadami z czystego złota. Klamry u butów połyskujące niczym drogocenne gemmy. Długie czerwone cygarniczki zagrażające nagiej skórze. Wino łykane wśród czkawki i gromkiego śmiechu.

(A to natomiast kojarzy się Soledad z panią Lefó).

Przyjęcie niczym rozpędzony diabelski młyn. Stary Tjorn łąził od jednego gościa do drugiego, starając się, by ktokolwiek go dosłyszał.

– Jestem latarnikiem. Moim obowiązkiem jest ostrzec państwa, że ten statek tonie.

„Tonie” przeszło z ust do ust niczym bluźniercza piosenka. Jacyś mało uprzejmi kawalerowie poklepali Tjorna po ramieniu. Woń wina i błyszczące oczy za maseczkami nasunęły mu myśl, że wszyscy są albo pijani, albo szaleni. Ale wesołość panowała tak wielka, że Tjorn im wybaczał. „O wiele lepiej umrzeć tak niż w samotności”, uznał.

Nagle usłyszał za plecami śmiech inny niż wszystkie.

Młodzieniec. Nie, raczej dziecko. Smagły od stóp do głów, co łatwo było stwierdzić przy jego zupełnej nagości. Piękne, ciemne, pełne życia włosy targane wiatrem, umocowana do twarzy maseczka z białego jedwabiu haftowanego niczym koronka. Z różowych warg nie schodził uśmiech. Kto to był, Tjorn nie mógł wiedzieć, ale na jedno skinienie poszedł za nim.

Kolombiny i arlekiny ćwiczący się w szermierce, niezgrabnej i pełnej błędów, przepuścili go. Pióra trójgraniastego kapelusza smagnęły Tjorna przy powitaniu. Nagi chłopiec zręcznie manewrował w tłumie, a on przedzierał się za nim z trudem. Na dziobie byli już sami. Rozlegały się tu dzwonki i słychać było nieustępliwe oblężenie morza. Słońce zachodziło: ciemne niebo i woda, pomarańczowa poświata pośrodku, wysoko.

(Ciemne i pomarańczowy punkt. Przychodzi jej na myśl pan Biskup).

Kostki razem, ciało w doskonałej równowadze. Maseczka jak chusteczka, którą ktoś macha na pożegnanie. Tjorn nie zdołał dojrzeć twarzy: jedynie anonimowa biel, smagły podbródek, wargi. Wszystko to wśród powietrza i ciszy. „Zdejmij to – chciał powiedzieć – zdejmij tę maskę”.

Ale się nie odważył.

(To wszystko przywodzi jej teraz na myśl panią Queen).

Zobaczył wyciągniętą prawą dłoń. Na niej cztery kamienie.

Nie mogły to być karbunkuły, ponieważ nie wszystkie kolory były dla nich typowe, ale na ich widok Tjorn mruknął właśnie:

– Karbunkuły.

– Wybierz któryś – powiedział chłopiec.

Tjorn spojrzał na nie znowu. Niebieski, czerwony, czarny, biały. Wziął niebieski.

(„Podobne kamienie miały lwy w opowieści o Frances Flesh!”)

Kolumny i symetryczne łuki gubiące się w oddali. Ogromne niebieskie kamienie. Dalej zimna mgła. Nie wiedząc, gdzie się znajduje, Tjorn szedł przez chwilę tym bezosobowym korytarzem, aż usłyszał tupot butów zmierzających w swoim kierunku. Niebieskie mundury, krótko ostrzyżone włosy, nieruchomy wzrok. Czterej żołnierze idący jednym rytmem, jak gimnastycy wyrzucający nogi przed siebie.

Dopiero gdy się oddalili, Tjorn zauważył, że sam jest ubrany jak oni.

Postanowił pójść za nimi, ale echo ich wojskowych kroków prędko przebrzmiało. Cisza. Wilgoć i zimno, mimo że chroniły go kurtka i grube spodnie. Jego buty, gdy tak szedł po wykafelkowanej podłodze, trzaskały jak przeładowywany karabin. Korytarz znikł za węglem. Gdy Tjorn się wychylił, ujrzał drzwi z drewna, z szybą. Gdzieś za nimi kłębiła się opalizująca mgła. Kolumny ciągnęły się dalej, ale już bez łuków ani kapiteli. Ujął za kołatkę.

Cierpki zapach. Rozpoznał go. Zapach nabrzeża, ryby, wilgoci, dymu fabryki. Wytrwale nawiedzał jego nos w młodości. Z jakiegoś powodu wydało mu się, że to zapach starej Europy. Nagle zrozumiał, gdzie jest.

Za stołem zawalonym papierami młody człowiek w niebieskim mundurze przeglądał dokumenty. Jego głowa była ogolona tak gładko, że wydawała się wypolerowana. Duże czerwone uszy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedział stary Tjorn.

– Niech się pan tym zajmie, jak pan tylko będzie mógł.

Tjorn wziął niebieską kopertę, którą podawał mu młody człowiek, ale nawet na nią nie spojrział. Za nim było okno, spirale dymu i mgła przesłaniały słabe słońce. Świat, który Tjorn znał za młodu, tak właśnie wyglądał: potężne słupy czarnego dymu, działa groźnie wycelowane w niebo.

– Jakieś wątpliwości? – spytał młodzieniec, jakby obrażony.

– Och, nie, absolutnie. Tylko że... Już wiem, gdzie jestem, albo się domyślam. Kiedy byłem młody jak pan, pracowałem w biurze w fabryce na nabrzeżu. Konserwy rybne. Tak pachniała. A na stołach były bibuły i przyciski do papieru, jak te, i papierowe teczki zawiązywane na troczki, i segregatory... Nie rozumiem tylko mundurów.

– Jest przecież wojna – rzekł młodzieniec, patrząc na Tjorna tak, jakby ten oszalał.

– Nie byłem na żadnej wojnie. Pracowałem w biurze, a potem przyjąłem posadę latarnika na wybrzeżu...

Młodzieniec potrząsał głową. Może powiedział mu, że nie, a może nie miał ochoty rozmawiać z kimś starym. Uznawszy, że nie ma potrzeby dyskutować, Tjorn wyszedł z biura. „To musi być sen – mówił sobie. – Nigdy nie służyłem w żadnym wojsku”. Rozróżnił we mgle sylwetki baraków. Chwiejąc się, zajrzał przez pozbawione szyby okienko, uchwyciwszy się poczerniałego parapetu. Lalki zwisające z belek pod sufitem, w rzędzie. Brudne koszule i spodnie w prążki w wyblakłym niebieskim kolorze. Niektórym brakowało rąk.

Tjorn przyklęknął przy ścianie baraku. Nagle ogarnął go straszliwy smutek i zebrało mu się na płacz. Łzy rozbiły obraz niebieskiej koperty na tysiące kryształków i kiedy wyjął papiery, jakie zawierała, nawet nie był w stanie ich odczytać. Podniósł

się, ale świat, jaki widział, był średniowiecznym witrażem. Ruszył przed siebie chwiejnie, wciąż płacząc. Cholewki butów grzęzły w zimnym mule. Rozrzucone w błocie, wielkie stare szynele niczym skóry upolowanych zwierząt. Na nich, za każdym razem w większej ilości, druczane oprawki okularów, skrawki gazet i fotografii. Błoto stawało się tak rzadkie jak kałuża. Skrawki odzieży i rzeczy osobiste niczym dryfujące wraki. Nie wiedzieć dlaczego, staremu Tjornowi, pogrążonemu w udręce, zaczęło się nagle wydawać, że owszem, był na wojnie. W młodości byli zwycięzcy i zwyciężeni, ci, co przeżyli, i ci nieznani, był głód i wysiłek, dym i ostry odór. Któż mógłby stwierdzić, że nigdy nie był na żadnej wojnie?

– Boże, wybac mi, wybac! – krzyknął i upadł w błoto.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał na wprost swojej twarzy dwie dziecięce nogi.

Była noc i statek unosił się na niespiesznej karuzeli fal.

– Wybierz któryś. – Jedwabna maseczka łopotąla niczym żagiel. Na drobnej dłoni trzy kamienie: czerwony, czarny i biały.

– Czy to jakaś gra? – zapytał Tjorn. – Przyśni mi się coś innego, jak wybiorę następny?

– Wybierz któryś – powtórzył chłopiec.

Wybrał czerwony i usłyszał bicie dzwonów. Owalny plac był olbrzymi i opustoszały, przez co wydawał się jeszcze większy. Otaczające go kolumny niczym ramiona i kapitele jak ręce wyciągnięte ku niebu. Bazylika z czerwonawą kopułą. Zapadała noc, ale czerwone światła podkreślały kontury. W powietrzu unosiła się woń kobiecych perfum.

Stary Tjorn przeszedł plac, mijając nieprawdopodobnie wysoki obelisk. Jego kroki rozbrzmiewały w pustce. Wszystko tak majestatyczne, że ledwie był w stanie cokolwiek dostrzec, niczym owad w domu giganta albo owoc spadły z drzewa. Przeszedł przez salony ze ścianami pełnymi książek o czerwonych brzegach. Apologetyczne. Greka i łacina. Jego czerwonawa tunika falowała przy każdym kroku. Miał jasno określony cel: w głębi, pod sklepieniem, cztery czerwone kolumny, nad nimi potężny baldachim. Przystanął, by zmierzyć wzrokiem zdumiewającą scenografię. Gdzieś bezgranicznie powyżej cztery pilastry z czterema tytanicznymi kobietami w czerwonych tunikach, z otwartymi książkami na podołkach. Wysokość była tak duża, że gdyby ktoś, uległszy temu przyciąganiu, chciał się dokładniej przyjrzeć, musiałby walczyć z grawitacją.

Niżej, za czerwonym ołtarzem, na tronie z czerwonawego porfiru, pod uporządkowanym nieładem gołębi namalowanych na oparciu w kształcie koła fortuny,

(„jak *Byt Dobbina i Gertrudy w pierwszej opowieści*”)

ona.

Czerwona sutanna zapięta pod samą szyję, czerwonawa komża, płaszcz rubinowej barwy. W pierwszej chwili stary Tjorn sądził, że także kaptur, ale okazało się, że to

długie czerwone włosy. Dłonie splecione na podołku, smukłe, ze szczupłymi palcami, niezwykle białe. Spojrzenie tak smutne i tak niezmacone jak u posągów.

– Witaj, Tjorn.

– Witam.

Zatrzymał się przed ołtarzem i jął się jej przypatrywać.

– Drobnny problem – rzekła ze spokojem cechującym postacie z obrazów prerafaelitów, a wysokie sklepienie nadało piękności brzmieniu jej głosu. – Chcesz umrzeć.

Zdanie wypowiedziane w ten sposób, pod tym drogocennym baldachimem, z tym westchnieniem osoby pięknej jak dzieło sztuki, zabrzmiało niemal śmiesznie, ale Tjorn nie zaprzeczył.

– Tak.

– Czemu?

Wzruszył ramionami. Nikt nie zadawał mu tego pytania częściej niż on sam sobie. I nie zadałby.

– Nie masz przyjaciół? Istot, które byś kochał?

– Samotność. *Soledad*^[4].

(Soledad mruga powiekami. Czyżby pani Queen ją zawołała? Nie, ciągnie swoją opowieść).

– Samotność?

– Tak. Jestem latarnikiem. Kocham swoją samotność. Dla mnie to najukochańsza istota ze wszystkich.

– Więc czemu chcesz ją porzucić?

– Bo nie jest wszystkim, ale nie znam nic lepszego.

– Jak długo jesteś latarnikiem?

– Dwanaście lat. Dziwi to panią?

(„Tyle właśnie mam lat”).

Nie wiedział Tjorn, skąd to pytanie, ona zaś nie zareagowała.

– Dwanaście lat w samotności? Nikogo nie widując?

– Niezbędne wizyty. Nic ponadto.

– Całkiem sam przez dwanaście lat...

Czując, że musi się bronić, Tjorn podniósł głos.

– Samotność jest cudowna! Jedyna rzecz naprawdę godna życia. Tyle czasu zabiera nam poznanie siebie... Czemu poznawać innych, zanim pozna się samego siebie? Samotność to wymyślanie. A wymyślanie to życie. Życie to poznawać samego siebie.

– A czy poznać samego siebie oznacza zabić się?

– To podchwytliwe pytanie – odparł Tjorn. – Mam dość, to wszystko. To jak

uczta. Pochłonałem swoją wyobraźnię z kosteczkami. Nie mam już przeszłości: właśnie ją zwiedziłem. Jest sina i zimna, jak biurokrata. Pełna śmierci i złych wspomnień. Nie chcę w niej żyć, ale w terażniejszości też nie. A teraz jeszcze wiem, że nie mam przyszłości.

– Samotność pana nie uszczęśliwiła – zauważyła ona, odgarniając włosy białą dłonią.

– A co to znaczy być szczęśliwym? Nie poznałem w życiu niczego, co by mi dało szczęście. W najlepszym razie miłe poczucie całkowitej harmonii. Przyjemna i piękna pustka, żeby coś wymyślić. – Spojrzenie starego Tjorna błądzi wokół. Otacza tron, czerwone filary połączone sznurami grubymi jak cumy. – Trzeba zobaczyć, czy jest na tym świecie coś, co sprawi, że powiem: byłem szczęśliwy. Nie sądzę, żeby tak było w czyimkolwiek przypadku. A w sumie, co? Zawsze uważałem, że wszyscy żyjemy w całkowitej samotności.

Milczenie. Już na nią nie patrzył. Był przyzwyczajony do mówienia do siebie, co oznaczało rozmowę z owym towarzyszem, bez którego nie mógł się obyć.

– Mam złe wspomnienia, ale kto ich nie ma w moim wieku? I dobre, tak niepotrzebne. Tkwią w pamięci, żeby ci uświadomić, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy... Zostaje mi wyobraźnia, tak. Ale co jeszcze mogę powiedzieć? Mam już dość.

– Więc dlaczego się nimi nie podzielić? – Ton był smutny, w taki sposób, w jaki trunek może być gorzki, a zarazem miły dla podniebienia.

– Podzielić niby czym?

– Wytworami wyobraźni.

Tjorn nie pamiętał, żeby mówiąc, przesunął się do przodu, ale najwyraźniej to uczynił, ponieważ ona siedziała nadal na tronie, a on znajdował się bardzo blisko. Dostrzegął białą skórę policzków, jedyną rzecz, która nie była czerwona, poza szmaragdowymi oczami. Włosy opadające na piersi. Czuł intensywną woń perfum.

– Co ma pani na myśli?

– Tetrameron. – Jedna brew się unosi. Tjorn zauważył delikatny czerwony meszek na czole. – Krąg salamander.

(Już po raz drugi Soledad słyszy tę nazwę. Patrzy na stół, na którego blacie wymalowany jest krąg z dwiema goniącymi się jaszczurkami).

– Nigdy mi tego nie zaproponowano. – Stary Tjorn czuje zmieszanie. Znał Tetrameron, czytał o nim w jednej ze swoich niezliczonych książek. Stowarzyszenie czworga gawędziarzy. Grupa, która zbierała się, by wymyślać opowieści, rok po roku, po wsze czasy. Zawsze czworo: jeżeli jedno odchodziło, ktoś musiał zapełnić puste miejsce. Niewielu, bardzo niewielu przyjmowano. Ludzie wpływowi. Tjorn się ich bał. Czy to właśnie oznaczał ów przedziwny sen o galeonie? Czy proponowano mu przynależność do Tetramerona?

– Nie chcę nikogo pozbawiać miejsca – wybełkotał. – Zwłaszcza w Tetrameronie.

– Zwolni się miejsce. Ktoś się wycofa. Będziesz mógł go zastąpić. To lepsze niż śmierć. – Wydawało się, że jakiś problem sprawia jej ramię. Mówiąc, gładziła je nagą białą dłonią, uplasowaną w kaskadzie czerwonego jedwabiu. – Tyle wynalazków – i po co? Tak wielka samotność, od tak dawna. Tyle opowieści, by się nimi podzielić, Tjornie. Czemu nie opowiadać ich po kolei, jedną po drugiej, po wsze czasy? Czego się boisz?

Podczas gdy Tjorn zastanawiał się nad jednym słowem, które wyraziłoby jego obawy, ona podniosła się. Niezbyt wysoka, za to szczupła. Biała dłoń przesunęła się z ramienia na górny guzik sutanny.

– Powiem ci, czego się boisz. Odpowiedzialności w zamian, prawda? To schronienie, ten spokój panujący tam, na szczycie twojej wieży, zawsze oświetlonej, to wymyślanie w samotności. Te dwanaście długich lat. Jak teraz to wszystko porzucić? – Sutanna i komża opadły do jej stóp, jak gdyby podtrzymywał je tylko ten jeden guzik. Zdumiewająca, wstrząsająca naga, ale jej mocne kształty i ledwie zarysowane piersi były chłopięce. Zaledwie dwie symetryczne niewyraźne wypukłości. – Nie chcesz nurzać się w łodzi wspomnień. Chcesz nadal być taki, jaki jesteś. Koniecznie musisz nadal być sam.

Jej włosy chyba istotnie stanowiły coś w rodzaju kaptura, bo w tej właśnie chwili opadły na plecy; łysa teraz głowa wyglądała jak pozbawiony płatków kwiat.

– Lepiej pozostawać w samotności, lepiej dalej wpatrywać się w morze. Niewiedza, czyż nie tak? – Krok, następny, zejście z podwyższenia. To już nie była ona. To był chłopiec. Transformacja dokonała się w mgnieniu oka. Kupidyn w haftowanej maseczce obejmował sam siebie, schodząc, a jego kołyszące się biodra przyciągały niespokojne spojrzenie Tjorna. – W przeciwnym razie lepiej napić się cykuty...

Wyciągnął rękę. Dwa kamienie. Stary Tjorn wybrał czarny.

Przestał słyszeć głos, ale nie przestał go widzieć. Chłopiec odwrócił się do niego plecami. Były tak chude i kościste, że żebra rysowały się na jego skórze niczym szkielet wyciągniętej na brzeg łodzi. „Tak, lepiej”, pomyślał Tjorn, uświadamiając sobie nagle, że oto znów wpatruje się w morze ze swojego pokoiku latarnika. Na zewnątrz pojawiły się deszcz i przenikliwość błyskawic i mew.

Po południu, po skromnym obiedzie, usiadł, by porozmyślać nad tym, co mu się przyśniło. Zdawał sobie sprawę, że nie do końca był to sen. Ofiarowano mu jedno z czterech krzesel. Nie czuł mimo wszystko niepokoju. Patrzył na padający w oddali nad morzem deszcz i palił fajkę. Obłoki na niebie i obłoki dymu łączyły się w jedno, aby uformować się w sylwetkę, w chude i aseksualne ciało przypominające baletnicę.

Z nadejściem nocy ogarnął go niepokój. Zastanawiał się, czy się odważy. Niemal mógł przewidzieć to, co się stanie.

Otóż obudzi się w pewnej chwili o świcie i popatrzy na drzwi sypialni. Nie spuszczać z nich wzroku, podejdzie i otworzy je. Za nimi będzie stał chłopiec, blady, przygnębiony, z rozwichrzonymi włosami, a u jego stóp będzie kałuża śladów. Jego sylwetka nic mu nie powie. Będzie się wpatrywał jedynie w białą maseczkę, unoszoną oddechem, i w biały kamień, jedyny, jaki pozostał, leżący na dłoni chłopca.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wziął ten kamień. Ostatni. Czy zgodziłby się zająć pustkę.

Soledad, jego samotność, czy Tetrameron. Co zrobić, jaką podjąć decyzję, stojąc w drzwiach, w cieniu ogarniającym pokój.



Wymówiwszy ostatnie słowo, pani Queen się podnosi.

Wydaje się, że kosztuje ją to wiele wysiłku, jak gdyby była starsza, niż na to wygląda. W końcu jednak wstaje i powolutku odchodzi od stołu. Soledad – przy troskliwej pomocy zgromadzonych – musi się troszeczkę odsunąć. Kobieta prześlizguje się obok niej, nie bacząc na tę drobną uprzejmość. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie chorej. Mimo to staje przed drzwiami, zasłaniając sobą płonąca świecę.

Dzieje się coś, co można porównać z nagłym błyskiem oka: spojrzenie pani Queen rzucone ku Soledad, spojrzenie dziewczynki rzucone ku niej, następnie, jakby przypadkiem, ku pozostałym, potem spojrzenia pozostałych ku pustemu krzesłu.

„Soledad czy Tetrameron”, myśli.

I to krzesło jakby ją zapraszało, podobnie jak spojrzenia.

Soledad stara się zachować spokój. Przecież tak czy inaczej marzyła o tym, żeby wreszcie usiąść! Postępuje krok naprzód, potem dwa kroki, obserwując z ukosa wszystkich. Nikt się nie odzywa, lecz Biskup i pan Figury sztywnieją, a pani Lefó zwraca swoją strusią szyję ku dziewczynce. Można się było, oczywiście, tego spodziewać. I nagle dociera do niej, czego wszyscy od niej oczekują.

Oczywiście nie chodzi tylko o to, żeby usiadła. Chodzi o to, żeby się zgodziła. A jeżeli się zgodzi, to zaangażuje się w tę rolę całkowicie, bez poprzednich zahamowań. Precz ze *wszystkimi* obawami!

„Och, nie, tylko nie *to*”.

Patrzy na nich, na próżno szukając współczucia. Wydają się przejęci własnymi sprawami: Biskup ogląda paznokcie, pan Figury i pani Lefó siedzą z łokciami na stole.

Wstyd unieruchamia Soledad wobec prostej kwestii: posłuszeństwa. Zawsze czuła się brzydka. I zbyt słaba. I w głębi duszy nadal jest tylko dziewczynką.

No tak: bardzo w głębi duszy.

Nagle w to poczucie wstydu wdziera się chęć zrobienia jakiegoś głupstwa. Tu wewnątrz, w tej komnacie oświetlanej świecami, z tym stołem ozdobionym salamandrami, po godzinach pozbywania się kolejnych części garderoby i stania na nogach, ta ostatnia część nie ma znaczenia. Nawet z daleka to nie najwyższa bariera ze wszystkich, jakie dotąd pokonała. Brzydka czy nie, co tam.

„No dobrze”.

Bierze głęboki oddech i szuka rękami na plecach zapięcia stanika.

Przykuca, podnosi się, przykuca. Układa wszystko razem. To dwanaście najbardziej deprymujących sekund jej życia, policzyła je dokładnie. Nienawidzi siebie za to, że musiała udawać, iż przywiązuje wielką wagę do sposobu złożenia bielizny. Nienawidzi własnych spuszczonej oczu i przyspieszonego oddechu. Dwanaście sekund, jedna za każdy rok życia. Ponownie bierze oddech i postępuje krok naprzód wpatrzona w podłogę. Po upływie chwili niczym rozżarzona studnia – chwili gorąca i zawrotu głowy – zauważa, że porusza się z większą swobodą. Ma świadomość, że porusza się wolna od jakiegokolwiek nacisku na skórę. Jakby latała. Stawia lekkie kroki w księżycowym świetle wiodącym ku pustemu krzesłu. I nagle powstrzymuje ją czyjś głos.

– Co robisz?

– Chcę usiąść. – Nie patrzy na panią Queen, ale na czubki swoich nagich stóp. Nie wie, co zrobić z rękami, bo nie ma czego wygładzić ani za co pociągnąć, więc kładzie lewą na ramieniu, a prawą kołysze.

– Czyżbyś chciała odebrać mi krzesło?

Głos pani Queen jest nadal dźwięczny i piękny, ale już nie tak uprzejmy. I przede wszystkim nie tak łagodny. Ojciec Soledad nigdy nie zgodziłby się, żeby ktoś mówił do niego takim tonem. „Nie schlebiaj im, Sol”, powiedziałyby.

– Nie, ja...

– To moje krzesło.

Nagle czuje, że nie będzie dłużej schlebiała nikomu z nich. Już nigdy więcej. Zachowywała się wobec nich najlepiej, jak potrafiła, wzięła udział w tej nieprzyzwoitej zabawie. Nigdy wcześniej nie zachowywała się wobec obcych tak jak teraz wobec tej czwórki. Wiele ją kosztuje, o wiele więcej niż sądziła, podnieść głowę i wzrok, ale udaje jej się.

– Pani wstała, a ja chcę usiąść – mówi. – Jeżeli ma pani ochotę usiąść, proszę.

– Naprawdę chcesz usiąść? – słyszy głos Biskupa za plecami.

„Przede wszystkim spokój – powtarza sobie Soledad. – Jesteś sobą, bez bielizny, ale nadal jesteś sobą”. Odwraca się do Biskupa i podnosi palec do ust, żeby go jak najnormalniej ugryźć, a na drugiej ręce (co zrobić z drugą ręką?) opiera ramię.

– Tak.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie wydaje mi się.

Soledad marszczy brwi. Strój Biskupa połyskuje jak indygo w świetle świec.

„Dlaczego?”, zdaje się pytać, ale suche gardło tłumi słowa.

Och, ale się gapi ten człowiek, ależ oni wszyscy się gapią! To absurd udawać, że nic się nie dzieje! Nagle zauważa, że oczy Biskupa nie patrzą tak naprawdę na nią, tylko na jej lewe przedramię.

Zapomniała. Ponieważ nosiła ją zawsze, uznawała ją niemal za część siebie.

„O nie, to *absolutnie nie*”.

Ale właściwie dlaczego nie? W końcu, czy sama również tego nie chce?

Jednak ma wątpliwości co do tego drobiazgu. Należał do jej matki. Matka nie żyje. Z podniesioną głową kieruje się ku krzesłu. Nikt nic nie mówi, wszyscy tylko na nią patrzą. Zatrzymuje się tuż przed stołem.

I nagle wszystko wydaje się jej nierzeczywiste. Nie sam fakt, że żyje, tylko to, co dotychczas przeżyła. Wspomnienia ustawione na półce, jak książki. Setki opowieści, które jej opowiadano albo które sama wymyślała. Żyła, i wszystko zgromadziło się w niej, jak kolekcja opowieści czy opowieści w opowieściach, jak szkatułki umieszczone jedna w drugiej lub cząstki ukryte wewnątrz cząstek, a żadna nie bardziej oczywista niż poprzednia, jak odkrycie Rodolfa Grenoble. Najważniejsza jest ta ostatnia, ale która właściwie? Jej ojciec, jej siostra, siostra Esther, szkoła... Jej matka, jeszcze jedna opowieść. Nawet ona sama. A jeżeli o niej ktoś opowiada, to o tym, kto opowiada, także ktoś opowiada. Ta myśl ją ożywia. Jakie ma znaczenie coś, co już opowiedziano? Ważne jest tylko, by ciągnąć opowieść, jak stary Tjorn. Nieustannie wymyślać coś nowego.

„Mamo, nie robię ci żadnej krzywdy”, mówi, ale wydaje jej się, że lewy nadgarstek jest przeciwnego zdania, bo bransoletka nie chce zejść.

Kiedy wreszcie Soledad udaje się odłożyć ją tam, gdzie leżą pozostałe rzeczy, czuje się tak naga, że po raz pierwszy zasłania dłonią swoją kobiecość.

Zasiadłszy na krześle, zimnym tak, jakby nikt przedtem na nim nie siedział, trzyma dłoń nadal w tym samym miejscu, wplecioną w przedziwne zagłębienia, jakich dotyka. Łokieć drugiej ręki opiera o stół, na dłoni opiera policzek.

I nagle coś się dzieje.

Jak gdyby pęcherzyk wrzącej wody dosięgnął jej twarzy, a następnie stracił moc i temperaturę. Ustępuje rumieniec i czuje się piękna. Piękna. Z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Tradycja chce, abyś to ty rozpoczęła – odzywa się Biskup.

– Żebym ja rozpoczęła?

– Żebyś opowiedziała pierwszą opowieść – wyjaśnia pani Lefó.

Prośba nie dziwi Soledad. Przerzuca w myślach sporą kolekcję fantastycznych historii. Jest ich prawie setka, ale z wszystkich po kolei rezygnuje. Czuje, że powinna wybrać dokładnie taką, którą najmniej by chciała opowiedzieć. Taką, która ją samą wprawi w zakłopotanie. Przywołuje na twarz złośliwy uśmiech, zdając sobie sprawę, że teraz, gdy jest całkiem naga, wywoła on tym większy efekt.

– Przychodzi mi na myśl jedna – odzywa się wreszcie. – Opowiadają ją u mnie w szkole. Ale jest świńska.

Rysy pana Figury, dotąd ściągnięte, rozluźniają się i mężczyzna zaczyna się śmiać,

jak głupawy pluszowy Święty Mikołaj. Pani Lefó otwiera szeroko oczy. Biskup zachęcająco kiwa ręką. Komnatę przebiega zimny podmuch. Płomienie świec kładą się na chwilę. Pani Queen wyszła. Soledad nie zauważyła jej wyjścia, ale drzwi są zamknięte, a obok niej nikogo nie ma. Wpatruje się w puchar, z którego wcześniej piła pani Queen, i zaczyna swoją opowieść, gładząc jego nóżkę.

– Nosi tytuł... *Małpka*. Stało się to w szkole...

To mała szkatułka, z pewnością ostatnia. Wystarczy jej dotknąć, by się otworzyła. Sporo cię kosztowało dotrzeć do niej, ale skoro już dotarłeś, łatwo ją otworzyć. O, tak.

Poczekaj. Zamknij oczy, zanim zobaczysz, co zawiera. Najpierw się przygotuj. Odetchnij kilka razy głęboko, odpręż się.

Spójrz dopiero wtedy, gdy ci powiem.



MAŁPKA

Stało się to w szkole. Nie w mojej, w jakiejś innej. Była sobie dziewczynka w moim wieku imieniem Maria. Mogłaby być szczęśliwa, bo rodzice ją kochali, koleżanki ją lubiły, nauczyciele ją lubili. Ale nie była. A to dlatego, że... No cóż, ta jej rzecz była bardzo owłosiona. Może nawet za bardzo.

(Biskup się uśmiecha. Pani Lefó się uśmiecha).

I to, z całą pewnością, szpeciło ją, kiedy zdejmowała ubranie. Ona sama, rzecz jasna, trzymała to w sekrecie, lecz pewnego razu jedna z koleżanek nakryła ją i zaniemowała na ten widok. To było tak czarne i gęste, aż wydawało się, że może pobrudzić. Dziewczynki szeptały jedna drugiej i wkrótce wiedziała o tym cała szkoła. Że Maria chowa tam zwierzątko. Kosmate zwierzątko.

(Pan Figury się śmieje).

– Maria ma zwierzątko! – wołano.

– Kosmatą małpkę! – wołano.

– Z żółtymi ślepiami i zielonymi zębami, brr! – wołano.

Kpiny doszły do uszu pana dyrektora. Nazywał się Pomoc. Panie Pomoc, zwracano się do niego. Nic na to nie poradzę.

(Biskup się śmieje. Pani Lefó się śmieje).

Pan Pomoc uznał, że Maria cierpi, i chciał ją pocieszyć. Więc zaprosił ją do swojego gabinetu, a raczej do poczekalni przed gabinetem, gdyż sam gabinet był olbrzymi, a potem kazał jej wejść do właściwego gabinetu i pozamykał wszystkie drzwi, jedne po drugich, i na koniec zostali sami, to jest razem. Wówczas usiadł obok niej na długiej sofie pod ścianą, na której wisiała kolekcja zdjęć z wycieczek: dziewczynki na plaży, dziewczynki przy zabytkach, dziewczynki tu i tam. I patrząc jej w oczy, rzekł:

– Wezwałem cię, gdyż dowiedziałem się, co się stało. Nie powinnaś zwracać na to uwagi, Marío. Awitaminoza: oto prawdziwy problem w waszym wieku. A twój problem to rzecz całkiem normalna. Twoje owłosienie jest, zdaje się, zbyt bujne. Może się tego wstydzisz, ale przecież nie chodzisz na plażę dla nudystów, prawda?

Reszta to opowieści. Nie patrz tak na mnie. Opowieści. Chcesz sprawdzić? Zdejmij spódnicę i majtki.

Nie chodzi o to, że María chciałyby cokolwiek sprawdzać, ale czuła się bezpiecznie, ponieważ była z panem Pomoc. Więc nie przejęła się także, kiedy ten się nachylił, popatrzył i oznajmił:

– Tak, bujne, ale całkowicie normalne. Chcesz się przekonać? To poczekaj.

Kazał jej poczekać, bo sam był stary i sprawiało mu trudność pozbycie się własnych spodni, nie mówiąc już o sprostaniu sytuacji. A wszystko chciał zrobić na chłopski, jak powiedziałaby mój tata, czyli popchnąć Marię na sofę, pomiętosić tu i tam, nie zwracając uwagi na to, że ona krzyczy: „Na pomoc, na pomoc!”, jako że pan Pomoc tak się nazywał po to, żeby, gdy już nadejdzie taka chwila, nikt się nie przejął krzykami, bo każdy by sądził, że dziewczynka po prostu go wzywa.

(Pani Lefó się śmieje. Pan Figury się śmieje).

I oto pan Pomoc zabawiał się w najlepsze, głuchy na błagania, kiedy poczuł ostry ból w swoim *szczególne*. Puścił Marię, zerwał się na równe nogi i dostrzegł, że faktycznie coś go tam pogryzło: na czubku wyraźnie było widać czerwone ślady ząbków. Zaklął szpetnie.

A wtedy pomiędzy gęstego, ciemnego owłosienia Marii wyjrzało zwierzątko jak brzydka wiewiórka, o żółtych ślepiach i zielonych zębach; jeszcze przeżuwało ociekający krwią odgryziony kawałek.

I wówczas to pan Pomoc wykrzyczał własne nazwisko, a zwierzątko skakało z ciała Marii na niego i gryzło go dalej. Wiele szyb w szkole popękało od krzyków, przysięgam.

(Pan Figury się śmieje. Biskup się śmieje).

Z gabinetu prowadziły schody do piwnicy. O ich poręcz oparła się María, gdy kończyli: ona się ubierać, a on umierać. I wówczas rzekła zimno:

– Zasługuje pan na śmierć, bo nie widzi pan nic oprócz własnej żądz. Bo myśli pan, że opowieści to tylko opowieści. Bo sądzi pan, że w środku jesteśmy tacy sami jak z wyglądu. Że nasze wnętrze jest takie samo jak powierzchowność. A teraz, stary przyku, objawiło ci się moje wnętrze. I pochłonie cię. Nawet twoje nazwisko na nic ci się nie zda.

(Wszyscy się śmieją).

María patrzyła przez okno, póki zwierzątko nie skończyło. A skończywszy, całe było uwalane krwią. Widząc to, María wesoło krzyknęła:

– Zaczyna się mój okres!

Pchła pchłą ukąsiła, bajka się skończyła.

(Jedni wybuchają głośnym śmiechem, inni płaczą ze śmiechu).



Soledad nie może przestać się śmiać. Oczy zapełniają się jej łzami, ale śmieje się dalej. Pan Figury pęka ze śmiechu, odchylając się do tyłu i otwierając szeroko usta, a jego kamienna twarz wydaje się rozpuszczać. Z kolei pani Lefó pochyla się do przodu, opierając głowę o słabe ramiona, a te o stół, podczas gdy kwiaty z jej włosów spadają, niczym w ostrym ataku jesieni. Pan Biskup kiwa się, niezdecydowany, w przód i w tył.

W końcu śmiechy milkną, a atmosfera staje się wolna od napięcia. Spojrzenia zaczerwienione od łez i śmiechu wędrują od jednej twarzy do drugiej, migocące i wesołe niczym płomyki świec.

– I co teraz? – pyta pan Biskup, ocierając łzy z mięsistej twarzy.

„Zaczyna się mój okres”, myśli znowu Soledad, ale tym razem się nie śmieje. Bierze puchar pani Queen, wskakuje na stół i staje na nim w rozkroku, w kręgu salamander. Jedną rękę opiera na biodrach, w drugiej unosi w górę puchar. Troje ludzi obserwuje ją w oszołomieniu, z szacunkiem.

– Teraz? – powtarza. – Cóż, opowiadajmy dalej. Bez względu na to, co się stanie, opowiadajmy dalej. Po wsze czasy.

Oczy jej lśnią niesamowicie, a pozostała trójka unosi puchary wraz z nią.

Popatr: w tym zawiera się ostatnia szkatułka.

Niebezpieczeństwo, przed którym cię ostrzegałem. Ale już chyba możesz stawić mu czoło.

Otwórz oczy i patrz.

Lustreczko.
Odbija ciebie.

[1] *Offerimus tibi, Domine, Calicem voluptatis carnis* (łac.) – Ofiarujemy, Tobie, Panie, kielich rozkoszy cielesnej – fragment czarnej mszy.

[2] Czuwaliczka jadalna – roślina o właściwościach stymulacyjnych. Jej świeże lub suszone liście są używane do żucia lub sporządzenia naparu.

[3] *Flesh* (ang.) – mięso.

[4] *Soledad* (hiszp.) – samotność.

Tytuł oryginału: ***Tetrammeron***

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

© Stephen Carroll/Trevillion Images

© Lightspring/Shutterstock

© José Carlos Somoza, 2012

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Agnieszka Rurarz

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy